

Hisham Matar

W kraju mężczyzn

przekład z języka angielskiego

Ewa Penksyk-Kluczkowska

smak Słowa

Sopot 2011

Tytuł oryginału: In the Country of Men

Copyright© Hisham Matar, 2006

All right reserved

Copyright © 2011 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Projekt graficzny i skład książki: Agnieszka Wójkowska

Projekt okładki: Agnieszka Wójkowska

Fotografie wykorzystane w ilustracji na okładce:

© istockphoto.com / Sunil Menon

© istockphoto.com/ColeVineyard Photography

ISBN 978-83-62122-17-2

Druk: Druk Intro S.A.

ul. Świętokrzyska 32

88-100 Inowrocław

Smak Słowa

ul. Sobieskiego 26/4

81-781 Sopot

tel./fax 58 551 01 98

www.smakslowa.pl

Szukaj nas też na facebooku

Często wspominam tamto ostatnie lato przed wyjazdem. Działo się to w roku 1979, słońce było wszędzie. W słońcu tym leżał olśniewający i nieruchomy Trypolis. Każdy człowiek, zwierzę i mrówka rozpaczliwie szukali cienia, tych z rzadka widzianych szarych plam zmiłowania wykrojonych z wszechbieli. Ale prawdziwe zmiłowanie nadchodziło dopiero nocą. To powiew powietrza, chłodzony bezkresną pustynią, zwilżony szumiącym morzem, niechętny gość w milczeniu zdążający wyludnionymi ulicami, niepewien tego, jak daleko wolno mu się zapuścić w królestwo gwiazdy absolutnej. Teraz właśnie wschodziła, ta gwiazda, wierna jak zawsze, przeganiając błogosławiony powiew. Nastawał ranek.

Okno w jej sypialni było szeroko otwarte, rosnące pod nim drzewo klejowe stało bez ruchu, nieśmiało zielone w pierwszym świetle dnia. Zasnęła dopiero o brzasku. Ale nawet wtedy byłem tak rozdygotany, że nie mogłem jej zostawić. Zastanawiałem się, czy kolejny raz podskoczy, jak marionetka odgrywająca martwego, czy zapali następnego papierosa i znowu zacznie mnie błagać, tak jak jeszcze przed chwilą, nie mów, nie mów.

Baba* nic nie wiedział o mamy chorowaniu. Chorowała tylko wte-

dy, kiedy wyjeżdżał w interesach. Zupełnie tak, jakbyśmy - ona i ja - zostawali na tym opuszczonym przezeń świecie niczym idiotyczne przypomnienia, puste kartki, które należy wypełnić opowieścią o początkach ich małżeństwa - jak do niego w ogóle doszło.

Siedziałem, wpatrując się w jej piękną twarz, jej pierś z każdym oddechem unosiła się i opadała. Niezdolny odejść, wsłuchiwałem Baba (arab.) - tatuś, papa (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

6

się w to, co właśnie mi opowiedziała i co wciąż pływało i powtarzało się w mojej głowie.

W końcu ją zostawiłem i poszedłem do łóżka.

Przyszła do mnie po przebudzeniu. Czuję ciężar jej ciała, gdy przy mnie siadała, a potem jej palce w moich włosach. Szuranie jej paznokci na skórze mojej głowy przypomniało mi taki jeden raz, kiedy miałem pecha. Wrzuciłem do buzi daktyla, nie rozerwawszy go wcześniej, i stwierdziłem, że roi się w nim od mrówek, których małe pancerzyki roztrzaskały się w moich zębach. Leżałem nieruchomo, udając, że śpię, i słuchałem jej oddechu niespokojnego od łez.

Przy śniadaniu starałem się odzywać jak najmniej. Od mojego milczenia robiła się nerwowa. Mówiła o tym, co możemy zjeść na lunch. Spytała, czy chciałbym dżem albo miód. Odpowiedziałem, że nie, ale ona i tak poszła do lodówki i przyniosła. Potem, jak zawsze w poranki po swojej chorobie, zabrała mnie na przejażdżkę, żeby mnie wyciągnąć z tego milczenia, żebym wrócił do siebie.

Czekając, aż samochód się rozgrzeje, włączyła radio, poskakała mię-

dzy stacjami i zatrzymała się dopiero, gdy usłyszała piękny głos Abd al-Basita Abd as-Sammada. Cieszyłem się, bo wiadomo, że w trakcie czytania Koranu nie można rozmawiać, lecz trzeba słuchać w uniżeniu. Już mieliśmy skręcić w ulicę Gargaresz, prowadzącą nad morze, gdy nagle, jakby spod ziemi, zjawił się żebrak Bahlul. Mama wcisnęła hamulec i powiedziała „Ja Satir”*. Przeszedł powoli na jej stronę, mocno przyciskając brudne ręce do brzucha, z drżącymi ustami.

- Witaj, Bahlul - rzuciła, przeszukując torebkę.

- Widzę cię, widzę - odrzekł i chociaż właśnie te słowa najczęściej padały z jego ust, tym razem pomyślałem, że co z niego za idiota, i chciałem, żeby zniknął. Przyglądałem mu się w bocznym lusterku, jak stoi na środku ulicy, przyciskając do piersi pieniądze od mamy, jak ktoś, kto właśnie schwytał motyla.

Zabrała mnie do centrum, do sezamkarza na targu przy placu Męczenników. Plac wychodził na morze, stał na nim dumnie posąg Septymiusza Sewera, rzymskiego cesarza urodzonego dawno, dawno temu w Leptis Magnie. Kupiła mi tyle patyczków sezamowych, ile Ja Satir (arab.)- o, Boże!

7

chciałem, a każdy zawinięty był w biały papier woskowy, skręcony na końcach. Nie zgodziłem się, żeby wsadziła je do swojej torby. W te poranki zawsze byłem uparty.

- Ale ja muszę jeszcze kupić inne rzeczy - mówiła. - Ty je na pewno upuścisz.

- Nie - ściągnąłem brwi. - Zaczekam na ciebie na dworze. - I od-

szedłem rozzłoszczony, nie przejmując się, czy ją zgubię, czy zgubię się sam w wielkim mieście.

- Zaczekaj przy Septymieszu - zawołała za mną, przyciągając uwagę ludzi.

Z jednej strony znajdowała się wielka kawiarnia ze stolikami na ulicy. Przesiadali tam mężczyźni, niektórych już poznawałem po twarzy, grali w domino albo w karty. Skierowali wzrok na mamę. Zastanawiałem się, czy jej sukienka nie powinna być luźniejsza. Kiedy się oddaliłem, poczułem, że moja przewaga nad nią maleje. Zrobiło mi się przykro i smutno, że w te poranki jest taka szczodra i zakłopotana, jakby wyszła z domu na golasa. Chciałem do niej pobiec, chwycić ją za rękę, uczepić się jej sukienki, kiedy robiła zakupy i radziła sobie ze światem, światem pełnym mężczyzn i męskiej zachłanności. Stłumiłem w sobie pragnienie, żeby się obejrzeć, a skupiłem się na sklepach, umieszczonych w łukowatych zatoczkach po obu stronach zadaszonego pasażu. Nad jednym z nich łagodnie nadymały się czarne jedwabne chusty, przed drugim kolumny czerwonych czapek wspinały się na wysokość człowieka. Za sufit służyły pasy czarnej tkaniny. Wąskie smugi białego światła przeciskające się przez nieliczne szpary nabłyszczały unoszący się w powietrzu pył, lśniły nieruchomo i pięknie na łukach i na podłodze, ale skakały jak iskry po głowach przechodniów i niżej, po ich tułowiach, przez co cienie wydawały się o wiele ciemniejsze.

Słońce zalewało plac. Nawierzchnia była niemal biała od blasku, tak że sunące po niej ciemne buty i postacie wyglądały, jakby unosiły

się nad ziemią. Żałowałem, że nie zostawiłem jej sezamków. Teraz kłuły mnie w ramiona drobne igiełki. Zbeształem się za to, że jestem taki uparty i że pozwoliłem jej kupić ich dla mnie aż tyle. Patrzyłem na łakocie spoczywające w moich ramionach i w ogóle nie miałem na nie apetytu.

8

Oparłem się o zimny marmurowy cokół Septymiusza Sewera.

Rzymski cesarz stał nade mną z nabijanym srebrem pasem, wygiętym pod brzuchem, wskazując ramieniem na morze. „Chce, żeby Libia patrzyła na Rzym” - tak ustaz* Raszid opisał tę pozę. Ustaz Raszid wykładał historię sztuki na Uniwersytecie Al-Fatih i był ojcem mojego najlepszego przyjaciela Karima. Pamiętam, jak nasz Wódz w taki właśnie sposób stał w jednym ze swoich mundurów wojskowych i machał ręką, kiedy w Święto Rewolucji przejeżdżały przed nim czołgi.

Odwróciłem się w stronę morza, lśniącego turkusowego morza za placem. Przypominało wielkiego niebieskiego potwora, wyrastającego na krańcu świata.

- Wrrr - warknąłem, po czym zastanowiłem się, czy ktoś mnie słyszał. Wiele razy godzinami czekałem pod cokołem. Wpatrywałem się w ziemię, w żar i jasność, które sprawiały, że chciało mi się spać z otwartymi oczami. I nagle dostrzegłem babę. Wcale się nie rozglądałem, po prostu jak spojrzełem, to od razu na niego.

Stał na skraju chodnika po drugiej stronie placu, sprawdził, czy nic nie jedzie, pochylił się do przodu, jakby miał się przewrócić.

Zanim wszedł na jezdnię, machnął ręką i dwukrotnie strzelił palcami.

Znałem ten gest. Czasami machał tak na mnie, jakby mówił „No już, już”, a potem strzelał palcami. „Hej, obudź się”. Za babą pojawił się Naser, urzędnik z jego biura, trzymający pod pachą niewielką, lśniącą czarną maszynę do pisania. Niósł ją z wyraźnym wysiłkiem. Baba już przechodził na drugą stronę ulicy, kierując się prosto na mnie. Przez chwilę myślałem, że może prowadzi Nasera do Septymiusza Sewera, żeby nauczyć go tych wszystkich rzeczy, których nauczył mnie o rzymskim cesarzu, o Leptis Magnie i Rzymie. Bo baba traktował Nasera jak młodszego brata, sam tak często mówił.

- Baba? - szepnąłem.

Dwie ciemne soczewki sklepiały się przed jego oczami jak żółwiowe skorupy. Niebo, słońce i morze Bóg pomalował jakimiś kolorami, które każdy umie wskazać i nazwać: morze jest turkusowe, słońce bananowe, a niebo niebieskie. Pomyślałem, że okulary przeciwsłoneczne są straszne, ponieważ zmieniają to wszystko i trzymają na dystans tego, kto je nosi. Nagle przypomniałem sobie, jak ledwie kilka dni temu po Ustaz (arab.) - dosłownie nauczyciel, profesor.

9

całował nas na do widzenia. „Niech cię Bóg prowadzi - powiedziała mama - i przyniesie ci korzyści”. Ja go pocałowałem w rękę, bo tak mnie nauczył. Schylił się i szepnął mi do ucha: „Dbaj o mamę, teraz ty jesteś głową rodziny” - i uśmiechnął się szeroko, tak jak uśmiechają się ludzie, kiedy im się wydaje, że powiedzieli komplement. No i proszę, proszę; idzie tu, mogę go dotknąć, idzie tu, gdzie powinniśmy być razem. Serce mi przyspieszyło. Zbliżał się. Może idzie do mnie. Nie

mogłem zobaczyć jego oczu.

Patrzyłem, jak kroczy w ten znajomy sposób, z głową trochę uniesioną - wypastowane skórzane buty śmigają z każdym krokiem - i miałem nadzieję, że mnie zawoła, pomacha ręką, strzeli palcami. Gdyby to zrobił, przysięgam, że rzuciłbym się mu w ramiona. Kiedy był już obok mnie, tak blisko, że gdybym wyciągnął rękę, dotknąłbym go, wstrzymałem oddech, a moje uszy wypełniła cisza. Wpatrywałem się w jego poważną twarz - twarz, którą podziwiałem i której się bałem - wychwyciłem ślad zapachu jego wody kolońskiej, poczułem, jak wokół niego faluje powietrze. Tuż za nim podążał Naser, niosąc pod pachą czarną, lśniącą maszynę do pisania. Chciałbym być na jego miejscu, iść za babą jak cień. Weszli do jednego z budynków przy placu. Białego budynku z zielonymi okiennicami. Zielony to kolor rewolucji, ale rzadko się widuje tak pomalowane okiennice.

- Mówiłam przecież, że masz czekać przy posągu! - usłyszałem za sobą mamę. Obejrzałem się i stwierdziłem, że odszedłem daleko od Septymiusza Sewera.

Zrobiło mi się niedobrze, denerwowałem się, że coś przeskrobałem. Baba nie był w podróży służbowej, tylko tu, w Trypolisie, gdzie powinniśmy być razem. Mogłem wyciągnąć rękę, złapać go, zatrzymać. Dlaczego stałem bez ruchu?

Siedziałem w samochodzie, podczas gdy ona pakowała zakupy.

Wciąż trzymałem sezamki. Spojrzałem na budynek, do którego wszedł baba z Naserem. Okno na górnym piętrze drgnęło i się otworzyło.

Pojawił się w nim baba. Wyjrzał na plac, już nie miał na sobie okularów,

opierał się rękoma o parapet, jak wódz, który czeka, aż umilkną oklaski i wiwaty. Na sznurku do bielizny wywiesił czerwony ręczniczek i zniknął w środku.

Mama patrzyła przed siebie, plecy trzymała odchylone o kilka centymetrów od oparcia fotela, dłonie mocno zaciskała na kierownicy.

Puściła jedną rękę, położyła mi ją na kolanie i powiedziała stanowczo:

- Patrz przed siebie, nie rozglądaj się.

Światła zmieniły się na zielone, samochód obok nie ruszył. Wszyscy wiedzą, że nie wolno wyprzedzić samochodu Komitetu Rewolucyjnego, a jeśli już trzeba to zrobić, to dyskretnie, nie okazując zadowolenia. Kilku kierowców, nieświadomych tego, kto stoi obok nas, zaczęło trąbić. Mama ruszyła powoli, patrząc więcej w lusterko wsteczne niż na drogę przed sobą.

- Jadą za nami, nie oglądaj się - poleciła nagle.

Wbiłem wzrok w swoje gołe kolana i w kółko powtarzałem jedną modlitwę. Czułem, jak pomiędzy skórą moich dłoni a woskowym papierem od sezamków zbiera się pot. Dopiero niemal pod samym domem mama powiedziała:

- Dobra, nie ma ich. -I pod nosem dodała: - Nie mają nic lepszego do roboty, niż za nami jeździć, gnojki cholerne.

Moje serce się uspokoiło, a plecy wyprostowały. Przestałem się modlić.

Szajch Mustafa, imam* naszego meczetu, powiedział mi kiedyś, że niewinny nie ma powodu się bać, tylko winni żyją w strachu.

Nie pomogłem jej zanieść zakupów do domu, choć zazwyczaj to

robiłem. Poszedłem prosto do swojego pokoju, rzuciłem na łóżko

Imam (arab.) - dosłownie przywódca, także osoba przewodnicząca piątkowym modlitwom w me-

czecie; tu.- przełożony meczetu.

11

paluszki sezamowe i potrząsnąłem ramieniem, by przywrócić w nim

krążenie krwi. Chwyciłem książeczkę z obrazkami o Leptis Magnie.

Dziesięć dni wcześniej po raz pierwszy - i jak się okazało ostatni - od-

wiedziłem to starożytne miasto. Widoki z opuszczonego miasta ruin

nad morzem wciąż pozostawały żywe w mojej pamięci. Chciałem do

niego wrócić.

Wyszedłem dopiero, gdy musiałem: kiedy przygotowała lunch,

siadła do stołu i mnie zawołała.

Urwała kawałek chleba i podała mi. A ja przysunąłem jej miskę z sa-

łatką, bo zauważyłem, że jeszcze sobie nie nałożyła. W trakcie posiłku

podniosła się i włączyła radio. Jakiś mężczyzna mówił o uprawianiu

ziemi pustynnej. Wstałem, powiedziałem „Niech Bóg błogosławi pracę

twoich rąk" i poszedłem do siebie.

- Zdrzemnę się - rzuciła za mną.

Przez moje milczenie musiała mówić rzeczy, których nie trzeba było

mówić. Zawsze ucinała sobie drzemkę po południu, każdy to robił, lecz

nie ja. Nigdy nie ucinałem sobie drzemki.

Czekałem u siebie, aż ona umyje naczynia i pochowa jedzenie, i do-

piero kiedy nabrałem pewności, że poszła spać, opuściłem swój pokój.

Chodziłem po domu, szukając zajęcia, kiedy zadzwonił telefon.

Pobiegłem do niego, zanim ją zdążył obudzić. To był baba. Na dźwięk

jego głosu moje serce przyspieszyło. Pomyślałem, że dzwoni tak szybko po tym, jak go widziałem, żeby mnie przeprosić, że się ze mną nie przywitał.

- Gdzie jesteś?

- Za granicą. Daj mi mamę.

- Gdzie za granicą?

- Za granicą - powtórzył, jakby umiejscowienie zagranicy było oczywiste. - Wrócę jutro.

- Tęsknię za tobą.

- Ja też. Poproś mamę.

- Śpi. Mam ją obudzić?

- Powiedz jej tylko, że wrócę jutro, jutro w południe.

Nie chciałem, żeby rozmowa się skończyła.

- Dzisiaj śledził nas ten sam biały samochód, który zabrał ustaza

Raszida - powiedziałem, żeby ją przedłużyć. - Staliśmy obok siebie na światłach i widziałem ich twarze. Byłem tak blisko, że mogłem do-
12

tknąć policzka kierowcy, ale się nie bałem. Ani trochę. Ani odrobinę, nic się nie bałem.

- Jutro się zobaczymy - dodał i się rozłączył.

Stałem przez chwilę przy telefonie i słuchałem gęstej ciszy, która zdawała się spowijać nasz dom w tych popołudniowych godzinach. Ciszy spotęgowanej szumem lodówki w kuchni i tykaniem zegara w korytarzu.

Poszedłem do mamy, żeby zobaczyć, jak śpi. Siadłem przy niej.

Najpierw patrzyłem, jak z każdym oddechem podnosi się jej klatka piersiowa. Pamiętałem słowa, które powiedziała do mnie poprzedniego wieczoru: „Jesteśmy dwiema połówkami jednej duszy, dwiema stronicami jednej otwartej księgi”. Te słowa kojarzyły mi się z niechciany prezentem.

Środku nocy obudził mnie brzęk tłuczonego szkła. W kuchni się świeciło. Mama na kolanach mówiła do siebie i zbierała z podłogi odłamki szkła. Była na bosaka. Na mój widok zakryła usta wewnętrzną stroną nadgarstka. Zwiniętą w miseczkę dłoń miała wypełnioną potłuczonym szkłem i chichotała tym dziwnym, nerwowym chichotem, czymś pośrednim między śmiechem a płaczem. Pobiegłem po jej kapcie, potem je do niej rzuciłem, ale ona pokręciła głową, zatoczyła się nad śmietnik i opróżniła rękę. Zaczęła zamiatać podłogę. Kiedy miotła dosięgła kapci, mama zatrzymała się na chwilę, po czym je założyła.

Na stole kuchennym zobaczyłem częściowo opróżnioną jej butelkę z lekarstwem. Obok nie było szklanki, tylko papieros palił się w popielniczce wypełnionej niedopałkami i zapałkami o czarnych koniuszkach. Szklanka musiała się stłuc. Mama znowu była chora. Poczulem, że policzki płoną mi z gniewu: gdzie baba? Powinien być w domu, bo wtedy wszystko jest normalnie, ona nie choruje, a mnie nic nie budzi po to, żebym stwierdził, że wszystko się zmieniło.

Siadła, znowu wstała, wyjęła kolejną szklankę i napełniła ją lekarstwem. Kuchnia nim cuchnęła. Od tego smrodu bolała mnie głowa. Odwróciła się do mnie. Wciąż stałem na progu kuchni. Znowu zach-

chotała.

- Co? - zapytała i wzniosła oczy do nieba. - Co z tobą? Co się tak na mnie gapisz? Nie masz nic lepszego do roboty? - Pokręciła głową, jakby mówiła do siebie. - Nie wiem, dlaczego tak na mnie patrzysz. - A potem z przesadną powagą dodała: - Wracaj do łóżka, późno jest. Poszedłem do łóżka, ale nie mogłem zasnąć. Zorientowałem się, jak wchodzi do łazienki. Długo tam siedziała. Nie słyszałem szumu wody.

14

Serce zaczęło mi łomotać. Nagle otworzyła drzwi i skierowała się do swojego pokoju. Podszedłem do jej drzwi i tam się zawahałem.

- Hej, habibi* - powiedziała. - Co jest? Nie możesz spać?

Pokręciłem głową, szczęśliwy. Z przyjemnością grając w jej grę, udając, że obudził mnie jakiś zły sen. Poklepała łóżko, a ja położyłem się obok niej. Kiedy już sen mnie spowijał, ona zaczęła swoją opowieść. Z ustami przy moim uchu, wypełniając pokój zapachem swojego lekarstwa.

Wszystko, co ważne, wydarzyło się w przeszłości. A najważniejszy w przeszłości był tamten „czarny dzień”, jak go nazywała, który spowodował, że wzięli z babą ślub. Nigdy nie zaczynała od początku. Jak Szeherezada, nie poruszała się po prostej, tylko przeskakiwała od jednego wydarzenia do drugiego, zostawiając bez odpowiedzi pytania, których postawienie mogłoby przerwać jej opowieść. Bałem się, że przerwie. Musiałem się powstrzymać i starałem się zapamiętać każdy fragment w nadziei, że pewnego dnia zdołam złożyć to wszystko w narrację: uporządkowaną, przejrzystą i prostą. Bo chociaż bałem

się tych nocy, kiedy zostawaliśmy sami, a ona chorowała, nigdy nie chciałem, żeby przestała opowiadać. Jej historia była też moją historią, wiązała nas, zamieniała nas w jedno, „dwie połówki jednej duszy, dwie stronicie jednej otwartej księgi”, jak mawiała.

Pewnego razu zaczęła słowami:

- Jesteś moim księciem. Pewnego dnia staniesz się mężczyzną i zabierzesz mnie na swoim białym koniu. - Przyłożyła dłonie do moich policzków, oczy miała wypełnione łzami. - A niewiele brakowało, żebym... Ty mój cudzie. Tabletki, wszystkie inne sposoby, którymi próbowałam się opierać. Nie wiedziałam, że będziesz taki piękny, wypełnisz moje serce...

Dlatego właśnie często leżałem w swoim ciemnym pokoju, wyobrażając sobie, że pewnego dnia ją uratuję.

Kiedy mama usłyszała, że jej ojciec znalazł dla niej narzeczonego, połknęła „garść magicznych pigułek”.

- Tak je nazywali - wyjaśniła - bo sprawiały, że kobieta stawała się niedobra. Kto by chciał poślubić kobietę, która nie może rodzić dzieci?

Habibi (arab.) - kochanie, mój kochany.

15

Za kilka miesięcy, myślałam, najpóźniej za rok, będę wolna i podejmę naukę. To był doskonały plan, tak w każdym razie uważałam.

Błyskawicznie zorganizowali ślub, jakbym była nierządnicą, jakbym była brzemienna i musiała się wydać, zanim ciąża stanie się widoczna.

Część kary polegała na tym, że nie pozwolono mi nawet zobaczyć zdjęcia przyszłego męża. Ale służąca ukradkiem przekazała mi, że widziała

pana młodego. „Brzydki - skrzywiła się. - Wielki nos". I splunęła na ziemię. Tak bardzo się bałam. Dziesięć razy albo i więcej biegłam do toalety. Mój ojciec i bracia - Wysoka Rada, która się rozsiadła przed wejściem do pokoju - coraz bardziej się denerwowali, uznając chory żołądek za dowód mojej winy. Nie wiedzieli, jak to jest, czekać w tym pokoju, do którego miał wejść ktoś zupełnie mi obcy, kto teraz był moim mężem, i bez żadnych wstępów miał mnie rozebrać, by robić nieprzyzwoite, ohydne rzeczy.

Ten pokój był ponury. W środku znajdowało się tylko wielkie łóżko z kwadratową, wyprasowaną chusteczką na jednej poduszce. Nie miałam pojęcia, po co ta chusteczka.

Chodziłam po tym pokoju w swojej sukni ślubnej i zastanawiałam się, jak wygląda mój kat. Bo tak właśnie to postrzegałam: oni wydali wyrok, a on, obcy uzbrojony w kontrakt ślubny z podpisem mojego ojca, ma go wykonać. Kiedy mnie dotknie, a byłam pewna, że to zrobi, krzyki staną się bezcelowe. Byłam jego własnością, jego żoną przed Bogiem. Miałam dopiero czternaście lat, ale wiedziałam, co mężczyzna musi zrobić swojej żonie. Kuzynka Chadidza, gaduła, która zrobiła się niema jak ściana po swojej nocy poślubnej, później, kiedy zostałyśmy same, powiedziała mi, jak to mąż stracił do niej cierpliwość, palcami przebił jej błonę i zakrwawił jej ciało. Każdy mężczyzna musiał dowieść, że wziął za żonę dziewicę.

Nie miałem pojęcia, o czym mama mówi, ale bałem się, że kiedy nadejdzie czas, mogę nie mieć czym „przebić" kobiety.

- Zdrada ścisnęła mnie za gardło - ciągnęła. - Tamte godziny wyda-

wały się wiecznością. Żołądek mi się wywracał, palce miałam zimne jak kostki lodu i nerwowo splatałam ręce.

W trakcie jednej ze swoich wypraw do toalety, gdy z podciągniętą suknią biegłam jak idiotka, zobaczyłam, jak ojciec chowa pistolet do kieszeni. „Krew się poleje, tak czy inaczej” - tak powiedział do twojej babki. Powtórzyła mi to później, prawie się śmiejąc, z ulgą, rozoch-

16

cona i śmieszna w swoim szczęściu. „Gdybyś, uchowaj Boże, okazała się niecnotliwa - wyjawiała - ojciec odebrałby ci życie”.

Twój ojciec, tajemniczy pan młody, miał dwadzieścia trzy lata, takiej czternastolatce jak ja wydawał się starcem. Przyszedł wreszcie, a ja zemdlalam. Kiedy odzyskałam przytomność, już go nie było. Przy mnie siedział twój dziadek, uśmiechnięty, a za nim twoja babcia, z radością tuląc do piersi teraz już zakrwawioną chusteczkę.

Chorowałam kilka dni. Głupie pigułki nie pomogły. Za dużo ich wzięłam i to całe wymiotowanie wyrzuciło je ze mnie. Dziewięć miesięcy później miałam ciebie.

Od lekarstwa zmieniały się jej oczy i traciła równowagę. Czasami jeszcze zanim ją zobaczyłem, umiałem powiedzieć, że jest chora.

Wchodziłem do domu i zauważałem pewien bezruch, ciszę, jakąś zmianę. Wiedziałem, chociaż nie wiem skąd. Tak samo jak wtedy, gdy grałem w piłkę nożną z chłopakami, a jedno z potężnych podań Usamy uderzyło mnie w tył głowy i straciłem przytomność. Pamiętam, że chwilę wcześniej zobaczyłem twarz Karima próbującego mnie przestrec, a potem usłyszałem, jak dziwna cisza wypełnia moje uszy. To

była taka sama cisza. Mogłem czytać u siebie w pokoju albo bawić się na ulicy, i wtedy dopadał mnie ten cichy lęk. Wołałem ją, nawet jeśli jej nie potrzebowałem. A kiedy zobaczyłem jej oczy, zagubione w twarzy, i usłyszałem jej głos, ten dziwny nerwowy chichot, byłem pewien, że mama znowu jest chora. Czasami ogarniała mnie panika, a potem znajdowałem ją zdrową, pochłoniętą książką Nizara Kabbaniego, jej ulubionego poety. Od tego bardziej się denerwowałem.

Kiedy była chora, mówiła, mówiła i mówiła, a potem prawie nic nie pamiętała z tego, co mi powiedziała. Zupełnie jakby choroba zabierała duszę z innej kobiety i umieszczała ją w mojej matce.

Rano, kiedy już zasnąłem, wyczerpany słuchaniem jej wariactw i pilnowaniem jej z obawy, że się spali albo zostawi odkręcony gaz w kuchence, albo - uchowaj Boże - całkiem opuści dom i sprowadzi na nas wstyd i pohańbienie, ona przychodziła i siadała obok mnie, czesała mi włosy palcami i przepraszała, i czasami nawet trochę płakała. Szczypał mnie wtedy jej oddech, ciężki od lekarstwa, nie mogłem się skrzywić ani odwrócić twarzy, bo chciałem, żeby uwierzyła, że śpię głębokim snem.

17

Była wstrząśnięta, kiedy jej powtarzałem to, co sama mówiła mi-nionej nocy.

- Kto ci to powiedział? - pytała.

- Ty - krzyczałem. Krzyczałem, bo nie byłem w stanie nie krzyżeć.

Wtedy odwracała wzrok.

- Nie powinienes był tego słuchać - mówiła.

Czasami opowiadała o Szeherezadzie. Baśnie z tysiąca i jednej nocy były ulubioną książką jej matki, a chociaż moja babka nie umiała czytać, nauczyła się na pamięć całości, słowo po słowie, i regularnie recytowała ją swoim dzieciom. Kiedy po raz pierwszy o tym usłyszałem, przyśniła mi się babcia, którą rzadko widywałem, jak z trudem pochłania całą książkę. Nic nie złościło mamy bardziej niż historia o Szeherezadzie. Zawsze myślałem, że Szeherezada to dzielna kobieta, która zyskała wolność dzięki zmyślaniu opowieści. W chwilach wielkiego strachu często przywoływałem jej przykład.

- Powinieneś znaleźć sobie inny wzorzec - zaczęła kiedyś mama. -

Szeherezada była tchórzem, wołała niewolę niż śmierć. Znasz ostatni rozdział? Małżeństwo króla Szachrijara i Szeherezady? Kiedy wreszcie, jak już żyła z nim Bóg wie jak długo, jak z nim spała - oczywiście na ten temat nie pada ani jedno słowo - urodziła mu nie jednego, nie dwóch, ale trzech synów, po tym wszystkim zdołała zebrać się na odwagę, ta twoja niby dzielna Szeherezada, i w końcu zadała pytanie: „Czy wolno mi zatem przed twym obliczem wyrazić pragnienie, by mi dozwolono mieć pewne gorące życzenie?”*. I o jaką to łaskę ośmieliła się poprosić? Co to było? - krzyczała mama, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Czy chciała rządzić jakimś zakątkiem jego królestwa, choćby jakąś brudną małą jaskinią? Czy chciała zostać ministrem czegośkolwiek?

Może szkolnictwa? Czy może poprosiła, żeby dano jej biurko w jakimś ustronnym pokoju w jego pałacu o niezliczonych komnatach, żeby mogła potajemnie pisać prawdę o tym potworze, Szachrijarze? Nie.

Ona posłała po swoje dzieci - „jeden z nich szedł, drugi raczkował,

trzeci zaś był dziecięciem przy piersi" -jak mówi baśń. Sami synowie, oczywiście. Ciekawe, jak by jej poszło, gdyby urodziła trzy ladacznicę, takie same jak matka.

* Cytaty z Baśni z tysiąca i jednej nocy za: Księga tysiąca i jednej nocy. Wybór, wybór i wstęp W. Kubiak, przet. A. Czapkiewicz i in., Warszawa 1982.

18

Najbardziej w takiej nocy przerażało mnie to, jak bardzo mama się zmieniała. Wypowiadała przy mnie słowa, które przyprawiały mnie o rumieniec i o dygot serca. Ślina zbierała się w kącikach jej ust. Już nie wyglądała pięknie.

- Śmiałość twojej bohaterki sprowadzała się do tego, by poprosić...

- zawiesiła głos, wpatrując się we mnie, powoli poruszała dłonią w zapraszającym geście - .. .o życie.

Czekała, aż coś powiem, oburzę się, uderzę o udo, westchnę, cmoknę i pokręcę głową. Ja siedziałem ze zwieszoną głową, udając, że moją uwagę przykuwa coś pomiędzy moimi palcami, w nadziei, że ta chwila minie. A kiedy ona znowu zaczynała mówić, zawsze czułem ulgę, że jej głos wypełnia pustkę.

- O życie - powtórzyła. -I nie dlatego, że miała do życia takie samo prawo jak i on, lecz dlatego, że gdyby on ją zabił, jej synowie zostaliby bez matki. - Mama zakryła usta wierzchem dłoni i zachichotała jak dziecko. - „Proszę cię”, błagała twoja Szeherezada. „Proszę cię, byś mnie wybawił od śmierci przez litość nad tymi dziećmi, zaprawdę bowiem jeśli mnie zabić każesz, pozostaną one bez matki, a ty nie znajdziesz niewiasty, która by je wychowała lepiej ode mnie”. Głupia

nierządnicą. Moim zdaniem pięć, najwyżej dziesięć lat później dała gardło. Kiedy tylko „to przy piersi” stało się „tym, które szło”, a jej mięśnie, piękne, giętkie mięśnie Szeherezady... - Mama skrzywiła się z obrzydzeniem. Na jej twarz padało światło z góry, wydawało się zbyt ostre. Zastanawiałem się, czy powinienem je wyłączyć, a wyłączyć lampkę nocną. - ...tak ważne dla zaspokajania Króla, Wielkiego, Potężnego Szachrijara, zwiotczały... - Oczy jej zwilgotniały, dolna warga drżała lekko. - Kiedy już nie była kusząca, przydatna. Kiedy tylko przestała być piękna: buch! Nie ma głowy. - Sama gwałtownie opuściła głowę, wyrzuciła przed siebie wyprostowane nogi. Myślałem, że spadnie z kanapy, ale ona przez kilka minut pozostała nieruchoma, cicha. Wyobraziłem sobie, jak by to było żyć bez niej. Ciepły wir zakręcił się w moim brzuchu, coś ciepłego i godnego zaufania chwyciło mnie za serce, moje ciało zalała dzika radość. Nie byłem pewien, czy to strach, czy podniecenie czułem na myśl, że ją utracę. Nagle się przebudziła. Spojrzała na mnie, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie widzieli. Rozejrzała się uważnie po pokoju, zatrzymała wzrok na chwilę, zapaliła papierosa.

19

- Powinieneś iść do łóżka - powiedziała, uciekając spojrzeniem. Następnego ranka zawsze była miła. Lubiła zabierać mnie na przejażdżki. Jeśli tego dnia miałem lekcje, pytała: „Jest dzisiaj coś ważnego?”, ja wzruszałem ramionami, a ona mówiła: „Zadzwońię do szkoły i powiem, że źle się czujesz”. W samochodzie dużo mówiła i nie dziwiła się mojemu milczeniu. Nie miała nic przeciwko temu, żeby

stanać pod kładką dla pieszych przecinającą ulicę Gorgi, tak że mogłem popatrzeć na niegrzecznych chłopców, którzy zwieszali się za ramiona nad pędzącymi samochodami, a niektórzy, ci naprawdę dzielni, nawet do góry nogami. Normalnie kiedy pod nimi przejeżdżaliśmy, prosiła, żebym zamknął oczy. Ale w te ranki z ochotą parkowała i pozwalała mi patrzeć. Czasami mówiła nawet:

- Muszę przyznać, że są całkiem odważni. -I dodawała: - Obiecuj, że nigdy nie będziesz tak robił. Obiecuj, że zawsze będziesz na siebie uważał.

Czasami kiwałem głową na znak potwierdzenia. A czasami nie.

W niektóre poranki zabierała mnie aż do miasta, żeby kupić pałeczki sezamowe. Albo jeśli poprzedniego wieczoru była naprawdę bardzo chora, jechała ze mną nad morze do restauracji Signora II Calzoniego w Gargaresz, na grillowane krewetki i spaghetti. Zimą zamawiałem zupę buraczano-pomidorową z chlebem z serem i bresaolą*. Podobało mi się, że po burakach miałem przez kilka godzin różową ślinę i język.

Signor II Calzoni miał wielką maszynę, która sama wyciskała pomarańcze. Pozwalał mi przyciskać guzik, który tę maszynę uruchamiał, a ona rozcinała owoce i wyciskała je na moich oczach. Wtedy niezbyt lubiłem sok z pomarańczy, ale czasami wypijałem po pięć szklanek tylko po to, żeby popatrzeć, jak maszyna pracuje. Po posiłku zawsze dostawałem lody włoskie. Mama zamawiała cappucino i popijała je powoli ze wzrokiem skierowanym na morze, spod zmrużonych powiek patrząc na horyzont, gdzie w pogodne dni widzieliśmy Malte, wielkie

ciastko unoszące się na morzu.

Signor II Calzoni zawsze się cieszył na nasz widok. Prowadził nas zawsze do tego samego stolika przy oknie i nie odchodził, czekając Bresaola - włoska wędlina z polędwicy wołowej.

20

na rozmowę. Opowiadał, jak bardzo tęskni za Włochami i jak bardzo kocha Libię. A od czasu do czasu śpiewał - na tyle głośno, by słyszeli wszyscy w restauracji - Niech żyje Wódz przed wielkim murałem, który kilku studentów sztuki namalowało mu w głębi lokalu. Przedstawiał on Pułkownika w pełnym umundurowaniu, ze ściągniętymi brwiami i srogim wyrazem twarzy. I jeśli stolik w restauracji zajmowali ludzie Komitetu Rewolucyjnego albo Muchtabaratu* - ludzie, których nazywaliśmy Czułki - skandował „Al-Fatih, Al-Fatih, Al-Fatih”, wznosząc do góry pięść, aż dołączali do niego kelnerzy. Czasami wychodził też kucharz i widziałem jego wysoką, białą, napuszczoną czapkę.

To, co mi powiedziała, uciskało mi klatkę piersiową tak mocno, że wydawało mi się, że nie dam rady dalej żyć, jeśli tego z siebie nie wyrzucę. Nie chciałem łamać obietnicy - obietnicy, do której złożenia zawsze mnie zmuszała, czasami ponad trzydzieści razy w jedną noc, żebym nie mówił. Musiałem przysięgać na jej życie, raz za razem, a potem mnie ostrzegała: „Jeśli komukolwiek to powiesz, umrę, a moja śmierć spadnie na twoją głowę”, więc próbowałem powiedzieć to jej. Byliśmy w restauracji Signora II Calzoniego. Ona wciąż mi przerywała, błagając, żebym przestał. Zatkąłem więc sobie uszy, zamknąłem oczy i przekrzykiwałem ją jak automat. Uderzyła dłonią w stół.

- Proszę, Sulejman, błagam, nie wprawiaj mnie w zakłopotanie - szeptała surowym tonem przez napięte usta. - Chłopiec w twoim wieku nie powinien mówić takich rzeczy. - Potem zmieniła ton: - Habibi, światło moich oczu, obiecaj, że nikomu nie powiesz. Zwłaszcza Musie. Wiem, jak bardzo go kochasz, ale ten człowiek nie umie trzymać buzi na kłódkę. Obiecuj.

Kiwnąłem głową, otaczając się ramionami i zginając w pół: tylko w ten sposób mogłem zatrzymać to wszystko w środku.

Signor II Calzoni nie podszedł do naszego stolika, kiedy zobaczył nas takich. Stał przy swojej kasie, udając, że nie patrzy.

Czasami nie mogłem się zebrać i zacząć jeść, a mama myślała, że w ten sposób wymierzam jej karę.

- Czego ty ode mnie chcesz? - szeptała gniewnie przez stół. - Dla ciebie ze wszystkiego zrezygnowałam. A ty i tak jesteś niezadowolony. Muchtabarat - libijskie służby specjalne.

21

Jeśli zaczynałem płakać, Signor II Calzoni zabierał mnie do maszyny, żebym wycisnął jeszcze pomarańcze. Trzymał mnie za rękę i mówił z tym swoim śmiesznym akcentem. Potem, jeśli restauracja całkiem opustoszała, siadał przy mnie, patrzył na morze i wzdychał:

- Ach, jaki piękny jest twój kraj, Sulejmanie. Teraz także mój, prawda? Ja też jestem Libijczykiem, tak jak ty. Mówię jak Libijczyk, prawda?

- Nie - odpowiadałem, żeby go rozśmieszyć. Cudownie się śmiał.

Całe jego ciało podskakiwało obok mnie. Siedzisko było gęsto nabite sprężynami, więc ja również podskakiwałem. I z tego powodu rumienił

się przed mamą.

- Powinien pan zmienić nazwisko z Signor II Calzoni na Signor Al-Husejni.

Od tego zawsze podskakiwał.

W drodze do domu żałowałem całego tego mówienia i śmiania, żałowałem, że przerwałem milczenie, dałem się zwieść jak kot wywabiony włóczką spod łóżka. Wiedziałem, że przegrałem, kiedy w drodze do domu, późnym popołudniem, kiedy chleb nie był już najlepszy, ona się zatrzymywała przy pustej piekarni. Stałem z boku, udając, że rysuję coś sandałem na pokrytej mąką podłodze, i patrzyłem, jak piekarz Madzdi sięga głęboko pod ladę, i myślałem, że to diabeł. Podawał jej butelkę zawiniętą w czarną plastikową siatkę, ona zaś szybko chowała ją do torby.

A kiedy wsiadaliśmy z powrotem do samochodu, nie stawiała torby normalnie obok siebie, tylko pod nogami, nie na widoku. Wiedziałem, że to jej lekarstwo, złe dla niej i złe dla mnie, ale pełen wątpliwości co do świata i swojego miejsca na nim, nic nie mówiłem. Masakrowałem twarde końce każdego bochenka, a ona nie narzekała, że je niszczę.

Większość czasu spędzaliśmy z mamą razem - ona była sama, ja nie umiałem jej opuścić. Martwiłem się, że świat może się straszliwie zmienić, jeśli choć na chwilę odwrócę wzrok, jeśli nie będę patrzył.

Wierzyłem głęboko, że muszę tylko poświęcić jej całą swoją uwagę, zająć się nią należycie, a nie dojdzie do nieszczęścia, ona zaś wróci cała i nieskalana, już się nie zagubi, pozostawiona własnemu losowi na drugim brzegu, czekając w samotności. Ale chociaż dręczyły mnie jej nieobliczalność i te palące historie, to jednak moje czuwanie i coś, co

wtedy pojmowałem jako jej chorobę, tworzyły między nami zażyłość, która stanowiła moje najdawniejsze, najskrytsze wyobrażenie o miłości.

Jeżeli miłość gdzieś się zaczyna, jeśli jest to ukryta siła, którą musi wydobyć jakaś osoba, jak światło odbite od lustra, to dla mnie taką osobą była ona. Pamiętam gniew, żal, nawet mroczny, gorący uścisk nienawiści, ale niezmiennie pamiętam też miłość i niezmiennie radość, która towarzyszy narodzinom miłości.

Tamtego lata ustaz Raszid uczył swojego syna prowadzić samochód. Podkładał Karimowi poduszkę i pozwalał mu jeździć po spokojnych ulicach Gargaresz. Tydzień po wycieczce do Leptis Karim wziął bez pozwolenia kluczyki ojca i zawiózł mnie nad morze. Próbował podjechać jak najbliżej wody, ale kiedy tylko dotarliśmy do plaży, koła zakopały się w piasku.

- Dlaczego nie jedziesz do Leptis?

- Mama mi nie pozwala.

- Nie wykręcaj się, ona już powiedziała mojemu babie, że możesz jechać. Czego się boisz?

- Nie boję się. - Nie wyglądał na przekonanego. Zmartwiłem się, że uzna mnie za maminsynka, więc wyjaśniłem: - Ona jest chora. Myślę, że niedługo umrze.

- Przecież wszystkie kobiety chorują - odrzekł Karim. - Moja mama ciągle krwawi.

- Naprawdę?

- Tak. Czasami wchodzę do łazienki i widzę, że woda w sedesie jest

czerwona. To obrzydliwe. To ich przekleństwo. Ale nie martw się, to nie znaczy, że niedługo umrą.

Morze było płaskie i nieruchome jak olej. Biegliśmy, aż woda nas podcięła. Pędziliśmy ku turkusowi, gdzie było chłodniej i głębiej.

Czułem się podle ze względu na Karima, ale ulżyło mi, że moja mama przynajmniej nie krwawi.

- Leptis ci się spodoba. - Zanurkował i połaskotał mnie w nogi.

Potem wróciliśmy na brzeg, gdzie zbieraliśmy kamienie, drewno i wszelkie śmieci, które zdołaliśmy znaleźć, by wepchnąć je pod koła. Silnik jęknął i samochód przechylił się na bok, zanim wydostał się z piasku.

24

Karim kilka razy jeździł do Leptis Magny ze swoim ojcem. Widział też Ghadamis, Sabratę i malowidła naskalne w Fazzanie. Był nawet na statku na Krecie i mówił, że kobiety pływały tam nago. Podobnie jak ja, był jedynakiem. Jedynacy zdarzali się bardzo rzadko, bo jeśli rodzice mieli tylko jedno dziecko, ludzie mogli uznać, że albo kobieta już się nie nadaje, albo, broń Boże, że zarówno matka, jak i ojciec sprzeciwiają się woli bożej. Mamę często pytano, dlaczego nie ma więcej dzieci.

Reagowała na to pytanie rumieńcem. Baba też się rumienił, kiedy jakiś przyjaciel poszturchiwał go i pytał szeptem, dlaczego sobie nie weźmie następnej żony. Może właśnie dlatego na przekór różnicy wieku - Karim miał dwanaście lat, a ja dziewięć - zbliżyliśmy się do siebie. Bo to, co łączyło Karima i mnie, mało przypominało przyjaźń, a bardziej coś jak krew albo cnota. Tak bardzo chciałem być taki jak on.

Kiedy Karim i jego rodzice wprowadzili się do sąsiedniego domu,

mama chciała im złożyć wizytę. Poprosiła, żebym włożył swoje czarne skórzane buty, których prawie nigdy nie nosiłem, bo były ciężkie i obcierały mi kostki, uprasowała mi też białą koszulę i kazała przypiąć kołnierzyk. Nie miałem nic przeciwko temu, bo bardzo chciałem poznać swojego nowego najbliższego sąsiada, o którym chłopaki z ulicy zameldowały mi już, że jest taki jak ja, bez rodzeństwa. Kiedy jednak przybyliśmy, jego matka, ciocia Salma, powiedziała, że Karima nie ma, ponieważ poszedł z ojcem rozejrzeć się po okolicy, potem uśmiechnęła się, przechyliła głowę i dodała:

- Przepraszam.

Większość parceli na naszej ulicy zajmowały rozpoczęte i porzuczone na etapie fundamentów budowy. Załedwie pięć wykończonych domów, postawionych według tego samego projektu, stłoczyło się na środku ulicy: nasz i Karima po jednej stronie, pozostałe trzy po drugiej, tam mieszkali Adnan, Masud, Ali i Usama.

Chodziłem sobie po domu naszych nowych sąsiadów, ubawiony osobliwym wrażeniem. Oto znajdowałem się w budynku, który od zewnątrz był lustrzanym odbiciem naszego domu, ale w środku okazał się zupełnie inny, miał inne meble i kolory na ścianach. Jak dwaj bracia bliźniacy, którzy dorastali z dala od siebie. Na naszych ścianach, wyklejonych włoskimi tapetami, widniały rozkwitające europejskie kwiaty, wiecznie spadające jesienne liście, ten sam ptak przysiadający

25

na tej samej gałęzi i nieprzerwanie szarpiący za tę samą gałązkę, na poręczach naszych foteli zagraniczne motyle, stoliki wykonano z ciem-

nego, solidnego drewna, a nasze okna przystrajało płótno holenderskie i francuski aksamit. U nich ściany pomalowano na pastelowe kolory, listwy przypodłogowe były ciemnobrązowe, „żeby nie było widać, jak się pobrudzą” - wyjaśniła ciocia Salma, oprowadzając mamę po domu. „Ależ sprytny pomysł” - pochwaliła mama z niepokojącym entuzjazmem. Na ich oknach wisiały zasłony z bawełny, bardzo popularnej wówczas w Libii, importowanej z Egiptu. Nie byli tak zamożni jak my; ustaz Raszid był tylko profesorem na uniwersytecie, podczas gdy baba był biznesmenem, który podróżował po świecie, szukając pięknych przedmiotów, zwierząt i drzew, żeby je przywieźć do naszego kraju. Tamtego wieczoru podziękowałem Bogu za nasze bogactwo i poprosiłem Go, żeby zachował nas w tej kondycji na zawsze.

Kilka dni przed zabraniem ustaza Raszida dołączyłem do niego, jego studentów i Karima wybierających się na jednodniową wycieczkę do Leptis. Kiedy obejrzałem się na mamę machającą mi na pożegnanie, czułem, jak pęka sznur w moim sercu. Baba wyjechał w interesach.

Na początku podróży denerwowałem się, ale potem cały autobus zaczął śpiewać i klaskać. Studenci ustaza Raszida byli niezwykle radośni. Kiedy na nich patrzyłem, aż się paliłem, żeby wstąpić na uniwersytet. Kilka dziewcząt namówiono do tańca. Ze spuszczonej oczami potrzasały biodrami i kręciły dłońmi w powietrzu. Przejeżdżające samochody trąbiły klaksonami. Wyglądaliśmy jak przyjęcie weselne.

Karim i ja siedzieliśmy z tyłu, ustaz Raszid z przodu, od czasu do czasu odwracał się do nas i uśmiechał. Kiedy taniec i klaskanie ustały, młodzież zaczęła skandować: „Ad-Doktor, Ad-Doktor, Ad-Doktor” ... Przestaliśmy

dopiero, gdy ustaz Raszid wstał i odwrócił się twarzą do nas.

- Jestem głęboko zaszczycony, że mam taką zdyscyplinowaną, dobrze wychowaną grupę studentów. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzieś ich ukryła, dzika bando.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, klaszcząc i gwizdząc jak najgłośniej.

- Miasto Leptis Magna zostało założone przez ludzi z Tyru...

- Libanu!

- Tak, doskonale, dzisiejszego Libanu. Później było fenickie, a potem oczywiście rzymskie, i właśnie za czasów rzymskich rozślawił je wierny syn, Cesarz Septy...

26

- Septymiesz Sewer!

- Tak, nasz ponury Afrykanin, źródło dumy i hańby zarazem.

- Dumy, dumy!

- No dobrze, skoro nalegacie.

Nagle autobus skręcił w drogę prowadzącą nad morze.

- Witajcie w Leptis Magnie - dokończył ustaz Raszid.

Wydawał się odmieniony. Wysiadając z autobusu, uśmiechnął się do opuszczonego miasta, rozrzuconego nad chlupoczącym morzem, ze skrzyconymi kolumnami, leżącymi na brzegu jak wielkie śpiące giganty, westchnął głęboko i wyrecytował wiersz:

Czemuż pustka po uciesze?

Czemuż taki koniec po chwale?

Dlaczego nicość tu, gdzie niegdyś było miasto?

Kto odpowie? Tylko wiatr,

Który kradnie śpiewy kapłanów

I rozrzuca dusze niegdyś zgromadzonych.*

Kilku studentów zaklaskało. Uśmiechnął się, uklonił, zarumienił.

- Lament Sidi Mahreza** nad Kartaginą mógłby dotyczyć Leptis -
rzekł, ruszając marszem.

Wszyscy pospieszyliśmy, żeby dotrzymać mu kroku.

Pokazał nam zniszczony fryz, na którym widniała część imienia
cesarza. Braki były wszechobecne. Łuki niegdyśszych sklepów stały
bez ścian i dachów i na pustym placu pod gołym niebem przypominały
starców, którzy próbują sobie przypomnieć, dokąd idą. W ich kamieniu
wyrzeźbiono splecione bluszcze i kiście winogron. Brukowane białym
kamieniem ulice - jedne biegnące ku morzu, inne na otaczającą ruiny
zieloną pustynię - śmiało wstępowały w gromadzący się piasek, który
kładał im kres. Spomiędzy kamieni posadzki wyrastały paprocie, tra-
wa i dzika szałwia. Palmy na skraju miasta pochylały się ku sobie jak
plotkujące staruchy.

Wiersz Sidi Mahreza pochodzi z książki *Libya: The Lost Cities of the Roman Empire*
Roberta

Polidoriego, Antonia Di Vity, Ginette Di Vity-Evrard i Lidiana Bacchiello (wyd.
oryg. *Das Antike*

Libyen. Yergesse Statten des römischen Imperiums, Kónemann, Koln 1999).

Sidi Mahrez - święty mistyk tunezyjski z X wieku, patron Tunisu.

27

Pokazał nam „medaliony Meduzy”, wyrzeźbione w marmurze i osa-
dzone wysoko na szczycie wapiennych łuków. Były to chłopięce buzie
o zdrowych policzkach, krągłych jak księżyc w pełni, otoczone bujnymi

lokami, o napiętych czołach, z oczami niespokojnie wpatrującymi się w dal, ustami lekko rozchylonymi.

- Znani są też jako morskie potwory - powiedział ustaz Raszid. -

Zawsze są zwrócenii twarzą do morza, zawsze oczekują najgorszego.

Karim wpatrywał się w medaliony Meduzy długo po tym, jak reszta grupy przeszła do następnego obiektu.

- Po co? - spytał.

- Żeby odstraszyć wroga - odparłem.

- A to niby jakim cudem?

- Nie wiem - ruszyłem dalej.

- Dzieci się nie przydają na wojnie - rzekł, podążając za mną.

Dogoniliśmy ustaza Raszida w dawnych termach - wyłożonych mozaikami kanciastych basenach, wpuszczonych w ziemię, skrytych pod kopułami. Na ścianach i sufitach widniały łuszczące się freski, przedstawiające myśliwych dźgających dzidami szyje lwów i gepardów oraz myśliwych na łodziach w rzece pełnej rozdziawionych ryb.

Ustaz Raszid przystanął przed wizerunkiem nagiej kobiety.

- To Menada, wyznawczyni kultu Dionizosa, boga, który pomaga przezwyciężyć zahamowania i pobudza kreatywność.

Miała dziwne oczy, jak ptak, usta pełne i melancholijne, skóra wokół sutków lśniła różowo, brzuch rozciągał się ku biodrom, które rozszerzały się łagodnie. Tańczyła z jedną ręką nad głową, drugą odchyloną w bok. Słyszałem, jak głos ustaza Raszida przemieszcza się dalej, jak podążają za nim kroki. Podeszedłem do niej bliżej, przesunąłem palcami po ciemnym zawijasiu pępka. Obwiodłem palcem różowy środek

sutka. Potem przeniosłem wzrok na jej ciemne wargi. Pocałowałem je, słysząc swój oddech na zimnym, suchym kamieniu. Coś na kształt winy czy strachu kazało mi się wycofać. Poczułem w brzuchu wir podniecenia. Jej oczy wydawały się patrzeć na mnie. Szybko znowu ją pocałowałem i pobiegłem dogonić pozostałych.

Urządziliśmy tam sobie piknik, a kiedy wszyscy ułożyli się pod drzewami, żeby odpocząć, ruszyliśmy z Karimem na zwiady. Zobaczyliśmy dwoje studentów ustaza Raszida obściskujących się pod orzechowcem. Patrzyliśmy, jak on wsuwa rękę pod jej bluzkę. Ona jęknęła dziwnie.

28

Później ten chłopak walczył na pięści z innym. Nie byliśmy pewni, czy to o dziewczynę. Kiedy jeden walnął drugiego w twarz, ciosowi nie towarzyszył odgłos taki jak na filmie, ale przypominający raczej wilgotny pocałunek. Ustaz Raszid wtargnął między nich i spadły mu okulary. Wtedy wszyscy ucichli. Szukał ich, uśmiechając się dziwnie. Wszyscy na niego patrzyli. Karim dojrzał je w piasku i podniósł. Położył je ojcu na dłoni. Ustaz Raszid założył je za uszy i znowu się uśmiechnął, zwrócony twarzą do ziemi, jakby to on stracił panowanie nad sobą i teraz poczuł się zakłopotany.

Kiedy już wszyscy przygotowywali się do odjazdu, Karim zaprowadził mnie do amfiteatru. Na zmianę zbiegaliśmy na dół aż na scenę słuchać głosu wzmocnionego przez wznoszącą się widownię, ułożoną w półksiężyc. Tymczasem niebo zasnuły gęste chmury, czarne i posiniaczone. Morze, coraz głośniejsze, rozbijało się o brzeg, a potem spadł deszcz.

W drodze powrotnej większość autobusu spała. Patrzyłem, jak Karim wtula się w bok swojego ojca.

Chwilami żałowałem, że baba nie jest podobny do ustaza Raszida.

Łączyła ich przyjaźń, choć bardzo się od siebie różnili. Baba był o wiele bardziej powściągliwy. Najbliżej niego czułem się wtedy, kiedy nie uświadamiał sobie mojej obecności: na przykład kiedy patrzyłem, jak rozkłada na łóżku swoją kolekcję krawatów, nucąc nieznaną mi melodię. Nawet pływał tak, że wydawał się daleki: unosząc się na plecach, z palcami nóg wymierzonymi w niebo, oczami zamkniętymi, obojętny na to, dokąd może go zabrać woda. W domu często zajmowały go książki albo nieskończone stosy gazet, które co rano pojawiały się na progu naszego domu. Czasami zwijałem się obok niego, ale jego moc koncentracji była tak niewiarygodna, że ledwie mnie zauważał. Przyglądałem się jego twarzy, kiedy czytał. Nawet angielskie miętówki, które przywoził z zagranicznych podróży i które trzymał w srebrnym pudełeczku, wydawały się tajemnicze: wielkością przypominały małe tabletki aspiryny, ale gdy tylko wsadzałem jedną do ust, rozpętywało się w nich piekło. Czasami mówił coś po włosku do gazety. To zawsze wywoływało śmiech mamy.

- Twój ojciec klnie na gazetę - mówiła.

Chociaż podróżował więcej niż ustaz Raszid, nigdy mnie ze sobą nie zabierał. Kilka razy go błagałem, a raz czułem się taki chory od smutku,

29

że krzyczałem, kopałem go po goleniach i waliłem pięściami w uda, kiedy mama mnie powstrzymywała, ja zaś płakałem i wyzywałem go „Brzydala!”. Wyjechał tak samo jak zwykle. Już nigdy go nie poprosiłem,

żeby mnie ze sobą zabrał, ani nigdy się przed nim nie rozpłakałem, kiedy odjeżdżał.

Czasami skrycie żałowałem, że to nie Musa, najbliższy przyjaciel baby, jest moim ojcem. Musa był o wiele młodszy, bardziej w wieku mamy, i wysoki jak drzewo. Często nosił mnie na barana, żebym zbierał wysoko rosnące owoce, rozślodzone słońcem, w koronach śliw i drzew pomarańczowych w naszym ogrodzie.

Kiedyś baba wrócił z podróży służbowej ciężarówką pełną drzew, które przyplłynęły morzem ze Szwecji. Dziwnie się czułem, gdy tak nocowały przed naszym domem. Były ciemne, wilgotne i pachniały jak ludzka skóra. Rozłożyliśmy z mamą atlas na kuchennym stole, żeby zobaczyć, gdzie dokładnie znajduje się Szwecja i przez które morze wiodła trasa drzew baby. Innym razem ciężarówka była pełna krów, czarno-brązowych, ze Szkocji. Baba, mama, Musa i ja karmiliśmy je, nie wypuszczając ich z ciężarówki, wpychając paszę przez burty, a ich wielkie, czarne, szkliste oczy śledziły nas w ciszy. Mama śpiewała im, tak jak podśpiewywała sobie w łazience albo kiedy rozwieszała pranie w ogrodzie, delikatnie jak zamyślona dziewczynka. Baba kilka razy obszedł ciężarówkę, by się upewnić, że każda krowa dostała swoją porcję. Krowy nie wydały wtedy żadnego dźwięku, przeżuając posepnie. Przez cały tamten dzień nie byłem w stanie zostawić ich samych, kręciłem się dokoła ciężarówki, zerkając na ich różowe cycki, wspinając się, by spojrzeć w ich osobliwe oczy. Po sjeście wyszli chłopcy i zaczęli sobie z nich żartować. Masud kołysał przed nimi tyłkiem i ryczał, od czego jego brat Ali śmiał się tak mocno, że wyszły mu żyły po bokach

szy. Usama chciał posłuchać, jak ryczą krowy, więc rzucał w nie kamieniami, krowy stłoczyły się, a ich nagły ruch spowodował, że ciężarówka zakołysała się lekko. To chyba przestraszyło Alego. Podbiegł do drzwi wejściowych swojego domu i tam stał, patrząc gniewnie na swoje palce.

- Chodź, nie bądź dzieckiem - powiedział jego brat Masud.

Ali wbiegł do domu i nie wyszedł już tego dnia. Kiedy zagroziłem

Usamie, że powiem babie, westchnął i wyrzucił kamienie z rąk.

Po zmroku krowy zaczęły muczeć.

- Może się boją? - zasugerowałem.

Musa odparł, że to upał im dokucza.

- Tam, skąd pochodzą, słońce nie jest tak gorące i nie daje prawie żadnego światła - wyjaśnił.

- Chcesz nam wmówić, że byłeś w Szkocji? - spytała mama.

- Nie, widziałem to na filmie. Jak go oglądałem, czułem dreszcze.

Baba nie umiał powiedzieć, jak zimno jest w Szkocji, bo kupił te krowy od człowieka na Malcie, która leżała raptem po drugiej stronie morza.

Następnego ranka, jak już baba z nimi odjechał, Umm Masud przyszła do nas na skargę. Była mamą Masuda i Alego i mieszkała w domu naprzeciwko. Podobnie jak jej dwaj synowie, Umm Masud była gruba. Miała pośladki wielkości arbuzów. Nigdy co prawda tego nie próbowałem, oczywiście, ale byłem pewien, że można by na takim pośladku spokojnie postawić szklankę wody. Trzymając za rękę najmłodszego syna, Alego, i machając drugą przy uchu, mówiła:

- Nawet teraz słyszę, jak muczą, i podejrzewam, że jeszcze długo tak

będzie. Ali to nawet nie może zasnąć. - Ali miał dopiero sześć lat i u boku swojej wielkiej matki wyglądał jak krasnoludek. Pokazałem mu język.

Skrzywił się i odwrócił wzrok. - Każdej nocy kilkakrotnie budzi się z krzykiem. Nie wspominając o tym odorze, który został na naszej ulicy

- Właśnie pani o nim wspomniała - mruknęła mama.

- Że co proszę? - spytała Umm Masud, podejrzliwie ściągając brwi w wielkie V.

-Nic.

Umm Masud odeszła, ciągnąc Alego za rękę i powtarzając:

- Krowy? Krowy na naszej ulicy?!

- Następnym razem sprowadzimy węże - mruknęła mama pod nosem. - Ciche, bezzapachowe węże.

- Co ludzie powiedzą? - ciągnęła Umm Masud. - Że trzymamy w domach krowy? To nie jest normalne, o nie.

Cieszyłem się, że nie słyszała mamy słów o węzach. Mąż Umm Masud, ustaz Dżafar, był Czulkim, człowiekiem Muchtabaratu. Wiele razy słyszałem, że może wysłać człowieka na słońce albo i jeszcze dalej. Dwa dni po naszym powrocie z Leptis i tydzień przed tym, jak zobaczyłem babę idącego przez plac Męczenników, zabrali ustaza Raszida.

31

Widywałem już przesłuchiwanego w telewizji. Pamiętałem człowieka, który miał własną fabrykę tkanin w Trypolisie. Został oskarżony o to, że jest burżujem i zdrajcą. Ubrany był w jasnoszary włoski garnitur, który lśnił lekko w świetle reflektorów. Siedział sztywno na krześle, jakby cierpiał. Stałem tuż za progiem, tak że nie dało się mnie

zobaczyć. Baba i Musa siedzieli na kanapie, mama obok nich na fotelu.

Musa powiedział cicho do baby:

- Specjalnie oszczędzają twarz. Założę się, że jego ciało to jeden wielki siniak.

Nagle w kroczy mężczyzny nie wiadomo skąd pojawiła się ciemna plama i ciągle rosła. Pierwszy to zobaczyłem. Podbiegłem do telewizora i dźgnąłem ją palcem.

- Wyjdź stąd! - wrzasnął baba.

Podbiegłem do mamy i tam stanąłem.

- Marsz do swojego pokoju! - polecił ojciec.

- Daj spokój - odparła mama.

- Nie powinien tego oglądać! - wrzeszczał.

- To także jego ojczyzna - odrzekła cicho, odwracając się do telewizora.

Ojciec wypadł z pokoju. Patrzyliśmy, jak mężczyzna usiłuje zakryć mokrą płamę rękoma, wiercąc się na krześle.

Ale patrzeć, jak aresztują ustaza Raszida, to co innego. Wiele już razy słyszałem, że nikt się przed nimi nie uchroni, ale kiedy ich zobaczyłem, kiedy zobaczyłem, jak to się dzieje, że tak szybko, że nie ma już co się spierać, sprzeciwiać, to rozboleł mnie brzuch. Mama później powiedziała na mój widok:

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Wyjaśniłem jej, co widziałem, na co ona podniosła rękę do czoła i westchnęła:

- Biedna Salma.

Zabrała mnie do łazienki i umyła mi buzię.

- Nie powinienesz być na to patrzeć. Następnym razem biegnij prosto do domu.

Potem zrobiła mi zupę i herbatę, jakbym miał gripę.

Ktoś, jakiś zdrajca, drukował ulotki krytykujące naszego Wodza i komitety rewolucyjne. Przyszli nocą i rzucili je na nasz próg jak

32

gazety. Mówię, że ktoś, ale musiały to być setki, może nawet tysiące ludzi. Chłopcy i ja czatowaliśmy na zmianę w nadziei, że zobaczymy któregoś z tych zdrajców. Wyobrażaliśmy sobie, że oni wszyscy chodzą na czarno, są zamaskowani i bardzo szybcy. Ali twierdził, że widział jednego. Masud huknął go w łeb i rzekł:

- Jeśli jeszcze raz nazmyszlasz w takich sprawach, to powiem babie.

Wszyscy się bali tych ulotek i starali się na oczach sąsiadów drzeć je na drobne kawałki. Inni, na przykład mama, wnosili je do domu.

Patrzyła, jak palą się w zlewie, a popioły splukiwała zimną wodą. Raz podsłuchałem, jak mówiła do cici Salmy:

- Wszystkim nam narobią kłopotów.

Kiedy spytałem, co ma na myśli, westchnęła i odparła, że nic.

Innym razem stała sztywno na dworze, na chodniku, słuchając, jak Umm Masud wygaduje na „zdrajców”. „Dżafar bardzo się denerwuje z powodu tych ulotek” - gderała. Mama rozmawiała z Umm Masud zupełnie inaczej i wydawało się, że jest pełna zrozumienia i podziela jej uczucia. Marszczyła czoło, kręciła głową i zgadzała się ze wszystkim, co Umm Masud mówiła.

- Niech Bóg im wybaczy, nie wiedząc, jak wspaniała dla naszego kraju jest rewolucja.

Rankiem zanim zabrano ustaza Raszida, tak się z chłopakami nudzi-
liśmy, że wzięliśmy ulotki, które nocą zostawili zdrajcy, i przerzucali-
śmy je przez mury ogrodów, a wtedy one oficjalnie już się znajdowały
w domu tych ludzi, w środku. Zrobiliśmy to tylko na sąsiednich uli-
cach, gdzie nikogo nie znaleźliśmy. Do ich leciutkich papierowych ciałek
przywiązywaliśmy małe kamyki i ciskaliśmy nimi przez wysokie
mury, jak granaty na filmach wojennych. Ten występek nas ożywił,
ale wkrótce znowu dopadła nas nuda, więc wróciliśmy na swoją ulicę
i zaczęliśmy się przygotowywać do meczu piłki nożnej.

Gargaresz była nowo wybudowaną dzielnicą i oprócz głównych
tras, łączących ją z centrum miasta, większość ulic nie została tu jeszcze
nazwana ani pokryta asfaltem. Na naszą mówiliśmy Morwowa, bo
rósł tu kiedyś sad morwowy. Ostatnie takie drzewo zostało obok nas,
w ogrodzie ustaza Raszida i cioci Salmy.

Słońce stanęło w zenicie. Usłyszeliśmy trzaski głośnika naszego
meczetu. W oddali nad niskimi domami ulicy widzieliśmy minaret
podobny do ołówka. Potem nadpłynął głos Szajcha Mustafy.

33

Oznaczyliśmy słupki bramki kamieniami i pustymi plastikowymi
butelkami, pospieraliśmy się o połowy i w końcu gra się rozpoczęła.
Kilka minut później zobaczyliśmy pędzący ku nam samochód. Wzbijał
pył, jakby był jedynym stworzeniem na świecie. Lśnił bielą w słońcu.
Na jego widok przestaliśmy grać i podbiegliśmy do jezdni, zostawiając

toczącą się piłkę.

Zatrzymał się przed domem Karima. Ten zamarł, jakby serce mu wpadło do butów. Z samochodu wysiadło czterech mężczyzn, drzwi zostawili szeroko otwarte. Wyglądał w słońcu jak wielka zdechła ćma. Trzech mężczyzn wbiegło do domu, a czwarty, który był kierowcą i wydawał się ich szefem, czekał na ulicy. Uśmiechnął się do dwóch grubych braci, Masuda i Alego. Wtedy nie zauważyłem, że ich zna. Nikt z nas nigdy wcześniej go nie widział. Miał straszliwą twarz, dziobatą jak pumeks. Wrócili jego ludzie, prowadząc ustaza Raszida. Nie walczył. Ciocia Salma szła za nimi, jakby połączona z mężem niewidocznym sznurem. Dziobaty nagle spoliczkował ustaza Raszida, gwałtownie i wściekle. Rozległ się dźwięk jak rozdarcie tkaniny, ciocia Salma się zatrzymała. Drugi kopnął ustaza w tyłek. On to przewidział, bo skoczył do przodu, zanim cios go dosięgnął. Siła kopniaka zmusiła go do skoku, ale nie towarzyszył mu dźwięk. Na twarzy miał ten swój dziwny, zakłopotany uśmiech. Nie spierał się ani nie błagał, jakby znane mu były powody, wszystkie pytania i odpowiedzi. Koszulę miał podartą. Ale żadnej krwi. To mnie zdziwiło, a później pomyślałem, że gdyby krwawił - choć trochę - Karimowi byłoby łatwiej, bo my wszyscy na widok krwawiącego mężczyzny poczulibyśmy szacunek. Ustaz Raszid spojrzał w naszą stronę, a kiedy jego wzrok napotkał wzrok Karima, jego twarz się zmieniła. Wyglądał, jakby miał się rozplakać albo zwymiotować. Potem zgiął się wpół i zaczął kaszleć. Mężczyźni chyba nie wiedzieli, co zrobić. Spojrzeli po sobie, potem na ciocię Salmę, ta jedną ręką zakrywała usta, a drugą objęła warkocz, gruby jak lina kotwiczna,

spływający jej przez ramię. Chwycili ustaza Raszida, wrzucili go do samochodu, trzasnęli drzwiczkami i ruszyli pędem, rozgniatając naszą bramkę. Nie dojrzałem głowy ustaza Raszida między mężczyznami siedzącymi z nim na tylnym siedzeniu. Musiał wciąż kaszleć.

Karim postąpił kilka kroków za samochodem. Przez chwilę myślałem, że za nimi pobiegnie. Stał plecami do nas, potem się odwrócił i poszedł do domu. Ciocia Salma nie ruszyła się na krok, wciąż ścisnęła

34

swoje włosy, patrząc w kierunku, w którym odjechał biały samochód, jakby się zbliżali, jakby w rzeczywistości ustaz Raszid wreszcie wracał do domu z długiej podróży.

Nikt nie wiedział, dlaczego zabrano ustaza Raszida, ale następnego dnia zaczęły się rozchodzić pogłoski, że był zdrajcą. Umm Masud przyszła do naszych drzwi, cmoknęła, rozejrzała się i powiedziała:

- Taki los wszystkich zdrajców.

Baba słyszała już wcześniej, jak Umm Masud plotkuje: twierdziła, że żebrak Bahlul jest bogatszy niż my wszyscy razem wzięci, że piekarz Madzdi nie sprzedaje wyłącznie „niewinnego chleba” - tak to właśnie ujęła - lecz także coś o nazwie grappa, co jest nie tylko haram*, ale i nielegalne w naszym kraju. Takimi plotkami baba się nie przejmowała, w zasadzie nawet go czasami bawiły, ale ustaz Raszid był jego przyjacielem. Często chodzili na spacerzy nad morzem, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi. I wiele razy rozmawiali cicho w gabinecie baby, gdzie czasami dołączał do nich Naser. Nosilem im kawę. Mama pukała dwukrotnie, po czym otwierała przede mną drzwi. Wchodziłem

powoli, balansując tacą, i natychmiast uderzało mnie ostre, wypełnione dymem papierosowym powietrze. Przy nim przenikliwa woń kardamonu i gumy arabskiej, unosząca się znad kawy, wydawała się niemal przyjemna. „Nie rozlej” - tak często brzmiały ostatnie słowa mamy, zanim otworzyła drzwi do tych sekretnych spotkań.

Szybko się nauczyłem, że najlepiej patrzeć przed siebie. Sztuka polegała na tym, żeby nie bać się tego rozlania, albo chociaż nie bać się go jawnie. Ale na początku wchodziłem z opuszczoną głową, wpatrzony w trzy czarne kałuże kawy na srebrnej tacy, mówiąc swoim rękom, żeby były pewne, gdy kątem oka dostrzegałem po lewej stronie kolana dwóch mężczyzn siedzących w wygodnych, pokrytych motylami fotelach, a po prawej brązowy, drewniany bezkres biurka baby. Stawiałem bezpiecznie tacę na biurku, a baba mówił: „Dobra robota, Sulejmanie”. Podnosiłem na niego wzrok i czasami słyszałem, jak strzyka mi w szyi. Ich rozmowa zawieszala się w chwili, gdy mama pukała do drzwi, niecierpliwie czekali, aż wyjdę. „Zamknij drzwi” - mówił baba, ale potem często w ostatniej chwili wołał mnie z powrotem. „Opróżnij to, proszę” - podawał mi po-Haram (arab.) - w islamie kategoria czynków, rzeczy i pokarmów niedozwolonych.

35

pielniczkę pełną niedopałków i spalonych zapalek. A kilka tygodni przed zabranieniem ustaza Raszida postawiłem tacę na biurku baby i zobaczyłem łzy w jego oczach. Czytał coś. Ustaz Raszid i Naser siedzieli w milczeniu i przyglądali się mu. Podeszedłem do niego. Trąciłem go i spytałem:

- Kto się zasmucił, baba?

Ustaz Raszid podniósł rękę z uśmiechem.

- Obawiam się, że to ja, Sulejmanie.

Zmieszałem się. Dlaczego ustaz Raszid miałby sprawiać babie przykrość? Naser zakasłał. Baba położył mi rękę na głowie i schrypniętym głosem rzekł:

- Nikt mnie nie zasmucił, Sluma. Właśnie czytałem... - Spojrzał na kartkę w dłoni. - To takie piękne. Będziemy musieli to opublikować - rzekł, podając kartkę Naserowi. On zaś złożył ją dwukrotnie i wsadził do kieszeni koszuli.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby baba płakał. Nie mogłem pojąć, dlaczego płakał od czytania.

Kiedy baba usłyszał, jak Umm Masud cmoka i mówi „Taki los wszystkich zdrajców”, nie mógł milczeć.

- To kłamstwo - rzekł głosem wezbranym od gniewu. - Kłamstwo, które władze rozpuszczają, żeby usprawiedliwić znikanie niewinnych.

Umm Masud wpatrywała się w swoje palce, porównując długość paznokci.

- Ale przecież wcale nie muszą tego robić. Zawsze się znajdzie jakiś ochotnik, żeby z wielkim zapałem wyręczyć ich w tym kłamaniu. I to z taką łatwością, tak machinalnie... - Mama pociągnęła go za rękaw.

- Zostaw - rzucił. Patrzył na Umm Masud spod zmrużonych powiek.

- Chwasty! - Wymawiając to słowo, przekręcił dłoń, jakby dokręcał śrubę, jakby to słowo miało unieruchomić w kącie Umm Masud. -

Chwasty, jak plotki, nie potrzebują pomocy, same się rozpleniają. -

Twarz baby poczerwieniała. Przeraził mnie jego stan, bo choć często był poważny, bardzo rzadko się wściekał.

Umm Masud dalej przyglądała się swoim palcom, uśmiechając się teraz porozumiewawczo, jakby potwierdziło się wreszcie jakieś jej stare podejrzenie.

Ustaz Raszid powiedział kiedyś babie, że ich żony są jak dwie zagubione siostry, które w końcu się odnalazły. Od chwili gdy się poznały -

36

stojąc w kuchni cioci Salmy pośród rozpakowywanych kartonów - wydawały się szczęśliwe, że los je wreszcie zetknął. Od tamtego momentu dwa dni nie minęły, żeby jedna do drugiej nie zadzwoniła lub nie zajrzała. Znajdowały wymówki, żeby sobie nawzajem poprzekadzać. Wiele razy rankiem ciocia Salma przychodziła do naszych drzwi pożyczyc cukier, mąkę albo sól, a mama zawsze zapraszała ją do środka. „Ach, spieszę się” - mówiła ciocia Salma, ale potem się zapominała, aż ustaz Raszid albo Karim przychodzili po nią, zdenerwowani, że jeszcze nawet nie zaczęła przygotowywać lunchu. A czasami to mama szła do sąsiadów i to my nie mieliśmy lunchu. Mama nigdy nie zapominała się tak, jak przy cioci Salmie.

Piły herbatę i rozmawiały bez końca. Od czasu do czasu kulily się, szepcząc, a potem któraś klaskała w dłonie i wybuchała śmiechem. Przynosiły sobie do posłuchania najnowszą muzykę i czasami jedna grała na tabli*, wykrzykując do rytmu - „ajwa, ajwa” - podczas gdy druga tańczyła, wyrzucając biodra na boki. I kiedyś widziałem, jak tańczą w sypialni mamy do Julio Iglesiasa, powoli, tak jak mężczyzna i kobieta tańczą na zagranicznych filmach, potem ciocia Salma ukloniła się i pocałowała mamę w rękę. Mama szybko ją cofnęła, jak

mnie zobaczyła. Ciocia Salma podeszła do mnie, chwyciła za ręce i zatańczyliśmy. Była taka słodka, pełna uśmiechów, miała rumiane policzki.

Kiedy baba wyjeżdżał, a mama chorowała, nie otwieraliśmy drzwi, udając, że nas nie ma. Ale raz byłem tak przerażony, że otworzyłem cioci Salmie. Zobaczyła mamę na podłodze w sypialni, powąchała ją. Wyglądała, jakby czarny cień opadł na jej twarz. Wyszła z pokoju, po czym wróciła z mokrym ręcznikiem. Poklepała mamę po twarzy. Mama się przebudziła, wydawała się dezorientowana.

- Co ty tu robisz? - spytała.

Ciocia Salma pomogła jej wstać i pójść do łóżka, potem poprosiła mnie, żebym przyniósł szklanek wody. Po powrocie zobaczyłem, że mama płacze.

- Chwal Proroka, dziewczyno - powiedziała ciocia Salma, a mama, z głębokim westchnieniem, wychwalała.

Tabla - instrument muzyczny z grupy membranofonów; para drewnianych, glinianych lub miedzianych kociołków.

nych kociołków.

37

Jak już zabrano ustaza Raszida, mama nie chodziła do cioci Salmy ciocia Salma nie wpadała do nas ani nie składała nam wizyt. Mama nie chciała też, żebym się spotykał z Karimem.

- Nie ma potrzeby, żebyś był tak blisko z tym chłopcem - wyjaśniła. Nigdy wcześniej nie mówiła o nim „ten chłopiec”. - Teraz są takie czasy, że lepiej przemykać pod ścianami.

Spytałem, co to dokładnie znaczy, ale powiedziała:

- Nic, po prostu staraj się trzymać od niego z daleka, i tyle.

Wiedziała, że śledzę ją wzrokiem, próbując zrozumieć, więc dodała:

- Zrozum, lepiej dla ciebie, żebyś się trzymał z dala od tego jego smutku. Ból kocha pustkę, chce tylko słuchać własnego echa, nic więcej. Uważaj.

Słowa mamy mnie poruszyły. Za każdym razem kiedy byłem sam z Karimem, nękało mnie poczucie winy. Miała rację. W dniu kiedy zabrano ustaza Raszida, jakiś smutek pojawił się w oczach mojego przyjaciela, ale nie smutek tęsknoty, tylko smutek zdrady, cichy smutek, który rodzi się z poczucia zawodu. A przynajmniej teraz tak mi się wydaje. Stał się spokojniejszy - zawsze był spokojny, ale nie aż tak - i nie chciał uczestniczyć w żadnej naszej zabawie. Opierał się tylko o stojący nieopodal samochód, kiedy graliśmy na ulicy w nogę, i patrzył na nas tak, że czułem się bardzo mu daleki. Wtedy chciałem, żeby Komitet Rewolucyjny wrócił i tym razem zabrał mojego ojca, tak żebyśmy byli równi, połączeni znowu tymi sekretnymi więzami krwi, które aż do tamtego dnia postrzegałem jako przewagę.

Później, kiedy byliśmy sami, powiedziałem mu:

- Przepraszam, Karim. Przepraszam, że nie stanęliśmy im na drodze ramię w ramię. W końcu Morwowa to nasza ulica.

Wydał pogardliwie dolną wargę i wzruszył ramionami. Czułem się tak, jak mama musiała się czuć, kiedy byłem na nią zły, jak chorowała.

Tak bardzo chciałem przerwać jego milczenie. Poszliśmy popływać. Ale Karim, zamiast skierować się na głębokie, czyste wody morza, które dotykało horyzontu, szybko minąć granatowy pas, który zawsze nas

przerażał, bo na jego dnie roilo się od ciemnych wodorostów, ruchu i innych rzeczy, pływał niechętnie. Minałem pas ciemnej wody, sunąc jak wstęga w swoich długich płetwach, przecinałem ramionami błady turkus, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem go na brzegu, jak odchodził.

! Kiedy baba przyjechał do domu następnego dnia, wydawał się zatroskany. Minęło osiem dni, odkąd zabrano ustaza Raszida.

Zwykle przywoził z podróży prezenty, ale tym razem ich nie miał. W ten sposób nabrałem pewności, że kłamał, mówiąc nam, że jedzie za granicę, podczas gdy uciekał do swojego drugiego życia tu, w Trypolisie, na placu Męczenników.

Czekałem i czekałem, aż spytałem:

- Co mi przywiozłeś?

- Nic - odrzekł, nie patrząc nawet w moją stronę.

Poprzednim razem dostałem zegarek, który działał pod wodą i miał własne światełko. Mamie zwykle przywoził perfumy. Otwierała butelkę, наносiła kropelkę na nadgarstek, wachała go i uśmiechała się do siebie.

I nie miał mnóstwa historii, nie skomentował też ani słowem niczego, co mama przygotowała na jego powitanie. Cały ranek spędziła w kuchni. Wydrążyła cukinie, żeby je nafaszerować ryżem i mięsem. Kuchnię wypełniał zapach pietruszki, cytryny i kardamonu. Skropiła ziarna granatu posłodzoną wodą różaną. Potem wzięła prysznic, wysuszyła suszarką włosy i włożyła świeżą sukienkę. Zapaliła kadzidełka piżmowe i powtykała je w doniczki po wszystkich pomieszczeniach w oczekiwaniu na jego przybycie. Wyglądała przepięknie. Zawsze wyglądała przepięknie, kiedy on był w domu.

Charakterystyczny dzwonek taty składał się z czterech dźwięków: jednego długiego i trzech krótkich: ding-dong, ding-dong-ding-dong-ding-dong. Jakby królik podskakiwał raz, a potem jeszcze trzy razy. Kiedy mama go usłyszała, wyjęła różową różę z wazonu, napchanego kwiatami do pełna, wetknęła ją we włosy, tuż za uchem, i dopiero pobiegła otworzyć.

39

Przyjechał mniej więcej w porze lunchu, zgodnie z zapowiedzią. Siedliśmy do posiłku, a on nie westchnął głęboko z zadowoleniem ani nie rzucił „Nie ma to jak w domu”. Chciałbym, żeby tak powiedział, bo wtedy mamy policzki zawsze się rumieniły. Ale on tylko wepchnął serwetkę nad węzeł krawata, wyciągnął podbródek w stronę sufitu, przy czym wykrzywiły mu się usta, i zaczął popijać zupę.

Mama tylko mówiła i ledwie co jadła. Próbowwała podać mu drugie, ale on wyciągnął dłoń nad swoim talerzem i pokręcił głową.

- Coś wiadomo o Raszidzie?
- Nadal nie wiemy, gdzie jest.
- Faradz, martwię się, martwię się o nas.
- Nic nam nie będzie. Jak Salma?

Mama westchnęła.

- Teraz potrzebuje nas najbardziej - rzekł, odłożył serwetkę na stół i wyszedł z pokoju.
- To do niczego nie prowadzi - rzuciła za nim. Skoro nie odpowiedział, podniosła wzrok na mnie.

Wyciągnąłem do niej talerz, żeby mi dołożyła, chociaż byłem już najedzony.

Wyszedł z łazienki, wszedł do salonu i krzyknął:

- Gdzie herbata?

Baba musiał po lunchu dostać zieloną herbatę. Mówił, że to wspomaga trawienie. Była tak gorzka, że drażniła mi podniebienie.

Skoro siedział spokojnie w salonie, a ona robiła w kuchni herbatę, wykorzystałem sposobność, by zakraść się do ich sypialni.

Przetrzęsnałem mu kieszenie w poszukiwaniu tych wielkich ciemnych okularów. W pokoju unosił się tak silny zapach - połączenie fajki i wody kolońskiej - jakby baba był tam obecny. Nie znalazłem ich.

Poszedłem usiąść przy nim, pocałować go w rękę i powiedzieć, jaki jestem szczęśliwy, kiedy on jest w domu, ale w jego ramionach zastałem mamę z rozpływającym się makijażem.

- Daj spokój, wiesz, jak nie cierpię łez - mówił. Podniosła na niego wzrok i próbowała się uśmiechnąć. - Potrzebuję cię - wyszeptał, a ona kiwnęła głową ze znużeniem. Wytarła twarz i wyszła z pokoju.

- Mistrzu - rzekł na mój widok. - Mój ukochany chłopiec. - Chwycił mnie za policzki, przyciągnął do siebie i pocałował w nos. Policzki

40

mnie bolały, w oczach miałem łzy, ale uśmiechałem się tak szeroko, że nie mogłbym schować zębów, nawet gdybym chciał.

Wróciła mama z herbatą na tacy. Baba trącił mnie kolanem. Nalałem herbaty, para cierpka od mięty i szaławii. Trzymałem imbryk jak najwyżej, żeby wytworzyć jak najwięcej pianki.

- Dobrze, wystarczy - zarządził, ale ja podniosłem jeszcze wyżej. -

Uważaj - rzucił niespokojnie, ale czułem, że uśmiecha się dumnie. To polechtało mnie w piersi.

Kiedy wypił herbatę, spojrział na zegarek, wstał i rzekł:

- Obudź mnie o czwartej. Mam ważne spotkanie.

- Z kim? - spytała, ruszając za nim. - Przecież dopiero co wróciłeś.

Słyszałem, jak rozmawiają, zanim oboje zasnęli. I chociaż nigdy się nie budzili przed czasem, chodziłem po domu na palcach. Słuchałem przyciszonego radia tuż przy uchu, siadłem kilka centymetrów od telewizora. Czułem taką ulgę, że baba jest już w domu. Teraz wszystko może być znowu normalne, pomyślałem. Teraz mogę wychodzić z domu i się nie martwić.

Szczególnie latem, kiedy słońce puchło z gorąca, cały świat szedł spać: dzieci, dorośli, nawet psy znajdowały skrawek cienia, żeby w nim zasnąć. Ja nigdy się nie nauczyłem ucinania sobie drzemki. Wciąż dziwne wydawało mi się przebieranie w piżamę o trzeciej po południu. Kojarzyło mi się to z chorowaniem. Przetrzasałem więc sąsiednie parcele, szukając rzeczy, które by mi się spodobały albo przydały, rzeczy, które kiedyś były nożami albo częściami starych odbiorników radiowych, i zabierałem je do naszego ogrodu. Tam zdrapywałem klej, który zawsze wyciekał ze stawów drzewa klejowego, zbierałem całe drewno, jakie zdołałem znaleźć, i niosąc wszystko w objęciach, wspinałem się po schodach na płaski dach.

Dachówki prażyły się na słońcu, nad nimi wyraźnie falował skwar.

Zapomniałem sandałów, więc w podskokach pobiegłem w cień zbior-

nika na wodę, do swojego warsztatu. Potarłem stopami chłód zacienionych dachówek. Spojrzałem na słońce. Pomyślałem, że jest takie silne, takie potężne, i poczułem, że mnie przeraża, że przeraża mnie swoim potencjałem, że tak bez poruszenia, zupełnie z daleka naciska na nas jak wielki balon. Przypomniałem sobie opowieść mojego nauczyciela Koranu, Szajcha Mustafy, o Moście prowadzącym do Raju,

41

moście, który przecinał Wiekuiste Piekło, by dostarczyć wiernych do Raju. Pewnego dnia wszyscy będziemy musieli po nim przejść, lecz niektórzy z nas nie zdołają. Ci spadną w płomienie na dole, płomienie, które ich przyzywają. Ależ to będzie widok! Żar, krzyki - na pewno będą krzyki - płomienie liżą most, tworzą poręczę - Szajch Mustafa nie mówił nic o poręczach, ale na pewno będą poręczę - gorące w dotyku. „Niektórych spośród nas żar dosięgnie wcześniej niż pozostałych - mówił Szajch Mustafa - ponieważ ten żar, te płomienie piekła ich przywołają". To pewnie tak samo, jak kiedy człowiek mimo woli się odwraca, bo ktoś go zawoła po imieniu. Niektórych będzie ciągnąć do Piekła Wiekuistego - uchowaj Boże - tak jak nas kusi, by się poddać, podporządkować, kiedy nasze imię woła ktoś, kogo w ogóle nie znamy, albo nauczyciel, który zadał pytanie, chociaż wiemy, że nie znamy odpowiedzi - podnosimy rękę i mówimy „Tak", a jeśli on nas nie dostrzeże, wyciągamy ją jeszcze wyżej i krzyczymy: „Ja, ja, proszę pana!", choć wiemy, że możemy tylko się skrzywić i wzruszyć ramionami, nic więcej. Bo ogień przywołuje ogień. Szajch Mustafa ostrzegał mnie przed tym, powiedział: „Musisz zapomnieć o tym żarze, Sulejmanie.

Kiedy będziesz na moście do Raju, musisz skupić wzrok na Raju i na jego pięknie. I za wszelką cenę nie spoglądaj w dół".

Patrząc, jak upał faluje znad dachówek, pomyślałem, że powinienem potrenować przed tym dniem. Postanowiłem, że pójdę, nie pobiegnę, nie pomknę w podskokach, tylko pójdę, w linii prostej jak strzała, nawet nie podkurczając stóp, z powrotem na schody. Schody miały być moim rajem. Pierwszy krok nie był taki zły, jak oczekiwałem, ale po kilku następnych podeszwy stóp paliły mnie i stwierdziłem, że podskakuję i biegnę, zastanawiając się, czy na moście do Raju wolno podskakiwać i biegać.

Chciałbym być jak Szajch. On na pewno nie poczuje żadnego żaru, pomyślałem, ten człowiek jest święty. Prowadził modlitwy w naszym meczecie. Babie podobał się jego głos, więc po piątkowej modlitwie pod wieczór zaprosił go do nas, by wyrecytował kilka sur ku błogosławieństwu naszego domu. Jego głos, który wznosił się i rozprężał, docierał do każdego pomieszczenia i je wypełniał. Szajch był niewidomy. Nigdy właściwie nie spojrzałem mu w oczy, zawsze kryły się za czarnymi, grubymi szklami okularów, ale czasami zerkałem na jedno z boku, otwarte i szukające światła, jak ślimak budzący się w deszczu. Lubiłem

42

siedzieć obok niego, patrzeć, jak jego ciało napina się w dusznej, zawieszanej chwili: twarz unosił w górę, prawą rękę trzymał przy uchu, aż nadszedł - jego głos, z tego jakiegoś miejsca, w którym się rodził, i wyswobodzony płynął przez nasz dom. Czasami w moich oczach pojawiały się łzy, które szybko ocierałem. Czasami chciałem spytać, co

widzi, jak sobie wyobraża nas i świat, ale wtedy nie wiedziałem, jak się zadaje takie pytania.

Moje stopy płuęły. Zbiegłem po schodach do ogrodu i przechadzałem się w cieniu drzewek owocowych, wbijając palce stóp w chłodną ziemię i wyrzucając nogi do przodu z każdym krokiem, naśladowując w ten sposób chód baby. Zerwałem granatową śliwkę, ale okazała się kwaśna, wyrzuciłem ją więc pod macierzyste drzewo. Widziałem miejsce, w którym pozostał ślad moich zębów, i białą dziurę po kęsie. Pod mur, który oddzielał nasz dom od domu ustaza Raszida, spadło kilka owoców morwy. Leżały w pyłe, atakowane przez mrówki. Było to jedyne drzewo, które ocalało z morwowego sadu, unicestwionego przez naszą ulicę. Podniosłem wzrok na jego cienkie gałęzie i niewielkie jagody, które jeszcze się ich trzymały, wisząc nad murem. Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim i one przypadną w udziale mrówkom.

Przyniosłem drabinę i wspiałem się na nią powolutku. Każdy owoc wyglądał jak kopułka maleńkich fioletowych kuleczek. Skojarzyły mi się z winogronami wyrzeźbionymi w łukach Leptis. Uznałem, że morwa to najlepszy owoc stworzony przez Boga, i wyobraziłem sobie młode, dziarskie anioły, jak się zmagają, aby zasadzić taki sad na ziemskiej glebie, po tym jak usłyszały, że Adam, niech Bóg ma go w swojej opiece, i Ewa, niech Bóg ma ją w swojej opiece, zostaną za karę zesłani tutaj, na dół, na ziemię. Bóg wiedział, oczywiście, On wszak jest Wszechwiedzący, ale spodobał Mu się ten pomysł i pozwolił aniołom zrealizować plan. Zerwałem jeden owoc, on zaś niemal roztopił mi się w palcach. Wrzuciłem go do ust, a on się rozpuścił, małe kuleczki

wybuchły jak fajerwerki. Jadłem jeden po drugim.

Nie wiem, jak długo siedziałem na drabinie, ale pobliskie gałęzie wyglądały na ogołoczone, kiedy poczułem oszołomienie. Dotknąłem czubka głowy - był gorący jak maska samochodu w południe.

Teraz już widziałem, że owoce morwy tak mocno dojrzały, że o wiele więcej spadło ich po drugiej stronie muru. Pewnie armie mrówek szycowały się, by je zjeść. Spojrzałem w górę na czysty błękit nieba,

43

podziękowałem aniołom i poprosiłem Boga, by zechciał wybaczyć im psotę. Objadłem się, w moim brzuchu działo się coś niedobrego - owoc morwy w ustach smakował wybornie, ale w brzuchu okazywał się gęsty jak krew - ale za każdym razem, kiedy próbowałem przestać, moje usta domagały się dokładki. Postanowiłem więc, że siądę na murze, spuszczę nogi po obu jego stronach, jakbym dosiadał konia, i zjem wszystkie owoce, do których sięgnę. Odwróciłem się i przyciągnąłem bliżej gałęzie. A gdy nie mogłem już jeść, napełniałem jagodami kieszenie.

Kiedy zszedłem na ziemię, niemal straciłem równowagę. Odkręciłem kran w ogrodzie i wsadziłem głowę pod wodę. Pod zimną wodą poczułem się świetnie, ale kiedy się podniosłem, stwierdziłem, że świat wiruje.

Szybko wsadziłem głowę z powrotem pod wodę i zamknąłem oczy, ale widziałem tańczące kolory i dziwne postacie. Moje oczy, i otwarte, i zamknięte, skrywała zasłona, zza której wszystko widziałem zamazane.

Uszy wypełniał jakiś świst. Świat obracał się jeszcze szybciej. Siadłem tam, gdzie stałem. Czułem, jak wilgoć z ziemi przesiąka mi przez szorty. Muszę zakręcić kran, pomyślałem. Potem usłyszałem, jak mama

mnie woła. Wyciągnąłem wszystkie owoce z kieszeni i wepchnąłem do buzi, przeżuwając je i przelękając jak najszybciej. Nagle dostrzegłem żebraka Bahlula stojącego za parkanem ogrodu. Wpatrywał się we mnie. Ciekawe, jak długo tam stał. Wymierzył we mnie palec. „Widzę cię, widzę!” - krzyknął. Chociaż wiedziałem, że Bahlul jest obłąkany, te słowa, te bezsensowne słowa, które zawsze powtarzał, wprawiły mnie w jeszcze większe zakłopotanie. Czy on uznał, że ja kradnę owoce sąsiadów, i zgłasza się na świadka? Czy ja kradłem? Nie byłem pewien, ale gdybym nawet kradł, na pewno uzyskałbym wybaczenie. W końcu owoce należały do Karima, ustaza Raszida i cioci Salmy. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Gdyby Bahlul rozniósł taką plotkę, ktoś by mu uwierzył, bo „nie ma dymu bez ognia”. Moje serce zadygotało. Starąłem się wyglądać jak niewinny, wydawać się niewinny, czuć się niewinny, ponieważ, jak powiedział mi kiedyś Szajch Mustafa, niewinny nie ma się czego lękać. Mama znowu zawołała. Oparłem się o mur, by nie zgubić drogi, słuchając, jak woda uderza w ziemię za moimi plecami. Chciałem wrócić i zakręcić kran, ale dalej szedłem w stronę kuchni. „Nie ma dymu bez ognia” - usłyszałem powtórnie.

W chłodnym cieniu naszego domu krew, która wcześniej uderzyła mi do głowy, ustąpiła. Mimo że ledwie widziałem cokolwiek poza

44

ruchem tej dziwnej zasłony światła i pyłu, siadłem w miejscu, gdzie powinno znajdować się krzesło. Z daleka - czy mama też go słyszała? - doszedł mnie dziki krzyk Bahlula „Widzę cię, widzę!”, i zastanawiałem się, czy odchodząc tak, słaby i zamroczony, przyznaję się do winy i tym

samym utwierdzam go w jego przekonaniu.

- Dlaczego jesteś mokry? Co masz za czerwień na rękach i twarzy?

Co się z tobą dzieje? Co się stało? Co się stało? I dlaczego, na miłość boską, mi nie odpowiadasz?

Siadłem pochylony nad kuchennym stołem, z dolnej wargi kapa-

ła mi ślina. Chciałem się odezwać, by ją uspokoić, ale nie mogłem.

Patrzyłem tępo przed siebie poprzez zasłonę migoczącego światła. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, co ją tak zmartwiło. Normalnie o tej porze ciągnąłem ją za rękę na górę do swojego warsztatu, żeby jej pokazać, co zrobiłem. Ona mnie całowała, potem podchodziła do skraj dachu i patrzyła na morze, a za nią wydymała się jej długa jedwabna suknia zdobiona wielkim, rozłożonym pawim ogonem. Słońce świeciło już słabo i wielobarwnie. Odbijało się w morzu. Stałem przy niej, opierając się o jej nogę, i za każdym razem, kiedy podnosiłem wzrok, jej oczy wpatrywały się uważnie w połyskującą wodę. Opowiadała mi, jak morze się zmienia, bo morze zmienia się codziennie. W tych chwilach mogłem jej zadać dowolne pytanie, a ona udzieliłaby mi odpowiedzi, wszelkie pytania, jakie tylko byłbym w stanie wymyślić i ile tylko zdołałbym wymyślić.

- Co ci się stało? - Walnęła w stół i wstała. Czuję, że porusza się dokoła mnie. Zaczęła mówić do siebie: - To wszystko twoja wina. Jeśli cokolwiek mu się stanie, cała wina spadnie na ciebie, powiedzą, że spałaś sobie, kiedy syn cię potrzebował. To jeszcze dziecko, Nadźwa, co ty sobie myślałaś?

Dziwnie się słucha, jak matka mówi do siebie po imieniu, bardzo

dziwnie się słucha, jak ktokolwiek to robi, a mama najbardziej, bo niemal nikt nie nazywał ją Nadźwą. Dla mnie była mamą, dla swojej rodziny Naomą, a dla reszty świata Umm Sulejman. Baba mówił do niej Umm Sulejman albo Naoma, albo mama, i tylko czasami Nadźwa. W jego ustach brzmiało to tak słodko.

Kiedy to pomyślałem, usłyszałem, jak głos mamy się przemieszcza i wykrzykuje imię baby. Nie czułem, że wstaję czy wychodzę z kuchni, ale nagle znalazłem się w progu ich sypialni. Ledwie słyszałem, jak

45

pochyla się nad nim i potrząsa go za ramię. Obudził się gwałtownie, oszołomiony. Zastanawiałem się, czy jest już czwarta, pora jego ważnego spotkania. Oboje spojrzeli na mnie. Zasłona na moich oczach zgęstniała. Widziałem na twarzy baby rozdrażnienie, że go obudziła niepotrzebnie, skoro tu stoję i najwyraźniej nic mi nie jest. Potem wszystko pociemniało.

budziłem się dopiero w nocy. Byłem zdezorientowany.

Słyszałem jakieś głosy, ale nie umiałem określić, skąd dobiegają.

Nasz dom dzielił się na część frontową i tylną. Oddzielały je drzwi wahałowe na korytarzu. Od frontu znajdowały się oficjalne pomieszczenia: salon gościnny, gdzie przyjmowaliśmy osoby, których nie znaliśmy zbyt dobrze i gdzie ja ćwiczyłem na pianinie, oraz jadalnia po drugiej stronie korytarza, z której nigdy nie korzystaliśmy. Od tyłu mieliśmy salon dla siebie, i tam stał telewizor, kuchnię, a dalej łazienkę i sypialnię.

Moje drzwi były otwarte, a przez nie widziałem, że w salonie świeci się światło. Mama odkaszlęła i spytała:

- Gdzie on jest?

- Nie wiem. Przyczai się, póki nie sprawdzimy, co się dzieje z Raszidem.

To był Musa. Uwielbiałem, jak Musa przychodził.

- Nie powiedział ci, gdzie jest?

- Nie. Przyszedłem prosto z placu Męczenników i tam go nie było.

- Mówiłam, żeby się trzymał z dala od Raszida i jego ulotek.

- Nie martw się, Raszid nic nie powie.

- Nie jestem dzieckiem. Wiem, do czego są zdolni ci ludzie.

- Przejechałem pod uniwersytetem. Studenci zajęli cały campus i powywieszali z okien transparenty: „Nie jesteśmy przeciwko rewolucji, jesteśmy przeciwko jej wypaczeniom. Autonomia dla związku studenckiego”. To hasła zainspirowane naszymi ulotkami.

Wyobraziłem sobie, że mama macha ręką przy uchu, jak często robiła, kiedy słuchała czegoś, z czym się nie zgadza, bo Musa dodał:

- Umm Sulejman, nie bądź cyniczna. To są ekscytujące czasy. Wszystko może się zmienić.

47

- Chmury - odrzekła. - Tylko chmury. Zbierają się, a potem odpływają. Co wy sobie myślicie? Że kilku studentów okupujących uniwersytet obali dyktaturę wojskową? Na miłość boską, gdyby to było takie proste, sama bym to zrobiła. Widziałeś, co się stało trzy lata temu, kiedy tamci studenci ośmielili się podnieść głos. Powiesili ich za szyje. A teraz musimy znowu na to patrzeć. Durni marzyciele! Trzeba być nieodpowiedzialnym głupcem, żeby ich do tego zachęcać.

- Mamy obowiązek nazywać niesprawiedliwość po imieniu.
- Nazywaj ją sobie po imieniu w swoim kraju. Tutaj albo milczysz, albo udajesz się na emigrację. Albo przemykasz pod ścianami, albo wyjeżdżasz. Jak chcesz być bohaterem, to gdzie indziej.
- Jak długo? Jak długo mamy jeszcze chylić głowę?
- Aż Bóg nas wybawi. Nic nie trwa wiecznie.

Wyszedłem ze swojej sypialni i usłyszałem westchnienie Musy.

- W rzeczy samej, Bóg zawsze pamięta o swoich wiernych. - Pierwszy mnie zobaczył i zaklaskał. - O! Mistrzu! Witamy, witamy.

Mama wstała z kanapy.

- Jak się czujesz? Nic ci nie jest?

- Nic - odparłem, bo wiedziałem, że potrzebuje szybkiej odpowiedzi, szybkiej dobrej odpowiedzi. Zapewniłem ją, że czuję się dobrze, że spałem najspokojniej w świecie i śniłem najpiękniejsze sny, a kiedy to wyznałem, to o snach, poprosiła, żebym usiadł i je opowiedział.

Mama lubiła sny i uważała, że leży w nich tajemne przesłanie, przepowiadające przyszłość albo ujawniające prawdziwą naturę człowieka. Umiała określić, o czym mówi dany sen, ponieważ każdy szczegół we śnie jest symbolem. Naprawdę. Na przykład morze we śnie oznacza życie. Jeśli jest wzburzone i rozszalałe, czekają cię trudne chwile, ale jeśli jest spokojne, czeka cię okres spokojny i piękny. Ryba to chciwość. Dziewczynka to powodzenie, i jeszcze oznacza życie. Chłopiec to straszliwy pech. Ale jeśli chcesz poznać znaczenie snu, to przede wszystkim musisz zapamiętać, jak się czujesz zaraz po przebudzeniu. Jeśli śniła ci się piękna dziewczyna w bieli, tonąca

w rozszalałym morzu, a potem otaczała cię banda chłopców, bijąca cię zdechłą rybą, ale obudziłeś się szczęśliwy, nie martw się, nie lękaj - to dobry sen.

Szybko zmyśliłem sen, w którym chodziłem nad spokojnym morzem. Mama uśmiechnęła się i orzekła, że to dobry znak.

48

- Co jeszcze ci się śniło? - spytała.

Zastanowiłem się szybko, ale Musa mnie wybawił. Wstał i wsadził mnie sobie na barana.

Musa był tak wysoki, że musiał się trochę schylać, żeby przejść przez drzwi. Z jego ramion widziałem, jak kryształki żyrandola migoczą obok mnie, kiedy zaczął wbijać palce w moje nogi.

- Nic mu nie jest, nic mu nie jest - powiedział. - Wszystko z nim w porządku. To mistrz, nasz wielki mistrz, i nic mu nie dolega. Tylko spójrz na niego, spójrz na jego mięśnie. Nic mu nie jest, kompletnie nic. Po prostu uwielbiamy się cackać z naszym mistrzem.

Zawsze lubiłem masaże Musy, ale teraz moje ciało było jeszcze sztywne po spaniu i bolało mnie, kiedy wbijał swoje wielkie palce w moje uda i stopy. Zachichotałem.

- Już nikt mnie nie zaprosi na lunch - powiedziała mama. - A jeśli sama zaproszę przyjaciół, nikt nie przyjdzie.

- Tchórze - rzucił Musa.

- Nie, po prostu rozsądni ludzie.

Musnąłem palcami kryształowe koraliki żyrandola. Ręce wciąż miałem czerwone od morwy. Wyglądały jak dziewczęce dłonie ufar-

bowane henną na Id*.

- Kiedy mnie ostatnio odwiedzili krewni? Albo jego krewni? I to za co?

- Nie można dać ludziom waleczniej szych serc.

- Nie można. Jedyni waleczni w tym kraju to ty, mój mąż, Naser, Raszid i naiwni studenci, których ciągniecie ze sobą. - Westchnęła. -

Pomóż mi - powiedziała, a jej głos złagodniał. - Pomóż mi przekonać go, by zszedł z tej nieszczęsnej drogi.

- Nie jestem do tego najodpowiedniejszą osobą.

- Ale on cię słucha.

Musa puścił jedną z moich kostek i zerknął na zegarek. Była dziewiąta dziesięć.

- Kto to jest wierny? - spytałem.

- Postaw go - poleciała mama, a Musa schylił się jak żuraw. Przyłożyła dłoń do mojego czoła. Miała chłodną i wilgotną skórę.

Id al-Adha - Święto Ofiar, rozpoczyna się dziesiątego dnia miesiąca pielgrzymi i trwa przez następ-

ne trzy dni.

49

- Jak można się stać jednym z wiernych? Założę się, że nie parzą ich stopy na moście do raju.

- Wciąż jest ciepły, ale nie ma gorączki. Zrobię nam coś do jedzenia

- stwierdziła i wyszła z pokoju.

- Jedzenie, jedzenie. Kiedy nie wiemy już, co robić, zabieramy się do jedzenia - powiedział Musa i wybuchnął śmiechem. Śmiech Musy był zaraźliwy, człowiek też zaczął się śmiać, nawet jeśli nie śmieszło

go to, co rozbawiło Musę.

- Chłopcu potrzebna jego siła - zawołała z kuchni.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Siadłem obok niego na kanapie, na dłoniach. Zwykle tak robiłem, ponieważ moje dłonie były często zimne jak „kostki lodu”. Tak właśnie nazywała je mama. Moje stopy również często były zimne. Ilekroć dotykały jej stóp, ona się wzdrygała, rozcierała je albo szła po ciepłe zimowe skarpety.

- Podobało ci się Leptis?

-Tak.

- Co ci się w nim podobało?

- Morskie potwory. Kiedy mnie zabierzesz do cyrku? Obiecałeś.

- Może jutro.

- Jak staje się wiernym?

- Modlisz się, żeby diabeł cię nie znalazł.

- Dlaczego diabeł nas szuka?

- Takie ma zadanie.

- Myślę, że owoce morwy pochodzą z nieba.

Miałem nadzieję, że Musa zabierze mnie do gabinetu baby, zajrzy do jakiejś grubej książki i nauczymy się wszystkiego, co tam jest o morwie.

Kiedy Musa czytał, trzeba było się zatrzymać i słuchać, inaczej by tego nie robił. Przysiadał na skraju siedzenia i sadzał mnie naprzeciwko. Jego ręce zmieniały się wraz ze słowami, czasami były szybkie i niecierpliwe, a czasami delikatne i powolne, a kiedy docierał do miejsca, które mu się podobało, zostawiał książkę otwartą na kolanach, klaskał dłońmi i śpiewał w górę: „Allahu! Dziękujmy Allahowi, że słowa mogą

być takie słodkie". Albo o autorze: „Cóż za światło, cud, ten wyjątkowy majestat, ta precyzja - doskonała precyzja języka, słowo daję!" Potem brał książkę i czytał dalej.

Jeśli była to poezja, trzymał książkę jedną ręką, a palec wskazujący oraz kciuk drugiej łączył i mówił - każde - słowo - jakby - było - wol-

50
no - stojącym - budynkiem, a kiedy znajdował coś, co mu się podobało, nie klaskał ani nie wykrzykiwał pochwał pod adresem autora lub rodziny autora - o nie - on brał tłący się papieros i zaciągał się powoli i głęboko, a oczami jeszcze raz śledził wers, noga kołysała się nerwowo, po czym mówił, nie odrywając wzroku od kartki: „Słyszysz, Sulejmanie, akcję? Akcja zawsze jest w słowach". Potem powtarzał wiersz i prosił, abym tym razem miał baczenie na akcję, ponieważ poezja, jak zawsze powtarzał, to słowa w akcji. Próbowałem to zrozumieć, kiedy czytał swojego ulubionego poetę, a zarazem rodaka, Salaha Abd as-Sabura:

Niebo i ziemia w swych objęciach;

Okna chorych, światła mostu,

Oczy żandarmów i minarety migoczą.

Nie dziwiło mnie, jeśli nie rozumiałem takich fragmentów. Ale niepokoiłem się zawsze, gdy rozpoznawałem w wierszu coś znajomego, coś, czego zdążyłem już doświadczyć, a w każdym razie tak mi się wydawało:

Ach, południe, wypełniasz moje serce

Strachem i przerażeniem, pokazując

Mi więcej, niż chcę zobaczyć.

Albo:

Teraz zmierzch, pożegnalne spojrzenie

Na słońce, które zmęczone pokłada się na wzgórzach.

Teraz, czerń.

A czasami niepokoił mnie żar w głosie Musy, kiedy czytał takie

wersy:

Kosztownych strojów, które nosimy

Użyczył nam sułtan

51

Z którym żyjemy w przyjaźni

Głębokiej i ogromnej jak otchłań.*

Musa bardzo lubił Salaha Abd as-Sabura, a kiedy w 1981 roku poeta zginął tragicznie w wieku pięćdziesięciu lat, Musa przez czterdzieści dni niezmiennie nosił czarny krawat.

Zaraził mnie swoją miłością do języka. Drażnił mnie jednak, kiedy czytając prozę, omijał spore fragmenty albo dodawał coś od siebie.

Umiałem odgadnąć, że zaczyna dodawać, ponieważ jego oczy odrywały się od kartki i kierowały na mnie. Gdyby wtedy nie zmyślał, to skąd brałby tekst?

- Człowiek, który napisał tę wielką, opasłą książkę, Musa, nie napisał tych słów - mówiłem. - Nie chciał ich tam, bo gdyby chciał, to sam by je dopisał. Nie możesz wkładać tych słów w jego usta!

Uśmiechał się pod nosem, kołysał nogą, potem stukał książkę wierzchem dłoni.

- Ale krąży w kółko.

- Czytaj po prostu to, co jest na stronie - błagałem.

- Ale on ciągle szuka po omacku. Wlecze się, żeby powiedzieć to, co chce powiedzieć. Wiem, do czego zmierza, pozwól więc, że ci to przedstawię. - Potem na sposób wojskowy mówił: - Cisza! Uwaga! - i podejmował czytanie, gdy tylko zdołał wymazać uśmiech z twarzy. Miałem teraz nadzieję, że zabierze mnie do gabinetu baby i poczyta mi o morwie. Ale kiedy powiedziałem mu, że owoce morwy pochodzą z nieba, nie zareagował właściwie.

- To zwyczajne, małe, miękkie, bezpestkowe owoce - odrzekł tylko.

- Nieprawda. To dary aniołów. Niebiańskie owoce, które wcale nie miały być ziemskie, ale anioły zmówiły się za plecami Boga, chociaż wiedziały, że jest Wszechwiedzący, i wiedziały, że wszystko widzi, bo nas kochają. Zaryzykowały wszystko, Musa, wszystko, żeby dać nam w życiu doczesnym smak Niebios. Myślałem, że wiesz.

Pierwsze trzy cytaty z Salaha Abd as-Sabura pochodzą z jego wiersza Oczekiwanie na noc i dzień,

czwarty zaś z wiersza Opowieść smutnego minstrela.

52

Zatarł swoje wielkie dłonie, podniósł brwi i wpatrywał się we mnie tępo. Tak właśnie zareagował, gdy kiedyś spytałem go, skąd się biorą dzieci.

- Jest to jakiś pomysł - rzekł wreszcie.

Weszła mama z wielką tacą, więc Musa zerwał się, odebrał ją od niej i postawił na podłodze. Cała nasza trójka siadła wokół posiłku pośrodku pokoju i zabrała się do jedzenia. Chleb był ciepły, a kiedy go

rozdarłem, ze środka wydostała się para w małych kłębkach. Herbata przyjemnie spływała mi do gardła, ogrzewając pierś.

- Sulejman - odezwała się mama - musisz uważać na słońce.

W ogrodzie pod drzewami jest okej, ale na odsłoniętym dachu słońce może cię zabić, habibi.

Usta miałem pełne, więc tylko kiwnąłem głową.

Musa oderwał wielki kawałek chleba, trzymał go trzema palcami i nabrał kawałek tuńczyka. Potem zanurzył to w harissie* i zanim zdołała spaść choćby kropla, całość wrzucił sobie do buzi. Także kiwnął głową na słowa mamy, po czym głośno siorbnął herbaty.

- Słońce! - powiedział wreszcie. - Och, słońce, mój chłopcze, mogło cię zabić. - Kiwał przy tym głową, a palec, czerwony od harissy, wymierzył w niebo. Jego wielkie oczy przylgnęły do mnie jak dwa magnesy i musiałem w nie patrzeć, nie miałem wyboru. Nagle podniósł talerzyk oliwek i podał mi go. Wziąłem jedną. Wtedy odezwał się dzwonek do drzwi. Na chwilę wszystko zamarło, jakby po małej eksplozji.

Mama spojrzała na Musę.

- Daj Bóg, żeby to był on - powiedziała, po czym wstała i pobiegła do drzwi.

- Nie mówiłem, Umm Sulejman? - krzyknął za nią Musa. - Bóg zawsze pamięta o swoich wiernych.

* Harissa - ostra pasta wytwarzana z papryki chili i czosnku, używana w Tunezji i Libii.

Moje uszy podążyły za mamą. Dzwonek dzwonił raz za razem w bezsensownych napadach. Wciąż jednak tliła mi

się w piersi cicha nadzieja, że to może baba. Wyobrażałem sobie, jak opiera się ramieniem o drzwi, poci się, krwawi pięknie z jednej brwi i dyszy - dokładnie jak bohaterowie w filmach - czeka, aż drzwi się otworzą, by wpaść w ramiona swej żony.

- Idę - zawołała mama napiętym głosem.

Usłyszałem, jak drzwi się otwierają, potem głos obcego mężczyzny.

Wiedziałem, że to nie baba, ale i tak spytałem Musę:

- To baba?

- Ćśś - burknął, wyteżając słuch.

- Tak, tak - mówiła mama oficjalnie. - To jego dom. Nie ma go... Ale mówię panu, że go nie ma.

Mężczyzna jakby jej teraz odczytywał swoje słowa, wyrzucał je, jakby były formacją czołgów paradyjących w Święto Rewolucji. Musa patrzył przed siebie, tak jak ludzie, którzy starają się usłyszeć coś ledwie słyszalnego, coś, co nie jest przeznaczone dla ich uszu.

- Nie wejdziecie! - krzyknęła mama.

Musa wstał.

- Nie ruszaj się stąd - szepnął i wyszedł. Poczulem, jak przechodzi mnie zimny dreszcz.

Teraz rozległa się cała fala głosów. Ledwie słyszałem mamę.

- Z drogi! - krzyknął mężczyzna.

Ilu ich było? Setki, tysiące? Nagle wśród hałasu i krzyków usłyszałem głos mamy, głos, który skojarzył mi się z małą zdenerwowaną rybką zdaną na siebie w głębinach:

- Widziałam, jak mnie wczoraj śledziliście - mówiła. - Nie wstyd wam tak śledzić kobietę z dzieckiem? Nie macie nic lepszego do roboty? A więc byli to ci sami mężczyźni, którzy nas wczoraj śledzili z placu Męczenników. Ci sami, którzy pobili ustaza Raszida i sprawili, że zniknął. „Zniknął jak kryształek soli w wodzie” - tak to ujęła ciocia Salma, kiedy już obiegła posterunki policji i urzędy Komitetu Rewolucyjnego, i wróciła, uderzając jedną dłonią w drugą i mamrocząc: „Zniknął jak kryształek soli w wodzie”. Po kogo przyszli tym razem - zastanawiałem się - po mamę, po Musę czy po mnie? Jak możemy dowieść, że nikt spośród nas nie jest i nigdy nie był zdrajcą? Jak można dowieść czegoś, co się nie zdarzyło? Zagryzłem wargę, żeby zęby mi nie stukotały. Przypomniałem sobie słowa baby, które szeptał mi do ucha za każdym razem, gdy nas zostawiał: „Pilnuj mamy, teraz ty jesteś tu mężczyzną”. Wetknąłem dłonie pod pachy, żeby nie drżały.

Musa próbował mówić spokojnym tonem, starając się przebić przez zamęt. Jeszcze nigdy nie czułem wobec niego takiej wdzięczności. Nagle jednak któryś z nieznajomych wrzasnął na niego. Z głosu przypominał staruszkę, ale wiadomo było, że to ktoś młody.

- Kim jesteś? - krzyknął.

Musa usiłował odpowiedzieć niezmiennie uprzejmym tonem.

- Wiesz, kim jesteśmy? - wrzasnął znowu tamten. - Wiesz?! Odpowiadaj!

Wszyscy inni milczeli.

- Zanim się odezwiesz, musisz wiedzieć, do kogo się zwracasz! - krzyczał mężczyzna.

- On tu nie mieszka - wtrąciła mama.

- Spisz go - rozkazał nieznajomy jednemu ze swoich ludzi.

Usłyszałem, jak Musa podaje swoje nazwisko z takim żalem, że przypominałem sobie, jak sam nieraz musiałem przyznać się nauczycielowi, przed całą klasą, że nie odrobiłem pracy domowej.

- Twój adres? Tak, tak. Mieszkasz sam? Ich nazwiska? Całe nazwiska.

Czy to nie egipski sędzia? Jesteś jego synem? Jesteś spokrewniony z tymi ludźmi? No więc to nie jest twoja sprawa. Odsuń się - polecił, a potem podniesionym już głosem powtórzył: - Powiedziałem, odsuń się.

Wybuchło zamieszanie. Musa coś powiedział. Mama próbowała się wtrącić. Usłyszałem, jak drzwi się zamykają i głosy przybierają na sile. Głos mamy się zbliżał, szła do miejsca, w którym siedziałem, do salonu.

55

- Proszę, mówiłam, że go tu nie ma.

- No to czego się boisz? - spytał mężczyzna z głosem staruszki.

- Przestraszycie mi syna.

Wbiłem wzrok w wejście do salonu, oczekując, że lada chwila pojawi się w nim jego postać. I wszedł, mężczyzna z samochodu, którego ciemnych, dziobatych policzków mogłem dotknąć. Stał w progu, odcinając jedyną drogę ucieczki. Usłyszałem, jak mama mówi „To on”. Jego podejrzliwe oczy skupiły się na mnie. Zacząłem się zastanawiać, jak w razie potrzeby zdołam udowodnić, że jestem jej synem.

- Gdzie twój ojciec, chłopcze? - spytał.

- On nie wie - ubiegła mnie mama.

- Zamknij się! - warknął, wciąż patrząc na mnie. Miał władzę ab-

solutną i nagle okazało się, że jest ona respektowana bez wahania. -

Spytałem, gdzie twój ojciec.

Pokręciłem głową, podniosłem rękę do piersi, jakbym chciał powiedzieć „Nie wiem, o czym pan mówi” albo „To nie ja, przysięgam, to nie ja”.

Uderzył dłonią o framugę i wszedł w głąb mieszkania. Mama podążyła za nim. Po kilku sekundach zobaczyłem, jak znowu przechodzi. Z początku nie wierzyłem: w jednej ręce, za szyjkę, trzymał butelkę mamy lekarstwa. Mama stanęła przed nim, skulona z rozpacz.

- Błagam pana - szepnęła - niech pan ukryje mój wstyd.

- To nie tylko zakazane przez Boga i tradycję, lecz także nielegalne.

- Zdawał się rozkoszować ciszą, która zapadła. Potem wepchnął jej butelkę w ręce splecione na brzuchu i dodał: - Ale muszę się zająć innymi, ważniejszymi sprawami. - Z tymi słowy odszedł. - Przeszukamy dom - rozkazał. Mama nie zaprotestowała.

Tymczasem Musa musiał się zaznajomić z mężczyznami, bo teraz się z nimi śmiał.

- Umm Sulejman - usłyszałem go - proszę podać herbatę.

- Przeszukaliście dom? - spytał swoich ludzi mężczyzna z Komitetu Rewolucyjnego szukający baby. - Nie możemy tu siedzieć całą noc.

- Nie, nie, nalegam - mówił Musa, jakby byli przyjaciółmi. -

Najpierw herbata, potem możecie przeszukać dom. Panowie, proszę, tędy. - Wyobraziłem sobie, jak prowadzi ich do salonu gościnnego,

może otwiera któreś okno, żeby wpuścić świeże morskie powietrze i zapewnić im jak najlepsze samopoczucie.

Wciąż byłem przykuty do swojego miejsca. Pod ubraniem zrobiło mi się mokro i zrozumiałem, co się stało. Na skórze czułem ciepło-zimne i lepkie siki. Wyczuwałem posępny zapach owoców morwy, zgniły i ciężki. Zrobiło mi się niedobrze. Mocniej ścisnąłem uda. Nagle usłyszałem, jak mama w kuchni przygotowuje dla nich herbatę i coś do tego: „bo gościom niczego nie może zabraknąć”.

Podszedłem do drzwi wahadłowych prowadzących do holu i przytrzymałem jedno skrzydło, żeby słyszeć, o czym rozmawiają Musa i ci mężczyźni.

- Papierosa? - spytał Musa. - Papierosa? Chciałby pan zapalić?

Proszę, śmiało, papierosa. Proszę się częstować, nalegam.

- Ja takich nie palę - rzekł jeden głos.

- A jakie pan pali? Rothmansy?

- Tak - odparł głos. I podejrzliwie dodał: - Skąd pan wie?

- Doświadczenie - Musa się zaśmiał. - Te są równie dobre. W zasadzie nawet lepsze. Śmiało.

- Dlaczego? - znowu podejrzliwie spytał mężczyzna. - Bo są amerykańskie?

- Nie. Rothmansy też są amerykańskie. Te są po prostu mocniejsze.

- Wszystkie szkodzą tak samo - włączył się inny głos. - Rzuciłem półtora roku temu i możecie mi wierzyć: to tylko strata zdrowia i pieniędzy. Nic więcej.

- Właśnie - zgodził się Musa. - Dlatego właśnie te są lepsze. Są

mocniejsze i droższe, a zatem bardziej niszczące. - Uraczył ich wybuchem swojego potężnego śmiechu, który wstrząsnął domem, ale nikt mu nie zawtórował. Zamilkł, odchrząknął. - Proszę, zrobi nam pan przyjemność.

Wróciłem do salonu. Po kilku minutach mama zawołała Musę.

Słyszałem w jej głosie, że sili się na swobodny ton. Ale słyszałem w nim też drzenie, jak w scenach finalnych, kiedy bohaterka, trzymając się resztek żywota, stara się wypowiedzieć ostatnie słowa, coś prostego i znaczącego, do tej osoby, która sięga po jej dłoń, tej jednej jedynej osoby, która w tych okolicznościach została nagle awansowana do roli osoby najbliższej, dziedzica, który podźwignie cenne ostatnie słowa, i rodzi się nieskończona ufność, zaufanie wolne od zdrady, od choćby

57

cienia podejrzeń o zdradę - nie ma czasu na zdradę - bohaterka sięga po jego rękę, wiedząc, że on nie zdoła sprowadzić jej z powrotem na stały grunt, ale na pewno pozostanie na zawsze wierny tej chwili.

Straszliwie chciałem pójść do salonu, żebym to ja sięgnął po jej dłoń.

Usłyszałem, jak Musa przeprosza na chwilę mężczyzn. Kiedy szedł w głąb domu, w kieszeni zadzwoniły mu klucze. Przyniósł ze sobą zapach zgromadzonych, odór dymu, ciężki od potu i starych zatęchłych oddechów, oddechów jak oddech poszczających.

- Po co to? - warknęła szeptem. - Nie chcę tych szcurów w swoim domu. Podawać im herbatę...

- Mogą z nim zrobić wszystko. Lepiej ich pozyskać. Poza tym może dzięki temu zrezygnują z rewizji.

Klucze Musy dzwoniły głośniej, kiedy niósł tacę z powrotem do salonu gościnnego. Musiała być bardzo ciężka, obładowana jedzeniem, jak jedna z tych tac, do których sięgał król Szachrijar, leżąc i słuchając z sennymi oczami drżącej w duchu Szeherezady która coraz delikatniej snuła wątek opowieści aż po ostatnią ze swych tysiąca i jednej nocy. Jak ona to zrobiła? Jakim cudem Szeherezada trzymała nerwy na wodzy?

Kiedyś widziałem wuja Chaleda, jak pisał wiersz w ogrodzie.

Siedział na wyściełanym wiklinowym krześle, założywszy nogę na nogę, zerkał w niebo, jakby rozwiązywał jakieś zadanie matematyczne.

Pisanie wymaga wielkiego skupienia. Jak by się wujowi, „wielkiemu poecie”, jak mówił o nim baba, pisało pod mieczem Szachrijara? Co by mu z tego wyszło? Czy umiałby tworzyć muzykę? Umiałby śpiewać?

Szeherezada umiała, noc po nocy, chociaż nie mogła podnieść wzroku w niebo ani zamilknąć w odosobnieniu swojego ogrodu, słuchając, jak wiklinowe krzesło skrzypi pod jej ciężarem. Ona, teraz jestem tego pewien, była najdzielniejszym człowiekiem w historii świata. Jedna sprawa to nie bać się śmierci, a druga - śpiewać w jej obliczu.

Musa nalegał, by nieznajomi jedli. Gdy tylko któryś odmawiał, on naciskał mocniej, podnosząc głos i - chociaż był kawalerem - grożąc, że rozwiedzie się z żoną, jeśli nie będą jeść. To zdarzyło się kilka razy, w przerwach zaś zapadała cisza, w której słuchać było jedynie brzęk łyżeczek mieszających cukier.

Poszedłem szukać mamy Nie było jej w kuchni. Nie było jej też w sypialni. Drzwi łazienki były zamknięte, ale spod nich sączyła się smuga światła.

- Mamo? - spytałem. Wieczność chyba minęła, zanim odpowiedziała.

- Tak, habibi?

Nic mi nie przychodziło do głowy, więc spytałem:

- Potrzebujesz czegoś?

Drzwi się otworzyły. Nie miała zapłakanej twarzy. Znowu przyłożyła mi dłoń do czoła. Dłoń była chłodna.

- Chwała Bogu, nic ci nie jest. Gorączka całkiem zeszała.

- Przepraszam, mamo - powiedziałem, nie mając pewności, za co dokładnie przepraszam. Ale było mi przykro, czułem, jak gardło mi się zaciska, kiedy to mówiłem.

- Nic ci nie jest, to najważniejsze, nic innego się nie liczy - odrzekła.

Łzy zamgłyły mi pole widzenia. Nagle usłyszeliśmy ludzi przy drzwiach wejściowych.

- Ale teraz tu jesteśmy - mówił z irytacją mężczyzna o głosie starszki.

- Słuchaj - rzekł inny - przyszliśmy po Faradza, a nie przeszukiwać dom.

Któryś ziewnął.

- Robi się późno - zauważył.

- Powinniśmy teraz przeszukać dom - upierał się dziobaty.

- Daj spokój, nie bądź taki uparty.

- Jutro też jest dzień - dodał inny życzliwie.

Nagle usłyszeliśmy, jak Musa zamyka drzwi, zasuwając rygiel.

Spojrzałem na mamę. Modliła się bezgłośnie.

Musa przeszedł przez drzwi wahadłowe i wpadł prosto do salonu.

Siadł, mówiąc do siebie, recytując wersety z Koranu* i dodając kawałki po swojemu.

- Panie nasz, przebacz tym, którzy się nawrócili, ukryj nasze winy, chroń ten dom i przepędź z niego wszelkie zło, trzymaj od niego z dala wszystkich, którzy mu złorzeczą. - Potem szybko powtórzył: - Panie nasz, przebacz tym, którzy się nawrócili. - Patrzyliśmy z mamą na niego. Wstał, obszedł pokój, poprawił zasłony, otworzył kilka okien.

Zebrał tacę z jedzeniem, nad którą siedzieliśmy, zanim ci ludzie nam

Por. przekład Koranu autorstwa Józefa Bielawskiego, Warszawa 1986. Wszystkie cytaty z Koranu

pochodzą z tego źródła.

59

przeszkodzili, i zaniósł ją do kuchni. Wrócił, siadł i zapalił papierosa. Zaciągnął się nim mocno, a kiedy wydmuchiwał dym, niemal gwizd-
nął.

- Co oni ci powiedzieli? - spytała go mama.

Siadł na skraju swojego siedzenia, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni pomiędzy sobą a podłogą. Wyglądał, jakby już nigdy nie miał się odezwać.

- Co powiedzieli? - spytała ponownie, podnosząc głos. Spojrzał na nią. - Ogłuchłeś?

Zakołysał nogą i znowu ze świstem wypuścił dym. Podniósł palec do ust i szybko zerknął na mnie.

- Sulejman - powiedziała mama. - Idź poćwiczyć gamy.

Nigdy mnie nie proszono, żebym pograł na pianinie. Gra na

pianinie należała do zajęć, które mi narzucono, takich jak szkoła, szachy i nieprzerwanie powtarzane, a więc zapewne bezcelowe obcinanie paznokci. Przy czym jako chłopiec wszystkie je musiałem, niestety, wykonywać z należytą powagą. Ale idąc do pianina, czułem się kompletnie wyczerpany. Chciałem się umyć, przebrać, zanim ktoś odkryje, że się zsikałem. Czasami jednak człowiek musi zrobić coś, w czym nie widzi sensu, bo nie ma siły się przeciwstawić.

Koniec długiego i ciemnego korytarza rozjaśniało światło z salonu gościnnego. U wejścia wisiał dym. Postawiłem kilka drobnych kroków, stanąłem i się obejrzałem. Dotarłem do salonu gościnnego, a tam zobaczyłem unoszące się pośrodku kłęby o żywych, srebrzystych konturach, przeplatające się jak węże. Kiedy wcześniej siedziałem na podłodze w naszym salonie, próbując zrozumieć to, co słyszę, wyobrażałem sobie, że Musa otwiera okna, ale nie zostały odsunięte nawet zasłony. Pokój przypominał wypełnione dymem pudełko. Mężczyźni odcisnęli wgłębienia w miękkich poduchach. Policzyłem je: siedem plus Musa. Siedem. Nie mogli się wszyscy zmieścić do jednego samochodu. Tylko jeden samochód przyjechał po ustaza Raszida, ale po babę przysłali dwa: czterech w jednym, trzech w drugim, z miejscem na jeszcze jedną osobę, zarezerwowanym dla baby. Na stoliku do kawy przed każdym stała szklanka herbaty, a tam gdzie miejsce wypadło za daleko, stała na podłodze albo ryzykownie balansowała na poręczy. Wszystkie były puste oprócz jednej. Podeszedłem do niej. Siadłem na miejscu tego człowieka. Wciąż było ciepło. Wyobraziłem sobie, że tu musiał siedzieć

ten brutal z głosem staruszki. Tylko on mógł być na tyle głupi, żeby nie wypić herbaty mamy. Pamiętałem jego twarz, tak blisko wtedy na

61

światłach, pamiętałem, jak wepchnął mamie w rękę butelkę lekarstwa. Przypomniałem sobie, jak bił ustaza Raszida. Zastanowiłem się, jakby to było go spoliczkować, kopnąć go tak samo w pośladki. Trzymałem jego szklanę. Gorące mleko, stygnąc, utworzyło na powierzchni kożuch, a w jego centralnej części widniał pomarszczony kształt kwiatu albo blizny po oparzeniu. Zdmuchnąłem ostrożnie kożuch na jedną stronę i wypilem całość jednym haustem. Dopiero kiedy opróżniłem szklanę, zauważyłem, że herbata była nieposłodzona. Zalała mnie fala gorzkości. W koszyczku na pieczywo zostały tylko okruchy i trochę miękiszu chleba, którego, sądząc po zrobionych z niego kuleczkach i po ich kolorze, użyto do wytarcia rąk i ust. Widziałem już nieraz, jak mężczyźni to robili, i kiedyś sam spróbowałem, ale baba powiedziała, że to wulgarne i obraźliwe wobec chleba, daru od Boga. Na stoliku leżały rozrzucone pestki oliwek, niektóre nawet wrzucono do pozostałych owoców, zanieczyszczając je. Niedopałki papierosów stały oparte o siebie w pustych szklankach herbaty, jak martwe świerszcze. Z miejsca, w którym siedzieli - z miejsca, w którym ja teraz siedziałem - widzieli fotografię baby na ścianie. Była wielkości okładki magazynu i wisiała samotnie, zbyt wysoko. W zasadzie tak wysoko, że łatwo było ją przeoczyć. Baba widniał na niej ubrany w garnitur, a za nim znajdowała się inna fotografia, drzew w świetle słońca. Wyglądało to nieomal tak, jakby naprawdę stał pośród drzew na słońcu. Uśmiechał

się, a wzrok miał utkwiony w górnym, lewym rogu kadru. Jego policzki były nienaturalnie czerwone, usta zaś nienaturalnie fioletowe. Fotograf je przemalował, by uczynić babę przystojniejszym, mniej ciemnym. Przez długi czas wierzyłem w to zdjęcie: że tamtego dnia baba rzeczywiście stał wśród drzew skąpanych w gorącym słońcu, z twarzą bladą i różową niczym Anglik. Potem zaś, kiedy zdałem sobie sprawę, że to wszystko taka sztuczka, poczułem się oszukany i nie miałem nic przeciwko temu, żeby zdjęcie wisiało zbyt wysoko, bo wówczas łatwo było mi o nim nie pamiętać.

To mama nalegała, żebym zaczął na czymś grać. Miałem wybór: ud*, osiemdziesięciodziesięciostunowy kanun** albo pianino. Zdecydowałem Ud - arabski instrument strunowy.

* Kanun - instrument strunowy występujący w tradycyjnej muzyce Bliskiego i Środkowego

Wschodu; rodzaj cytry.

62

się na pianino, ponieważ wydawało mi się, że na nim grać najłatwiej. Szybko się uczyłem i lubiłem grać z mamą. Czasami kiedy docierałem do końca utworu, baba klaskał z innego pokoju, krzycząc: „Brawo, encore”, a czasami nie klaskał ani nie krzyczał.

Nagle poczułem silny, dudniący ból w głowie. Pomyślałem, że lepiej, żebym zaczął grać, bo mama może się martwić, gdzie poszedłem. Podniosłem wieko pianina, jakby cięższe niż zwykle. Wydawało mi się, że moje gałki oczne są gorące. Przycisnąłem do nich zimne palce. W tym momencie wszedł Musa.

- Ale tu zaduch - stwierdził i otworzył okna. Przeszedł do jadalni

po drugiej stronie korytarza i tam też otworzył okna, i dopiero wtedy powietrze się poruszyło. Dym zniknął, a ten powiew, który wpłynął do środka, niósł wilgotny chłód morza. Kiedy oddychałem tym powietrzem, miałem wrażenie, że moje wnętrze się oczyszcza. Łomot w głowie zelżał.

- Oczaruj nas, maestro - powiedział Musa, po czym wyciągnął pufy i zbijał je parami, jakby klaskał. Filizanki do herbaty postawił jedną na drugiej, umieścił je na tacy i zaniósł to wszystko do kuchni. Wrócił z odkurzaczem i zaczął polowanie na wszystkie rozrzucone okruchy.

Znalazłem mamę w kuchni. Zmywała naczynia.

- Umm Sulejman - zawołał Musa przez szum odkurzacza - zostaw to na jutro.

- W porządku - odparła cicho pod nosem. - To nie potrwa długo.

Wiedziała, że on jej nie słyszy. Po co mówić, jeśli nikt cię nie słyszy? Poczulem, że policzki płoną mi z gniewu, który zdawał się pochodzić znikąd. Przechyliła głowę i wymamrotała kilka słów do siebie, słów, których nie dało się usłyszeć, zmarnowanych słów, jak wyrzucone jedzenie, jak przejrzałe owoce morwy na ziemi, przydatne tylko dla mrówek, jak chleb użyty do wytarcia ust i dłoni, jak dobre oliwki zbrukane przez pestki, zadrapano zębami, owijane językami, obessane do cna. Jej plecy zadrżały. Mama płakała. Poczulem, jak mój gniew rośnie. Walnąłem dłonią w stół. Podskoczyła, przykładając do piersi ręce w pianie.

- O co chodzi? - spytała, zakręcając wodę. Siadła obok mnie.

Położyła mi dłoń na kolanie. - O co chodzi, habibi? - wyszeptała.

Trzymała moją dłoń i potrząsała nią delikatnie, jakby chciała mnie

63

obudzić, przypomnieć mi o czymś, i znowu zapytała szeptem: - O co chodzi, habibi, światło moich oczu?

Wyglądała starzej. Chciałem, żeby wszystko było jak kiedyś.

Siedzielibyśmy już teraz na podłodze w salonie, grając w karty, pijąc herbatę. Musa wziąłby gazety i czytał na głos swoje ulubione artykuły.

Mama by komentowała i besztala go za każdym razem, kiedy omijałby jakieś słowa lub dodawał coś od siebie, a ja umierałbym ze śmiechu, słuchając ich kłótni. Baba by przyjechał, zdjął krawat i buty i pogadałby z nami kilka minut, zanimby poszedł się umyć i pomodlić. Wróciłby już odświeżony w białej galabii*, pachnący francuską wodą kolońską. Musa teraz jemu przeczytałby bieżące artykuły z gazety, a baba nigdy się nie sprzeciwiał opuszczaniu i dodawaniu Musy. Baba słuchał go w sposób, który zawsze się Musie podobał, czytał więc głośniej i dłuższymi ustępami.

Baba nigdy na ten temat nie rozmawiał, ale Musa powiedział mi kiedyś, jak wyjątkowa jest ich przyjaźń, a kiedy mówił o tym, słyszało się w jego głosie, jak bardzo kocha babę. Podziwiał go niczym starszego brata, widać to było, kiedy przebywali razem.

Kiedy ojciec Musy, sędzia Jasin, próbował zmusić swego najstarszego syna, by ukończył studia prawnicze, baba wystąpił w obronie Musy. Sędziemu Jasinowi, prominentnemu egipskiemu prawnikowi, zaproszonemu osobiście przez króla Idrisa, by pomóc w reformie libijskich

sądów, niełatwo było się przeciwstawić. Był wysoki i poważny, zawsze ubrany oficjalnie w marynarkę i krawat, nawet w piątki. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu i zawsze idealnie świeże. Nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo takiego jak on. Przez długi czas wierzyłem, że on wie absolutnie wszystko, co można wiedzieć na świecie. Onieśmiała mnie jego powściągliwość i aura powagi, która konsekwentnie towarzyszyła mu wszędzie, dokądkolwiek się udał. Później, kiedy odkryłem, że powściągliwość i powaga nie muszą dowodzić mądrości, bałem się go mniej i zacząłem postrzegać jego sposób bycia jako pretensjonalny, a jeszcze później i tak mu to wybaczyłem i dopiero wtedy go pokochałem. Ponieważ, jak pokazało życie, sędzia Jasin miał zostać moim strażnikiem. Gdybym to wiedział jako onieśmielone dziecko, może rzuciłbym się do morza, by uniknąć tego losu.

Galabija (arab.) - codzienny arabski strój męski i kobiecy; rodzaj długiej sukni.

64

W obecności sędziego ludzie zawsze mówili mniej. Niemal nigdy nie zadawał pytań. Oczy miał brązowe, głęboko osadzone i odrobinę za małe w stosunku do całej głowy; kiedy spoczywały na tobie, czułeś swędzenie. Przy każdym naszym spotkaniu oznajmiał po prostu „Jesteś zdrowy” albo „Zdasz egzaminy”, a gdy nadchodził czas pożegnania: „Będziesz na siebie uważał”. I chociaż kusiło mnie, by powiedzieć „Nie, nie jestem zdrowy i nie zdam egzaminów ani nie będę na siebie uważał”, zawsze mnie zdradzała głowa i kiwałem nią. Cała jego postawa była hipnotyzująca.

Kiedy Rewolucja 1 Września Kaddafiego obaliła króla Idrisa, sędzia

Jasin nie wrócił do Kairu. Otworzył kancelarię w Trypolisie i marzył o dniu, w którym dołączy doń jego pierworodny, Musa.

Musa robił wszystko, czego od niego wymagano, spełniał wszystkie oczekiwania. Towarzyszył ojcu na pogrzebach i w czasie oficjalnych wizyt, a kiedy sędzia nie mógł w nich uczestniczyć, Musa wkładał marynarkę, wiązał krawat i przekazywał kondolencje albo gratulacje od ojca. Rok przed ukończeniem studiów prawniczych - a zaliczenie pierwszych trzech zajęło mu lat pięć - zdecydował jednak, że je przerwie. Sędzia Jasin nie życzył sobie nawet rozmawiać na ten temat.

Sędzia był przyjacielem i prawnikiem baby. Poznali się po tym, jak zamówiona dostawa dębu, którą baba nabył „w dobrej wierze”, nie dotarła na miejsce. Spośród wszystkich członków kółka dominowego skupionego wokół sędziego baba był najmłodszy i jako jedyny nie był sędzią. Zbierali się w czwartkowe popołudnia, kiedy tylko upał tracił na sile, by grać w domino i napawać się niczym niezakłóconym widokiem na morze z balkonu drugiego piętra domu sędziego Jasina. Sędzia wraz z rodziną, nie wyłączając Musy, mieszkał również w Gargaresz, ale oczywiście on sam tak tej dzielnicy nie nazywał. Określał ją inną, bardziej fantazyjną nazwą, na której dźwięk człowiekowi się wydawało, że znajduje się we Włoszech, a nie w Trypolisie: Gorgi Populi. Tak tę dzielnicę nazwano w czasach, gdy Libia była kolonią włoską. „Zamieszkujemy w Gorgi Populi” - mawiał. Musa zawsze wtedy sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Kiedy przejeżdżałem tamtędy rowerem razem z chłopakami, szczęśliwy, że skończył się szkolny tydzień, widziałem starszych mężczyzn

z babą, jak siedzieli nad swoimi kostkami. Baba pytał niecierpliwie:

„Co tam? Czy coś się stało?“, przechylając się przez balustradę.

65

Uspokajałem go machnięciem ręki, jakbym mówił „W ogóle nie wiem, o co pytasz“ albo „To nie ja, jak boni dydy, to nie ja“, a wtedy on prosił, żebym wszedł na górę się przywitać. Teraz, kiedy myślę o tamtych odległych dniach i wspominam niepokój, z którym witał mnie za każdym razem gdy spotykaliśmy się poza domem, zastanawiam się, czy on rzeczywiście zupełnie nie zdawał sobie sprawy z „choroby“ swojej żony.

Zawsze podchodziłem najpierw do niego i całowałem go w rękę, tak jak mnie nauczył - musiałem go całować tylko raz rano i raz wieczorem, ale lubił, kiedy robiłem to w obecności jego przyjaciół. Jeśli chodzi o starych sędziów, to wołałem wymieniać z nimi uścisk dłoni, ale zawsze któryś mnie przyciągał i całował w policzki. Wargi mieli starcze, miękkie i wilgotne. Musiałem bardzo się powstrzymywać, żeby z obrzydzeniem nie wytrzeć twarzy. Zawsze mówili to samo: Ma sha Allah*. Ależ mężczyzna wyrósł z naszego małego Sulejmana. Ile to on już ma lat? Do której klasy chodzi?“. To zainteresowanie powodowało wielki uśmiech na twarzy baby. Potem bardzo poważnym głosem pytał: „Co porabiałeś, młody człowieku?“. Młodym człowiekiem nazywał mnie tylko przy takich okazjach. Coś w jego dziwnym sposobie mówienia wywoływało uśmiech na twarzach starych sędziów, więc uważałem, że robi to dla ich uciechy. „Dobrze, wystarczy zabawy“ - mówił w końcu, chociaż ja się nie bawiłem, wszedłem na górę na jego prośbę, by się przywitać z jego przyjaciółmi. „Czas, żebyś poszedł do

domu, młody człowieku". Kiedy tylko opuszczałem balkon, wycierałem policzki do czysta. Raz, kiedy już zbiegałem po schodach, baba zawołał mnie z powrotem. Zastałem go przed drzwiami wejściowymi. „Słucham?” - spytałem. Pocałował mnie w głowę i dał mi dziesięć dinarów, taką samą sumę, którą znajdowałem pod poduszką rano w dniu swoich urodzin.

Ze wszystkich przyjaciół swego ojca Musa wybrał babę, żeby przekonał sędziego do jego zamiaru porzucenia studiów. Spotkali się kilkakrotnie w naszym domu, zamykali za sobą drzwi do gabinetu baby, jakby planowali bunt, i rozmawiali godzinami.

Baba przekonał sędziego, by ten pozwolił Musie wziąć rok wolnego, proponując, że go zatrudni. Ale zanim ów rok minął, Musa nabrał pewności, że nie zamierza wrócić na studia na Uniwersytet Garjunis, Ma sha Allah (arab.) - zwrot wyrażający podziw lub zdumienie.

66

który znajdował się w Bengazi, dwanaście godzin jazdy samochodem z Trypolisu. Na wieść o decyzji swego syna sędzia Jasin bardzo się wściekł, odpowiedzialnością za to obarczył babę, a Musa zyskał niezależność.

Ta historia silniej związała Musę z naszą rodziną, sędziemu zaś pozwoliła winić babę za każde nieszczęście, które przytrafiało się Musie.

„Zmarnowałeś mi syna, Bu* Sulejman" - wymykało mu się głośno w stronę baby w obecności pozostałych graczy w domino. „Nie posypuj mi ran solą, pokonując mnie w ukochanej grze w moim własnym domu". A raz usłyszałem, jak baba mówi do mamy: „Nie może się

wiecznie na mnie złościć. Przynajmniej w jego domu mam gwarancję, że jego gniew będzie mniejszy".

Relacje między trzema mężczyznami nie poprawiały się, kiedy wszystkie kolejne przedsięwzięcia Musy ponosiły klęskę. Miał fermę kurzą, ale kurczaki przegrzewały się za dnia, a nocą marzły, więc zdychały jeden po drugim. To była katastrofa: tysiąc kurczaków w niespełna tydzień! Choć jednak Musa stracił wszystkie pieniądze - które wcześniej pożyczył od baby - uparł się, by ptaki należycie pochować. „Dlaczego je źle traktować i za życia, i po śmierci?” - tak powiedział. Wynajął wielki żółty traktor z literami „JCB” na bokach. Wykopał wielki masowy grób dla tysiąca swoich zdechłych kurczaków, pochował je, a potem wziął mnie na kolana i przejechał traktorem kilka razy po wierzchu. Była to jakby ceremonia na cześć jego zdechłych kurczaków. Pamiętam, że jak już skończyliśmy, kilka piórek, które uniknęły pochowania, przygnęło do żółtej blachy ciągnika.

Innym razem importował opony z Polski. Całymi dniami opowiadał, jak to polskim oponom samochodowym pisana jest światowa sława.

„Wspomnicie moje słowa. Tak jak Chiny słyną z jedwabiu, Japonia z telewizorów, Nowa Zelandia z owiec, tak Polska zasłynie z opon samochodowych. Zobaczycie, to będzie najbardziej udany import do Libii od czasu maszyn JCB”.

No i sprowadził polskie opony i podobnie jak w wypadku kurczaków, nie zamówił najpierw kilku, żeby je wypróbować, tylko kupił całą partię. „Trzeba być przygotowanym na potrzeby rynku, Sluma”

Bu - skrócona forma wyrazu „abu”, oznaczającego ojca i służącego do tworzenia przydomków typu

Abu Sulejman (ojciec Sulejmana).

67

- mówił, oprowadzając mnie po magazynie, w którym opony składowano. Dziwnie było i wspaniale tak stać w otoczeniu całych kolumn czarnych, gumowych opon ułożonych jedna na drugiej. Wargi Musy były wilgotne. Na twarzy miał wielki, dumny uśmiech.

Opony sprzedawały się bardzo dobrze, kiedy jednak nadszedł sierpień, polskie opony Musy zaczęły się topić. To był wielki problem - i zdecydowanie nie zabawny - ponieważ jego klienci czuli się oszukani i zgłaszali się wściekli, domagając się zwrotu pieniędzy. W jednym wypadku opony stopiły się całkowicie, przyklejając samochód do drogi. Jego właściciel w napadzie gniewu zagroził Musie, że da mu nauczkę. Nie raz i nie dwa baba musiał interweniować, by ocalić Musę przed rozwścieczonymi klientami. Oddawał im pieniądze, przepraszał nieustannie, ale sam nie za bardzo umiał powstrzymać się od uśmiechu. A człowiekowi, który zapowiadał, że da Musie nauczkę, baba zapłacił więcej, przepraszał go mocniej, natomiast po jego odejściu wybuchnął wielkim śmiechem.

Musa zdecydowanie nie życzył sobie rozmawiać o tym przedsięwzięciu. Pamiętam tylko jedno wyjaśnienie, za pomocą którego tłumaczył swoją pomyłkę: „W Polsce nie robi się bardzo gorąco”. Mama i baba nie uszanowali jego żałoby, natychmiast zaczęli żartować sobie z tego epizodu: „Musa, jaka dziś pogoda w Polsce?”. „Myślisz, że możemy zamówić jeszcze jeden komplet tych światowej sławy opon na następną zimę?”. „Na Boga, Musa, jeśli poślubisz Polkę, pamiętaj,

żeby na lato odwieźć ją do kraju".

I moglibyśmy tak nadal wszyscy sobie rozmawiać, czytać, śmiać się.

Tymczasem mama siedziała teraz przede mną przy kuchennym stole, z oczami jak ptak, ciemnymi i pełnymi bólu. Musa wciąż odkurzał salon.

A baba... nie widziałem go, odkąd przyszedłem z ogrodu, kiedy mama pobiegła do sypialni i jak szalona potrząsała nim, żeby się obudził.

- Gdzie baba? - spytałem w końcu. - Czemu jeszcze nie wrócił?

Która godzina?

Mama nie odpowiedziała, wydawała się zastanawiać nad moimi pytaniami: dlaczego je zadałem i co się za nimi kryje. Nagle wybuchnęła:

- Dlaczego pytasz teraz o ojca? O co chodzi? Ja ci nie wystarczam?

Może ty mi wyjaśnisz, co się dzieje?

Usłyszałem, jak głośny szum odkurzacza cichnie powoli. Musa musiał usłyszeć, jak ona krzyczy, i teraz szedł mi na ratunek. Tak sądziłem.

68

- Chcę wiedzieć, gdzie jest baba. Dlaczego go nie ma? - krzyknąłem do niej.

Musa wszedł, próbował coś powiedzieć, ale mama kazała mu pilnować swoich spraw. Zacząłem płakać.

- Słuchaj no - wybuchnęła - mam dość na głowie, nie doprowadzaj mnie do szału. I... i... Co tak śmierdzi? - spytała i pociągnęła kilka razy nosem. - Siki!

- Nie, niemożliwe - powiedział Musa.

- Czuję siki - powtórzyła, otwierając szeroko oczy.

Ścisnąłem mocno uda, a poplamione morwowym sokiem dłonie

przycisnąłem do mokrego krocza. Ona odsunęła moje ręce, mocowałem się z nią, ale była ode mnie silniejsza. Potarła wilgotną tkaninę mojej galabii i powąchała palce.

- Co się z tobą dzieje? - krzyknęła. Spojrzała na Musę, uderzyła dłonią o udo, wskazała na mnie i powiedziała: - On się zsiął. - Postawiła mnie na nogi i krzyknęła: - Nie jesteś już dzieckiem! Dlaczego nie poszedłeś do łazienki? Mów!

- Gdzie jest baba? - płakałem.

- Co robiłeś w ogrodzie? Dlaczego wszystko zalałeś? Dlaczego masz czerwone ręce? Dlaczego się zsikałeś? - mówiła, potrząsając mną przy każdym pytaniu, potem padła na krzesło i zaczęła płakać. - Czego wy wszyscy ode mnie chcecie? Chcecie, żebym zwariowała? - Schowała twarz w dłoniach i tak siedziała, bez ruchu, nie wydając żadnego dźwięku.

- Przepraszam, mamó - powiedziałem w zimną ciszę. - Obiecuję, że już nigdy tego nie zrobię. Nie płacz, proszę.

Spomiędzy jej dłoni dobiegł cichy, stłumiony dźwięk. Jej płacz nie był normalny. Pomyślałem, że znowu jest chora. Spojrzałem na Musę. Zaczęła coś mówić, ale ledwie rozpoznawałem słowa, coś o jej pechu, i jak to od czasów dzieciństwa prześladowuje ją ten pech, pech, pech i pech, pech, pech, wzywała swojego zmarłego babę, żeby przyszedł i jej pomógł, błagała go, by wrócił i uratował ją, bo jest za wcześnie, mówiła, o wiele za dużo i za wcześnie. Płakała. Potem mówiła do baby, obwiniając go za jego marzenia, jego szalone marzenia, przez które ryzykował cały świat.

- Kim ty jesteś, jak ci się zdaje? - mówiła, jakby na stole kuchennym stała przed nią jakaś jego zmniejszona wersja. - Mówiłeś

69

„Musimy natchnąć młodych. Musimy im otworzyć oczy na inne drogi, inne możliwości”. No to teraz zniknąłeś i pootwierales im oczy. Zadowolony? Teraz będą natchnieni. Obudzeni do szaleństwa, do wariactwa. Coś ty narobił, ty głupku? Coś ty narobił? - płakała, trzymając się za głowę.

- Módl się do Proroka, Umm Sulejman, i odegnaj złe duchy - odezwał się Musa za mną.

To dobry chwyt. Kiedy tylko ktoś jest bardzo zdenerwowany albo wściekły, każ mu się modlić do Proroka, to będzie musiał przestać krzyczeć albo płakać i będzie musiał się modlić.

Po dłuższej ciszy westchnęła głęboko.

- Pokój i błogosławieństwo Allaha niech będą z nim - stęknęła.

Wciąż stałem obok niej, patrzyłem na nią, czekając na coś, że coś powie albo zrobi, by wszystko zmienić. Spojrzała na mnie i uśmieknęła się, ale jej uśmiech szybko zmienił się w grymas. Wyciągnęła ręce i pochyliła głowę, jak dziewczynka, która chce się schować. Uściskała mnie. Czulem jej wilgotne usta na szyi, jej oddech ciepły i nieregularny.

- Przepraszam, habibi - wymamrotała. - Przestraszyłeś się. Przepraszam.

Poklepałem ją po plecach i powiedziałem coś, co czasami mówiłem, kiedy była chora, kiedy nie miałem nic do powiedzenia, ale coś powiedzieć musiałem.

- Wszystko będzie dobrze.

Otarła łzy, wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową.

- Wiedziałaś, jak anioły ciężko pracowały i jak wszystko zaryzykowały, żeby dać nam owoce morwy? - spytałem, żeby ją pocieszyć, żeby jej policzki znowu się zaróżowiły. - A wszystko dlatego, że wiedziały, jak ciężkie będzie nasze życie tu na ziemi. Szkoda, że nie było cię ze mną, żebyś ich posmakowała. Pamiętasz, że mówisz, że w Raju wszystko, co znamy, będzie piękniejsze? No właśnie, wszystko oprócz owoców morwy, już tutaj smakują akuratnie, to anielski sposób, byśmy się uzbroili w cierpliwość. Myślę, że to jedyna rajska rzecz tu na ziemi. Żałuję, że nie zostawiłem kilku dla ciebie. Może jutro jeszcze jakieś znajdę, poszukam.

Ujęła moje policzki w dłonie i pocałowała mnie w czoło.

- Jesteś moim księciem. Moim pięknym księciem - uśmiechnęła się.

Umyty leżałem już u siebie, a wtedy wszedł do mnie Musa i włączył światło.

- Może mały masaż, zanim zapadniesz w sen, ty książę, ty. -

Próbował mnie rozśmieszyć.

Nic nie powiedziałem. Byłem na niego zły, że nic nie zrobił, że tylko stał i patrzył na to wszystko, że teraz włączył światło, kiedy już moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Leżałem na brzuchu, nawet się do niego nie odwróciłem. Siadł przy mnie i zaczął mnie dźgać swoimi wielkimi palcami w ramiona, przesuając nimi jak wielkim widelcem w górę i w dół, i na boki też. Słyszałem, jak wzdycha z trudem. Poza tym milczał.

Nigdy nie lubiłem się złościć na Musę, ale nie mogłem się powstrzymać, nie wiedziałem, jak mam znowu być normalny, żeby się z nim śmiać i bawić. Nie skończył, nie uraczył mnie swoim mamucim masażem, w trakcie którego ścisnął, wykręcał i wyciągał mi każdą kończynę, każdy palec i kłykieć. Szybko pocałował mnie w tył głowy, wyłączył światło i wyszedł.

Słyszałem, jak rozmawiają, potem trzasnęły drzwi. Musa wyszedł. Wyszedł w noc. Do swojego ciemnego i zimnego samochodu, tak sobie wyobraziłem. Słyszałem, że silnik nie odpalił, dopiero za trzecim czy czwartym razem, potem samochód się rozpędził, opuszczając nas, rozpląnął się w ciszy.

Tamtej nocy śnił mi się baba unoszący się na morzu. Woda była niepokojna, poruszała się tak jak na głębinie, wzbierając i opadając wzgórzami. Leżał na plecach. Wyglądał jak niewielka łódź rybacka, która próbuje poddać się żywiołowi. Ja też tam byłem, ciężko się trudziłem, żeby utrzymać ramiona nad wodą, żeby nie stracić go z oczu, ale morze się podnosiło i zniknął mi z pola widzenia. Wciąż płynąłem. Wiedziałem, że jestem blisko. Nagle go zobaczyłem. Był drewniany i sztywny. Kiedy zbliżyłem się na tyle, żeby go dotknąć, zamienił się w rybę, zwinną i płochliwą. Zanurzał się z pluskiem i wynurzał. Widziałem, jak jego srebrny grzbiet śmiga pod powierzchnią wody. Odwróciłem się i nie zobaczyłem brzegu, do którego mógłbym wrócić.

Po przebudzeniu stwierdziłem, że leżę na jego miejscu, w łóżku mamy. Schowałem twarz w jego poduszkę, pachniała solą jego szyi.

Pod poduszką moje ręce natknęły się na jego skórzany notes. Zawsze go tam chował, na wypadek gdyby śnił. W grzbiet wpięte miał wąskie złote pióro, które służyło za zamknięcie. Wyciągnąłem je i otworzyłem notes. Pismo baby wypełniało strony od skraju do skraju i od góry do dołu. Na końcu została tylko jedna czysta kartka. Ledwie by mu się tam zmieścił jeden sen. Patrzyłem na jego zawijane niebieskie pismo, przerwane tylko przez prostą linię alif albo lam*, jak słupy latarni i palmy nad brzegiem Trypolisu. Jego kropki bardziej przypominały małe kreski lecące w jednym kierunku niczym ptaki albo confetti pierzchające przed prędkością jego pisania, które goni sen, zanim ten zdoła umknąć z pamięci. Przypomniałem sobie jego postać - widziałem go w tak wiele poranków - kiedy siedział na łóżku, delikatna pochyłość

* Alif, lam - litery arabskiego alfabetu.

72

nagich pleców skulonych nad notesem, niedłuższym od jego palca wskazującego, zapisując sen, z którego właśnie się obudził. Usłyszał, że wchodzi do pokoju, i podniósł drugie ramię w powietrze jak sędzia piłkarski. Zamknąłem jego notes złotym piórem i odłożyłem go pod poduszkę.

Obok, tam gdzie spała mama, zobaczyłem zmiętą pościel, kształt jej głowy na poduszce. Pomyślałem, że moglibyśmy tak spać co noc, ona i ja razem w jednym łóżku. Nigdy nie spędzała tu nocy, kiedy baba był w domu, a ponieważ moje łóżko było za wąskie dla nas dwojga, spała sama na kanapie w salonie. Najlepiej byłoby, pomyślałem, gdyby baba spał w moim pokoju, a ponieważ ani mama, ani ja nie chrapaliśmy,

możliśmy mieć wielkie łóżko całe dla siebie.

Taką mama miała wymówkę, żeby spać na kanapie. Ja nigdy nie słyszałem, żeby on chrapał. „Pewnie, że nie słyszałeś - mówiła. - On chrapie tylko wtedy, kiedy śpi bardzo mocno, a to się zdarza jedynie w środku nocy, kiedy ty sam śpisz głęboko”. Jakoś trudno mi było w to uwierzyć, zwłaszcza że mama mówiła, że jak chrapie, to tak głośno, aż materac wibruje. Nie zadawałem dalszych pytań, bo wyczułem w jej głosie, w podkreśleniu „ty sam” irytację, która była wymierzona w równym stopniu we mnie, jak i w babę, a także w nią.

W te noce, kiedy baba był w domu, a mama ciągnęła za sobą koc na kanapę w salonie, czułem, jak coś się zbiera, niczym ciemna ciecz wokół naszych stóp, rozdziela nas, wysyła w samotne rejsy przez nasze osobne noce, gdzie poranek wydaje się tak daleki i tak abstrakcyjny, że nie można na nim polegać. Dopiero kiedy siedzieliśmy przy stole nad śniadaniem w skapanej w słońcu kuchni, czułem, że ta ciecz ustępuje.

Przed zaśnięciem widziałem, jak światło z telewizora w salonie migocze na ciemnych murach na zewnątrz. W swojej namiastce łóżka do późnej nocy oglądała egipskie romanse z niezaspokojonymi kochankami i niezaspokojoną miłością, w których po każdym słowie lub spojrzeniu zawodziły skrzypce. Teraz kiedy mieszkam w kraju, który produkuje te filmy, oswoiłem się już z ich niedostatkami. Ich melodramatyzm chyba pozoruje miłość. Tak właśnie tłumaczę sobie melancholię, którą czułem wtedy jako chłopiec, leżąc w łóżku aż do wczesnych godzin rannych, gdy słyszałem, jak skrzypce wybuchają,

zanim mama szybko ściszyła telewizor. Musiała siedzieć na skraju,

73

gotowa na te skrzypce, niecierpliwie czekając chwili, gdy jej zwątpienie w miłość przybierze na sile i umocni się w niej odruch, by radzić sobie bez niej, akceptując - zawsze akceptując - życie, które jej narzucono.

W niektóre noce kładła się w swoim pokoju, ale rano znajdowałem jej poduszkę i koc w salonie, w nich jej kształt, a popielniczkę obok pełną zmiętych chusteczek.

Czasami w zimowe poranki, kiedy niebo uparcie pozostawało ciemne, wsuwałem się do jej prowizorycznego łóżka już ubrany w szkolny mundurek, czując, jak krawat ciągnie mnie za szyję, kiedy się zwijałem w jaskini jej koca, z policzkiem rozgrzanym jej poduszką, i myślałem sobie, że to chyba właśnie jest Niebo, bo jakżeby inaczej?

Oni, mama i baba, kładli się razem tylko przy okazji popołudniowych drzemek i dlatego zasłona w ich pokoju była zrobiona z gęstego aksamitu, który nie przepuszczał światła słonecznego, a zakładałem, że w trakcie dwugodzinnej drzemki baba chyba nie ma szans osiągnąć głębin snu niezbędnych do chrapania.

Zawsze podejrzewałem, że jest inny powód tego, że mama nie śpi w swojej sypialni, gdy baba jest w domu. Nie wiem dlaczego, ale w głębi duszy winiłem ją za to. Kiedy ją pytałem o jego chrapanie, wzbierała mi w gardle irytacja. Ale to się zmieniło, kiedy pewnej nocy zobaczyłem ich razem. Wszystko się we mnie zmieniło.

Chyba coś mnie obudziło w nocy i zawiodło do ich pokoju. Jedyne

światło padało z lampki nocnej przy posłaniu baby. W jej słabym blasku zobaczyłem go na niej, jak porusza się w przód i w tył tym samym, smutnym, krótkim ruchem, jak jakaś starucha oplakująca zmarłego. Stałem w ciemności, w progu ich sypialni, tam gdzie nie mogli mnie zobaczyć. Leżała pod nim bez ruchu, odwracając wzrok. Nie widziałem jej twarzy. Jedno ramię leżało wyprostowane u jej boku, wewnętrzną stroną zwiotczalej dłoni do góry. On jęknął jakoś dziwnie, uporczywie jak piła. Nagle zamarł, plecy mu zeszywniały i zadrżały, aż osunął się na jedną stronę. Leżał, oddychając ciężko, wpatrując się w sufit. Widziałem jego penisa opadłego na bok, lśniącego w świetle lampki nocnej. Ona też była naga. Koszulę nocną miała podwiniętą po pachy. Jej piersi drżały dziwnie, kiedy poruszyła się, by sięgnąć po prześcieradło. Naciągnęła je aż po brodę, odwracając się do niego tyłem. Odchrząknęła.

74

- Wyłącz światło - powiedziała. - Mówiłam, żebyś wyłączył światło. Zgasił lampkę i spośród ciemności usłyszałem, jak jego ciało się porusza. Zastanawiałem się, czy znowu się do niej przysuwa. Czy Wielki Tron się poruszył? Pamiętałem słowa Szajcha Mustafy: „Ilekcóć mężczyzna i kobieta pokładają się razem poza związkiem małżeńskim, drży Tron samego Boga". Baba i mama nie byli tacy, oni wzięli ślub przed Bogiem i zgodnie z Sunną Proroka, ale coś w scenie, którą obejrzałem, zaniepokoiło mnie tak głęboko, że nie mogłem sobie wyobrazić, jak to możliwe, żeby Boży Tron, Jego Wielki Tron, nie zadrżał, skoro zadrżało moje serce.

Tamtej nocy leżałem, nie mogąc zasnąć. Zastanawiałem się - i czułem strach, winę i gniew na to zastanawianie - czy powinienem był coś zrobić, żeby to powstrzymać, czy mama potrzebowała mojej pomocy, a ja o tym nie wiedziałem. Nabrałem pewności, że to Opatrzność mnie obudziła. No bo jeśli nie, to z jakiego powodu obudziłbym się o takiej porze? To musiała być Opatrzność. I jakim nieudacznikiem się okazałem! Nieudacznikiem, bo nie mam odwagi - czy czegokolwiek tam, co umożliwia ludziom szybkie, stanowcze i pozbawione wątpliwości działanie - stanąć na wysokości zadania, okazać się jednym z wiernych. Wezwano mnie, bym powstrzymał coś strasznego, coś, czego anioły na pewno nigdy by nie pobłogosławiły, coś, co kazało mamie opuszczać łóżko noc w noc, przez co musiała spać samotnie na kanapie, wtapiając się, tak jak ja się wtapiałem, w sen na śmiesznych dźwiękach skrzypiec egipskiego romansu.

Leżałem w ich łóżku, myśląc o tym, kiedy usłyszałem dzwonek do drzwi, a potem głos Musy. Z tego, jak mówił, wywnioskowałem, że albo niesie coś ciężkiego, jak nowy worek ryżu, albo jeszcze gorący chleb od piekarza Madźdiego.

- Po co mi to? - spytała mama.

- To kamuflaż - wyjaśnił.

- Ale to ogromne!

- Zebrałaś wszystkie dokumenty i książki, o których ci mówiłem?

- Tak, wszystko gotowe.

- Na pewno? Bu Sulejman nie chce, żebyśmy coś przeoczyli.

Kiedy usłyszeli, że wychodzę, umilkli.

- Wstał - szepnęła mama po krótkiej chwili.

75

- Sluma! - krzyknął Musa przesadnie, tak jak krzyczą kibice piłkarscy, kiedy na boisku pojawia się ich ukochany gracz: gwizdzą, ryczą jak dziki tłum, wyrzucają pięści nad głowę.

Poszedłem do łazienki. Usłyszałem, jak szeptem podejmują przerwana rozmowę. Kiedy wszedłem do kuchni, znowu zamilkli. On siedział przy stole, ona stała plecami do mnie, myjąc owoce.

- Jak spałeś, mistrzu?

- Dobrze - odparłem.

- Mama mówiła, że miałeś złe sny.

- Nie pamiętam.

- Cóż, to mogły być następstwa udaru słonecznego. Upał prawdopodobnie stopił ci mózg - roześmiał się tak głośno, że nawet mama nie mogła się powstrzymać. Zasłoniła usta wierzchem dłoni, ale nie wydała żadnego dźwięku. Równie dobrze mogła płakać. Odwróciła się i postawiła na stole paterę z owocami. Spojrzałem jej w oczy, nie płakały.

- Skąd się wziąłem w twoim łóżku? - spytałem.

- Dzień dobry, habibi - pocałowała mnie. - Miałeś zły sen. Nie pamiętasz? Płakałeś.

Pokręciłem głową. Pamiętałem, że miałem sen o babie w morzu, jego srebrny rybi grzbiet pod powierzchnią wody.

- Leżałeś przy mnie, mamrocząc i drżąc.

Wziąłem jej rękę, by ją pocałować jak co rano, ale zadzwonił telefon

i poszła go odebrać.

Musa chwycił jajko, rozbił je sobie o czoło, obrał, wycisnął na nie pół limonki, przetoczył jego lśniące białe ciało przez trzy górki soli, czarnego pieprzu i kminu, potem mi je podał. Zabrał się do czytania na głos gazety, ale ja czułem, że staję się nerwowy, jakbym zaniedbał coś o wiele ważniejszego. Z tego powodu nie mogłem się skoncentrować, a to zirytowało Musę. Napiął szczękę, szarpnął nogą, zapalił papierosa i czytał sobie.

Za nim o kuchenny blat opierał się obraz w ramie. To musiał być ten ciężki przedmiot, który przyniósł. Mama miała słuszość, był ogromny. Wbiegła do kuchni.

- To byli oni - powiedziała. - To na pewno oni. Słyszałam, jak po drugiej stronie oddycha mężczyzna. Staralam się go nakłonić, żeby coś

76

powiedział. Ale on się rozłączył. - Zacierała dłonie. - Chodź, zrobimy to, zanim przyjadą.

Musa podskoczył przy stole. Jego szczęki napinały się raz za razem, a poniżej uszu nadymały mu się przy tym dwie okrągłe kieszonki.

- Gdzie młotek? - spytał.

- Chyba nie mamy młotka - odrzekła mama, otwierając kilka szuflad kuchennych. - Słowo daję, nie sądzę, żebyśmy mieli.

- Nieważne - powiedział i zdjął but. - Daj mi tylko gwóźdź.

- Gwoździ chyba też nie mamy.

- Powinienem był to przewidzieć - powiedział zirytowany i z butem w dłoni pokuśtykał do salonu gościnnego. Podążyłem za nim. Zdjął

zdjęcie baby, to, które wisiało za wysoko na ścianie. Sprawdził wytrzymałość gwoźdźcia, potem walnął go kilka razy obcasem.

- Mam nadzieję, że wystarczy - rzucił do siebie i wyszedł.

Zdjęcie baby stało na podłodze, oparte o nogę pianina. Jego uśmiech się zmienił, baba wyglądała teraz, jakby był zakłopotany, a drzewa za nim wyglądały jeszcze mniej realistycznie. Musa wrócił z wielką ramą w ramionach. Po każdej jego stronie widziałem męskie barki. Były ozdobione gwiazdami i orłami. Musa oddychał ciężko. Dźwignął obraz w górę, opuścił trochę, potem znowu dźwignął.

- Sulejman - wychrypiął, a ja przyłożyłem ucho do ściany.

- Trochę w górę - powiedziałem.

Ale on opuścił obraz. Zaczerpnął oddechu i znowu chwycił ramy.

- Trochę w dół - pokierowałem. - Odrobinę w prawo.

Cofnęliśmy się i patrzyliśmy na Pułkownika wpatrującego się w górę, w dal. Czapkę miał naciągniętą na oczy, jakby coś na niebie go trapiło, czarne kępkę włosów wyrosły przy skroniach i uszach, a także po bokach szyi, dwie zagadkowe linie wyrzezano w policzkach jak nawiasy po bokach ust. Na przymocowanej do ramy tabliczce z brązu widniał napis „Pułkownik Mu'ammara al-Kaddafi, wódz Libijskiej Rewolucji Ludowej”.

- Dobroczynca, Ojciec Narodu, Wódz! - powiedział Musa z uśmiechem. Wyrzucił pięść w powietrze, zawodząc: - Al-Fatih, Al-Fatih, Al-Fatih. - Udawał, że jest wielotysięcznym tłumem.

Nie śmiałem się. Potem schował zdjęcie baby za pianinem i włożył buty. Kiedy wróciliśmy do kuchni, nie zastaliśmy tam mamy. Musa

zajął swoje krzesło przy stole i zapalił papierosa. Ja dalej stałem i przyglądałem się mu.

- Umm Sulejman - krzyknął po krótkiej chwili - co robisz? - A pod nosem mruknął: - Gnoje. - Kiedy dostrzegł, że mu się przyglądam, uśmiechnął się niewyraźnie. - Może usiądziesz?

Nie wiedziałem, dlaczego nie chcę usiąść, i jakoś też nie odczuwałem presji, żeby to tłumaczyć.

- Chodź mi pomóż - krzyknęła mama z sypialni.

Odłożył papierosa.

- Siadaj - rzekł.

Dalej stałem. Wyszedł z kuchni. Zachowywał się, jakby nagle został panem tego domu, a ja gościem. Jego złamany papieros ćmił się w popielniczce. Patrzyłem na niego, aż zgasł.

Potem oboje pojawili się z powrotem, niosąc stosy książek i papierów. On przytrzymał przed nią drzwi prowadzące do ogrodu, ona wybiegła. Nim ruszył za nią, spadła książka. Już miałem mu ją podnieść, ale się zawahałem. Spojrzałem na mnie. Widziałem w jego oczach cień rozczarowania. Zastanawiam się teraz, pod jakim względem go rozczarowałem: czy przez niepodniesienie książki, przez brak tego czegoś, co umożliwia ludziom działanie szybkie i pozbawione wątpliwości?

Czy dlatego, że się go nie posłuchałem, kiedy poprosił, bym siadł? Czy też może jakoś inaczej, czymś bardziej nieuchwytnym niż pojedyncze działanie? Rozczarowanie było szeregiem cieni, jeden wskazywał na drugi. Zostawił książkę na podłodze i wyszedł za mamą. Po chwili

podniosłem tom i podążyłem ich śladem.

Na dworze poranne powietrze pachniało słodko, a ptaki śpiewały, jakby rozgrzewały gardła przed budzącym się dniem. Kiedy dotarłem do schodów, zobaczyłem, jak paw na mamy sukni znika na dachu, Musa szedł tuż za nią, po dwa stopnie. Ja wspiąłem się swoim tempem, od czasu do czasu uderzałem książką o udo, przejeżdżałem nią po ścianie. Na grzbiecie widniał napis „Czas”, a poniżej „na demokrację”.

Musa klęczał obok zbiornika na wodę, tam gdzie miałem swój warsztat. Wziął blaszane wiadro, w którym trzymałem narzędzia, i jednym ruchem wyrzucił jego zawartość. Porwał kilka kawałków papieru, potem zapalił zapałkę i wrzucił ją do nich. Pojawił się ciemny dym.

78

Rozdmuchał go, przestało dymić, i chociaż nie było widać płomieni, wiadomo było, że tam są, bo powietrze nad wiaderkiem falowało.

Pomyślałem, żeby zaprotestować przeciwko wykorzystaniu mojego wiadra, ale było już za późno. Wobec ich pośpiechu wszystko dokoła jakby stawało się nieważne.

Mama szybko przewertowała w ręku papiery, a kiedy ogień był duży i mocny, zaczęła je wrzucać do wiadra, po jednym, jakby karmiła psa. Patrzyłem, jak pismo baby zwija się, czerwienieje, szarzeje, aż wreszcie rozpada się w czarny popiół. Podeszedłem bliżej, aby podać Musie książkę, ale kątem oka dostrzegłem, że mama mi się przygląda. Bałem się, że mnie odeśle, żebym ćwiczył gamy, więc trzymałem książkę za plecami i ani drgnąłem. Musa dalej darł książki. Zdziwiłem się,

że tak łatwo się rozdzielają na części w jego wielkich rękach.

Trzymając gorące blaszane wiadro w swojej białej chusteczce, zniósł je do ogrodu. Mama podążyła za nim, mówiąc:

- Ty znajdź miejsce, a ja przyniosę łopate.

Zostałem na dachu, trzymając książkę za plecami, patrząc na nich z góry. On wybrał miejsce, które zalałem w ogrodzie, przy drzewie klejowym. Mama podbiegła, za nią powiewała suknia z pawiem, i podała mu łopate. Patrzyłem, jak Musa kopie i zakopuje popioły. Na koniec wrócili do kuchni.

Stojąc na dachu, przypomniałem sobie, jak kiedyś przyprowadziłem ją tutaj, gdy się obudziła z drzemki. Wciąż była rozleniwiona od snu, szła za mną w długiej, luźnej szacie. Ja, zbyt podniecony, by czekać, wciągnąłem ją po schodach do swojego warsztatu, żeby pokazać jej, co zrobiłem: drewnianego konika, z uszami z gumy balonowej, ogonem ze skręconych przewodów radiowych. Zrobiłem go, bo poprzedniego dnia powiedziała: „Jesteś moim księciem. Pewnego dnia będziesz mężczyzną i zabierzesz mnie na swoim białym koniu”. Pocałowała mnie i podeszła do krawędzi dachu, by wyrzeć na morze. Słońce gasło, wlewając się do wody. Stałem obok niej, opierając się o jej nogę. Podniosłem na nią wzrok, oczy miała nieruchome i zmrużone przed światłem. „Morze znowu się zmieniło - powiedziała. - Codziennie morze się zmienia”. Potem umilkła. Ze swojej głębi, z miejsca tajemniczego aż do tej chwili poczułem, że ja także się roztapiam, że tak jak słońce wylewa się do morza, tak ja wlewam się w nią.

Wcisnąłem książkę do spodenek, zakryłem koszulką i przemknąłem do kuchni. Mama stała przy zlewie. Pobiegnęłam do swojego pokoju. W chwili gdy zamknąłem za sobą drzwi, usłyszałem, jak Musa wychodzi z łazienki, a potem dźwięk napełniającego się rezerwuaru. Musiałem go minąć o włos. Ogarnęło mnie słodkie poczucie winy i podniecenie, które przypomniały mi chwilę, jak kiedyś ukradłem mu papierosa i zapaliłem go pod łóżkiem. Miałem siedem lat, a może nawet sześć. Kiedy mama mnie przyłapała, dała mi trzy klapsy w pupę. Ukryłem książkę pod poduszką i obawiając się, że moja nieobecność wzbudzi podejrzenia, wróciłem do kuchni.

Siadłem przy stole, naprzeciwko Musy. Nasze oczy się spotkały, a on się uśmiechnął. Chwytał jabłko, pokroił je i dał mi kawałek. Trzymałem go w palcach, czując chłodną wilgoć na swojej spoconej skórze.

- Dlaczego Komitet Rewolucyjny chce przeszukać nasz dom? - spytałem.

Musa zerknął na mamę.

- Nic się nie da ukryć - westchnęła.

Wyciągnął ręce do góry, jakby coś miało spaść z nieba.

- Nic mu nie powiedziałem, widział tylko, jak palimy książki.

-A kto do tego dopuścił? Dlaczego, Musa? No dlaczego? Nie możesz niczego zachować dla siebie?

Widząc, jak mama robi się zła na Musę, ja także poczułem do niego złość. Już nie próbował się bronić. Siedział ze splecionymi rękoma, wpatrując się w stół. Odłożyłem na talerz kawałek jabłka, który mi

wcześniej dał. Zaczął już brązowieć.

- Dzieci nie powinny wiedzieć takich rzeczy. Żałuję, że ci powiedziałam, naprawdę żałuję, że w ogóle ci cokolwiek powiedziałam. - Potem zapadło długie milczenie, które zazwyczaj następowało po ich kłótni.

- Dlaczego spaliliście książki baby? Baba kocha swoje książki. - Żadne z nich na mnie nie spojrzało. - Myślę, że baba nie będzie zadowolony z tego, że spaliliście jego książki.

- No i masz. Co mu teraz powiesz? - spytała mama. - Śmiało, mów - krzyknęła. Musa wpatrywał się w stół. - Powiedz mu o jego ojcu, twoim bohaterze. - Stała przy nim. Trąciła go kilka razy, powtarzając: - Powiedz mu, powiedz. - Przez chwilę jakby się wahała, po czym dodała: - Powiedz, że go zachęcałeś, że wpatrzony w niego czekałeś, aż cię poprowadzi. Nadymałeś mu pierś swoim uwielbieniem.

80

Noga Musy zaczęła podskakiwać.

- Dość - rzekł.

- Teraz mówisz „dość”, a wcześniej go tylko pchałeś i pchałeś.

- Nigdy nie chciałem, żeby mu się coś stało.

- Z tobą to co innego. Ty jesteś Egipcjaninem. Ciebie mogą najwyżej deportować.

- Oddam za niego życie.

- Możesz sobie umrzeć i dziesięć razy, nie przyniesie to żadnego pożytku.

Wargi Musy poczerwieniały, siny cień pokrył jego policzki.

Wyglądał, jakby go ktoś spoliczkował. Zastanawiałem się, czy tak

właśnie wyglądał, kiedy mężczyzna z Komitetu Rewolucyjnego, ten z głosem staruszki, krzyknął na niego, zadając te wszystkie pytania, gdzie mieszka i z kim mieszka, pytania, które się zadaje małemu chłopcu, kiedy się zgubi na ulicy.

- Nie możesz mnie za to winić - rzekł.

- Jesteście jak dzieci igrające z ogniem. Ile razy mu mówiłam:

„Przemykaj pod ścianą, nakarm rodzinę, zostań w domu, zostaw ich w spokoju, odwróć wzrok, to ich czas, nie nasz, pracuj ciężko i zabierz nas stąd, daj mi zobaczyć chmury nad moim krajem, Faradz, chcę spojrzeć w dół i zobaczyć go jako odległą mapę, zredukowaną do linii, zredukowaną do idei. Dla dobra własnego syna. Za pięć lat on będzie czternastolatkiem, zrobią z niego żołnierza, wyślą go do Czadu". Ile razy to powtarzałam! „Pięć lat" - przedrzeźniał. „Za pięć lat wszystko będzie inaczej". A teraz popatrz, dokąd zaprowadziła nas ta lekkomyślność.

- Bu Sulejman to człowiek honoru, pragnie Libii lepszej, dla ciebie i dla Sulejmana.

- A kimże on jest, w swoim mniemaniu, żeby mieć takie pragnienia?! - odkrzyknęła mama. Głos miała napięty, kłótnia z nią stawała się niemożliwa. - Oni są potężni. Myśli, że sam ich pokona?

- Nie jest sam.

- Och, przepraszam najmocniej, zapomniałam o tej garstce ludzi, którzy nie mają niczego lepszego do roboty, niż ukrywać się gromadnie w mieszkaniu przy placu Męczenników i pisać broszury krytykujące reżim. Ciekawe, dlaczego to nikomu nie przyszło do głowy. Przecież

ta odpowiedź jest oczywista. Ale ze mnie idiotka. I popatrz, dokąd go

81

to zaprowadziło. Dojdzie do masakry. Bóg raczy wiedzieć, czy Raszid wytrzyma, biedny człowiek, na tyle głupi, żeby wierzyć w wasze marzenia.

- To są też jego marzenia. Nie trać nadziei, musisz być silna.

- Nie pouczaj mnie. Wszyscy jesteście głupcami, Raszid i Faradž też. Ale nie, ja muszę być dobrą żoną, lojalną i posłuszną, bez względu na wszystko muszę wspierać swojego mężczyznę, nie zadawać pytań.

A ja nie będę wspierać niczego, co naraża na niebezpieczeństwo mojego syna. Faradž może sobie ganiać za swoimi marzeniami, ile chce, ale ja nie, ja tego nie zrobię. Zabiorę stąd swojego syna, choćbym miała to przyplącić życiem.

Złość mamy wydawała się bezgraniczna. Słowo, gest, cokolwiek wystarczało, żeby wybuchła. Musa chyba to wiedział, nie odrywał wzroku od stołu. Ona chodziła po pokoju.

- Nadymałeś mu pierś - powiedziała pod nosem, potem głośniej: -

Nadymałeś mu pierś -jakby za pierwszym razem była to myśl, próba tego, co miało nadejść. - Tak, to właśnie robisz, kiedy siedzisz u jego stóp, czytając mu w kółko artykuły z gazet, choć wiesz, że rozpala-
ją ogień w jego sercu, ponaglając go, pchając, pchając bez ustanku, a gdyby słowa drukowane nie były dostatecznie gorące, dodasz coś od siebie, bo potrzebny ci bohater, potrzebny ci ktoś, kto wyrwie cię z twoich porażek, dwie silne ręce zawsze gotowe cię wybawić i posłać w miejsca, które nie są twoje, które zrobią z ciebie kogoś, które udo-

wodnią twojemu dobremu ojcu, że koniec końców miałeś rację, że mu się sprzeciwiłeś, bo ty - inaczej niż wszyscy inni - nie potrzebujesz dyplomu, bo tobie pisana jest wielkość, jazda na fali, ty będziesz się trzymał spódnicy historii, a tymczasem od początku wiedziałeś, że ten, którego sobie obrałeś na przywódcę, nie jest bohaterem, tylko zwykłym człowiekiem, człowiekiem rodzinnym, nadymałeś mu pierś, kazałeś mu myśleć, że posiada moce, których nie posiada, że może się zmierzyć z wulkanem, a ty - co ty zrobiłeś? - uderzałeś w bęben, który go popędzał, gnał do przodu, nieustannie do przodu.

Siadła naprzeciwko Musy. Ja siedziałem między nimi. Stół kuchenny był jeszcze nakryty do śniadania. I nagle wybuchnęła śmiechem. Zdziwiająco brzmiał jej śmiech w tej chwili.

- Nawet umiejscowienie mety - podjęła - tę waszą „kwaterę główną" na placu Męczenników sam wymyśliłeś. Jakie to nierozważne!

82

Mało to na uboczu, mało podziemne - nie sądzisz? Czy to nie ty powiedziałeś mu, że pewnego dnia powstanie tam muzeum? - Musa patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. - Już pamiętam, jak to ująłeś: „Jak dom Zygmunta Freuda w Londynie", tak mu powiedziałeś. „Jak mieszkanie Konstandinosa Kawafisa w Aleksandrii, gdzie trzeba płacić za wejście". I podsycasz ogień. „Musi być dogodnie położone", tak przekonywałeś. Ależ jesteś przewidujący. To dopiero perspektywiczne myślenie! - roześmiała się. Czekaliśmy, aż przestanie.

Zgięty w pół, trzymałem się za brzuch. I zacząłem się kołysać.

- O co chodzi? - spytał Musa.

- To nowy nawyk. Robi tak, kiedy jest zdenerwowany - wyjaśniła mu mama chłodnym głosem, już bez gniewu i żalu.

Ale to nie był nowy nawyk. Wiedziała, że robiłem tak od dawna, żeby się nie odezwać, żeby nie powtórzyć tego, co mi mówiła, kiedy była chora, tego, od czego słuchania robiła się zła, tego, czego nigdy nikomu nie mogłem powiedzieć i musiałem przysiąc, że nie powiem.

- O co chodzi, Sluma?

- Zostaw go - powiedziała mama. - Przestanie, jak się zmęczy.

Myślami uciekłem do wspomnień: baba siedzi nad książką przy świetle, ja obok niego. Usiłowałem przytulić się do jego boku, ale jego ciało nie ustąpiło, nie wygięło się nade mną tak, jak wyginało się ciało ustaza Raszida nad Karimem w autobusie w drodze powrotnej z Leptis. Jego galabija była rozpięta, a w rozcięciu włosy z klatki piersiowej kiełkowały jak zwinięte druciki. Powiedziałem coś, ale on nie zareagował. Potarłem jego małżowinę. Oddech miał spokojny i rytmiczny. Pociągnąłem jeden włos. Nadal żadnej reakcji. Chwyciłem kilka i pociągnąłem je jak najmocniej. Skóra wokół nich naciągnęła się i powoli wysunęła je z mojej dłoni. Na kilka minut wstrzymał oddech, ale nic więcej.

- Jak to możliwe, że nie poczułeś bólu, kiedy pociągnąłem cię za włosy? - spytałem go później.

- A kiedy to zrobiłeś? - zapytał.

- Dzisiaj, kiedy czytałeś.

- Kiedy twój ojciec czyta, nic nie czuje - odezwała się mama, a po zimnej ciszy dodała: - Kocha książki nade wszystko. Pewnego dnia przyjdą je spalić, a nas wraz z nimi.

Baba wyszedł z pokoju. Spojrzałem na mamę, czekając na wyjaśnienie. Potem usłyszeliśmy, jak trzaskają drzwi do jego gabinetu.

83

Zacząłem się kołysać szybciej. Nie mogłem powstrzymać drżenia warg, musiałem głośno wciągać powietrze.

- On płacze - powiedział Musa.

- Dlaczego spaliliście książki baby?! - wrzasnąłem na nich. - Baba kocha swoje książki!

Przez chwilę milczeli. W tej ciszy wyczułem winę. W końcu odezwała się mama:

- Nie można powiedzieć, że ty nie wziąłeś w tym udziału. - Musiałem spojrzeć na nią z przerażeniem, bo dodała: - Widziałam, jak tam stoisz, patrzysz, jak Musa rozpala ogień - i odwróciła się do Musy po potwierdzenie.

Coś zagotowało mi się w gardle i wybuchnąłem:

- Jak baba wróci, powiem, że spaliliście jego książki, przysięgam, że powiem.

- To dla dobra baby - powiedział Musa. Był teraz obok mnie, klęczał, tak samo jak przed paroma minutami przed moim wiadrem na dachu, moim ulubionym wiadrem z obrazkiem uśmiechniętej greckiej rodziny, machającej rękoma w gaju oliwnym - wiadrem teraz poczerniałym od sadzy i popiołu, zniszczonym nieodwracalnie. Próbował wyszeptać mi coś do ucha. Odepchnąłem go.

- Zwariowaliście. Zwariowaliście!

- Cicho bądź - powiedziała mama. - Bądź grzeczny. Nie tak należy

się odzywać do dorosłych. Jak cię uczyłam?

Zakryłem twarz. Musa zaniósł mnie do łazienki.

- Cichutko, mistrzu - mówił i zaczął myć mi twarz zimną wodą.

Westchnąłem głęboko. Przyłożył mi do nosa swoją chustkę. - Dmuchaj

- polecił. Przeczesał mi włosy palcami, pocałował w rękę i uściskał ją,

jakby mówił: „Przybij, mistrzu”. Potem, patrząc mi w oczy, powie-

dział: - Tym ludziom, którzy tu przyjdą, nie możemy pisnąć ani słowa

o książkach baby. Musisz mi przysiąc.

Westchnąłem głęboko.

- Obiecuję - powiedziałem.

Wtedy zadzwonił dzwonek, kilka razy, w specjalny sposób, tak jak

to robił baba.

aba! - z krzykiem przemknąłem obok Musy. Pierwszy dopadłem

drzwi wejściowych.

- Witaj, Sluma. - Minął mnie, nie przystając nawet na ułamek se-

kundy. - Gdzie twoja matka?

Tyle chciałem mu powiedzieć, że nie miałem pojęcia, od czego

zacząć.

Przywitali się z Musą uderzeniem dłoni. Musa spytał babę o coś,

a on odpowiedział.

- Wola nieba, wola nieba. Gdzie Nadźwa? - potem spojrzał na mnie.

- Gdzie twoja matka? - Dawno już nie słyszałem, żeby mówił o niej

„Nadźwa”. Mama właśnie przeszła przez drzwi wahadłowe do holu.

Coś się w niej zmieniło. Pocałował ją w policzek i zauważyłem wtedy,

że uczesała włosy i pomalowała usta. Musiała na dźwięk dzwonka

pobiec do swojego pokoju.

- Tak się martwiłam - powiedziała, idąc za nim do kuchni.

- Baba - odezwałem się - Musa z mamą spalili twoje książki.

Spojrzał na Musę.

- Wszystko spaliliście?

- Tak, baba, nawet twoje papiery.

- Co zrobiliście z popiołami?

- Zakopaliśmy.

- Świetna robota - poklepał Musę po ramieniu.

Nic nie rozumiałem. Dlaczego się nie rozzłościł?

- Nie powinieneś tu być - ostrzegł Musa. - Wydaje nam się, że oni są w drodze.

- Już wychodzę - odparł baba pewnie i wszedł do swojej sypialni.

Mama i ja podążyliśmy za nim.

85

- Ocaliłem twój notes ze snami. - Wyciągnąłem go spod jego poduszki. - Nie pozwoliłem, żeby go spalili. Widzisz? - Podałem mu go, ale się nie zainteresował.

- Możesz mi spakować trochę ubrań?

- Dokąd idziesz?

- Nie rób afery, proszę, nie mam czasu. To wszystko minie i zobaczysz, że miałem rację.

- Oni cię zniszczą...

- Nadźwa.

- .. .zniszcza nas, wszystko.

- Nadźwa, proszę.

- Baba?

- Tak, Sluma? - spytał, zadowolony, że ktoś im przerywa.

- Potrzebujesz nowego. Zobacz, została tylko jedna strona, ledwie ci wystarczy na jeden sen.

- Ach, rzeczywiście - teraz wykazał przesadne zainteresowanie.

Wziął ode mnie notes i zaczął wertować kartki. - Wiesz co, masz rację.

Muszę pamiętać, żeby sobie kupić nowy.

- Nie czytałem go - powiedziałem, ale on już mówił do mamy.

- Bielizna, skarpetki. I muszę pamiętać o kosmetyczce. Wsadź to wszystko do plastikowej torby. Umieram z głodu.

- Na stole jest jedzenie, albo może coś przygotuję? - spytała, patrząc niespokojnie.

- Nie, spieszę się. - Wyszedł, dodając jakby do siebie, ale wiedząc, że ona go usłyszy: - Nie zrobiłaś jeszcze lunchu?

Zamarła na środku pokoju. Potem zaczęła zbierać ubrania, pomrukując:

- Nie miałam czasu, i tak jest zresztą za wcześnie, jeszcze nie skończyliśmy śniadania - wiedząc, że on jej nie usłyszy. Otworzyła szufladę z bielizną, ręce jej drżały. Stałem przy drzwiach, przyglądając się jej, potem wyszedłem do kuchni.

Musa i baba nie siedzieli przy stole, tylko stali oparci o blat. Baba wydawał się podekscytowany. Policzki miał różowe i opowiadał o czymś Musie. Od czasu do czasu pochylał się nad stołem i brał kawałek sera albo jabłka, które Musa wcześniej pokroił. Na stole było mnóstwo jedzenia.

Weszła mama, niosąc niewielką walizkę, i zobaczyła, jak baba bierze jedzenie.

86

- Zrobię ci coś na drogę - powiedziała.

- Nie, muszę iść. - Znowu klepnęli się z Musą dłońmi i przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy. Potem wziął od mamy walizeczkę, podniósł ją na wysokość pasa. - Waży tonę - powiedział, a Musa się roześmiał. - Nie chcesz, żebym wrócił, Umm Sulejman?

-Nie...

- Rozumiem, chcesz się mnie pozbyć.

- Oczywiście, że nie, po prostu nie byłam pewna... chciałam...

Baba już wychodził, uśmiechając się szeroko do Musy.

Na zewnątrz czekał na niego samochód. Ktoś siedział za kierownicą. Pobiegłem za nim do auta, ale zatrzymałem się, gdy zobaczyłem twarz kierowcy i zrozumiałem, że go nie znam. Baba wszedł do środka z nieznanym, sięgnął nad głowę i opuścił wielkie okulary przeciwsłoneczne, w których widziałem go na placu Męczenników. Cały czas miał je na czubku głowy.

- Co ci powiedział? - spytała mama, głośno opróżniając naczynia.

- Nic - odrzekł Musa spokojnie, siedząc przy stole z papierosem.

- Jak to nic? - krzyknęła. - Mówił do ciebie, prawda? Co ci powiedział?

Musa wyszedł z kuchni.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim, a potem ciszej już powiedziała do mnie: - Idź, przypilnuj, żeby nie wyszedł.

Poszedłem go poszukać i znalazłem go w salonie gościnnym, siedział naprzeciwko wielkiego zdjęcia Wodza. Przysunął sobie popielniczkę, dwukrotnie postukał o jej skraj papierosem i spytał:

- Co tam, mistrzu?

Wtedy weszła mama z tacą herbaty.

Myślałem, że lada chwila nasz dom wypełnią ludzie z Komitetu Rewolucyjnego, wywracając wszystko do góry nogami, i mam im nie mówić, że spaliliśmy książki i dokumenty. Pamiętałem o książce Czas na demokrację, którą ukryłem pod swoją poduszką, i w panice zaczęła mnie swędzieć skóra.

W milczeniu wypiliśmy herbatę. Zastanawiałem się, jak długo będziemy musieli czekać. A jeśli ten ktoś, kto dzwonił, pomylił numer i dlatego odłożył słuchawkę? Przecież ja bym tak właśnie zrobił, odłożyłbym bez słowa słuchawkę. Nagle Musa zerknął na zegarek i rzekł:

87

- Muszę iść.

Mama westchnęła i kiwnęła głową, jakby mówiła „No pewnie, że musisz”. Ręce wciąż jej lekko drżały.

- Potrzeba wam czegoś?

- Czemu pytasz? - spytała ostro. - Przecież dopiero co powiedziałeś, że musisz iść. No to jeśli rzeczywiście musisz iść, to idź. - Wyszła z pokoju.

Musa westchnął i ruszył za nią.

Siedziałem przez jakiś czas, wpatrując się w wielki portret Wodza.

Nie dało się go zignorować, był tak wielki, że zawładnął pokojem.

Pianino w porównaniu z nim wydawało się nieduże. Zastanawiałem się, jak długo będziemy musieli go tu trzymać. Nagle wróciła natarczywa myśl, że muszę znaleźć lepszą kryjówkę dla książki baby, wciąż leżącej pod moją poduszką.

Poszedłem do siebie, zamknąłem drzwi, wyjąłem książkę i położyłem się z nią pod łóżkiem. Nie było w niej żadnych zdjęć ani rysunków, tylko nieskończone linijki słów. Wertując ją, widziałem tylko bloki czarnego druku, oddzielone gdzieś tam białymi odstępami.

Przypomniałem sobie, jak kiedyś Naser próbował uczyć mnie pisania na swojej maszynie. Byłem powolny, a on niecierpliwy. Na pierwszej stronie ktoś coś napisał. Dedykację: „Dla przyjaciela i towarzysza, Faradża Bu Sulejmana ad-Diwaniego. Z dozgonną lojalnością, Raszid”.

To był prezent od ustaza Raszida dla baby. Nie spodobało mi się, że widzę tam swoje imię. Dlaczego nie wystarczył mu Faradž ad-Diwani?

Materac nad moją głową wypychał się szparami pomiędzy drewnianymi listwami łóżka. Wyszedłem, podniosłem materac i pod nim ukryłem książkę. Uznałem, że tam mama jej nie znajdzie, nawet jeśli będzie zmieniać pościel.

Wspiąłem się na dach i spojrzałem w dół na dom ustaza Raszida, cioci Salmy i Karima. Zasłony w nim były zaciągnięte i nieruchome, ogród cichy i pusty. Kiedyś te dwa domy wydawały się identyczne.

Ustaz Raszid siedział z babą w jego gabinecie, mama z ciocią Salmą w kuchni, a Karim i ja na ulicy, milcząco uspokojeni wiedzą, że nasi ojcowie są braćmi, a nasze matki siostrami.

Wyszedłem na ulicę i znalazłem Karima. Stał samotnie i rzucał

scyzoryk w ziemię.

88

- Gdzie byłeś? - spytał, a mnie od razu zalało poczucie winy.

Unikałem go, odkąd jego ojca aresztowano, na pewno to zauważył.

Słońce świeciło jasno nad nami, ale mnie stukotały zęby.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Kiwnąłem głową i nagle poczułem, że zaraz się rozplaczę. Bolało

mnie coś w klatce piersiowej, jakby wciskano w nią coś ostrego.

Poczułem bezgraniczną tęsknotę za czymś nieokreślonym, jakby właśnie pustka w mojej duszy obwieściła swoją obecność. Gardło mi się ścisnęło i pomyślałem, że gdyby Karim położył mi rękę na ramieniu, nie wytrzymałbym. Wtedy pomyślałby może, że jestem beksą, dziewczyną, zagryzłem więc wargę i ponownie kiwnąłem głową.

- Chcesz zagrać w moje-twoje? - spytał.

Po raz pierwszy od tygodnia, odkąd zabrano jego ojca, Karim

chciał grać. Więc chociaż sam nie miałem do tego nastroju, wzią-

łem jego scyzoryk i zakreśliłem koło, największe, jakie tylko udało

mi się zatoczyć. Mój cień znajdował się dokładnie pode mną, było

południe. Podzieliłem krąg na dwie połówki, jego kraj i mój kraj,

i podałem mu rękojęść scyzoryka, żeby zaczął. Wciąż przyglądał

się mojemu rysunkowi i chociaż twarz miał poważną, to malowała

się na niej aprobata. Stanęliśmy poza okręgiem i zaczęliśmy. Moje-

-twoje było naszą ulubioną zabawą. Karim i ja graliśmy w nią czę-

sto, ponieważ wymagała tylko dwóch graczy, dobrego scyzoryka

i kawałka ziemi.

Karim w większości zabaw był dobry i zawsze łatwo się z nim przegrywało, nie tylko dlatego że był starszy, ale także dlatego, że nigdy nie okazywał, że cieszy się swoim zwycięstwem. Wręcz kiedy wygrywał, często na jego twarzy pojawiał się cień żalu. Chociaż byłem o wiele młodszy od niego, zawsze traktował mnie jak równego sobie. Mimo że ja sam często ustawiałem się w pozycji młodszego o trzy lata: potrzebowałem jego rady, a kiedy dochodziło do sporu pomiędzy nim a którymś z chłopaków, zawsze brałem jego stronę.

Jego pierwszy rzut był kiepski, ostrze uderzyło płasko bokiem.

Mój był dobry, czubek scyzoryka zostawił wyraźny znak na połówce Karima, co oznaczało, że większość jego ziemi staje się moja. To rozstrzygnęło pierwszą potyczkę i szczęście dopisało mi też w dwóch następnych. Pokonałem Karima trzy razy z rzędu. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nigdy wcześniej nie byłem taki pewien swoich rzutów;

89

jeszcze zanim nóż opuścił moją dłoń, wiedziałem, że mi się uda. Ucisk w gardle zelżał, o łzach dawno zapomniałem.

Dołączyli do nas Usama, Masud oraz Ali.

- Dajesz się małemu? - spytał Masud. To pogorszyło sytuację, zwłaszcza że Ali zazwyczaj powtarzał wszystko po bracie.

- Dajesz się małemu - i teraz powtórzył jak echo.

Wtedy zażartował też z niego Usama:

- Nieźle wychodzisz na kumplowaniu się z dzieckiem.

- Nie jestem dzieckiem.

- Oczywiście, że jesteś - odezwał się Karim, z irytacją, która pod-

kreśliła jeszcze zdradę. - Trochę zrzędził, więc dałem mu wygrać - wyjaśnił im.

- Kłamca - usłyszałem swój głos.

- Kogo nazywasz kłamcą?

- Przegrać trzy razy z rzędu to wstyd, ale jeszcze gorzej kłamać, że pozwoliłeś mi wygrać. No, ale chyba trudno się dziwić - dodałem, czując, jak nabiera rozpędu ciemna, niepowstrzymana siła.

- A co to ma niby znaczyć?

- No daj spokój, Karim - powiedziałem, patrząc na chłopaków i uśmiechając się krzywo. - Wszyscy wiedzą o twoim ojcu.

- Co z moim ojcem? - spytał natarczywie, przystępując do mnie o krok.

Przyglądałem się swoim palcom.

- Ludzie gadają. - Gdybym mógł cofnąć te słowa, na pewno bym to zrobił. Ale one już padły, a ja przesądziłem o swoim losie.

-I co mówią? - wycedził przez zęby. Wbił we mnie spojrzenie swoich zmrużonych oczu, nie mogłem tego nie zauważyć.

- Wszyscy wiedzą, że twój ojciec jest z...

Skoczył na mnie. Swoim ciężarem powalił mnie na ziemię. Nie boksował, nie tarzaliśmy się po ziemi, tylko zacisnął wokół mnie ramiona.

Pamiętam, jak pomyślałem: „A gdybym nie zamierzał powiedzieć «zdrajcą», Karim? Gdybym zamierzał wypowiedzieć jakieś inne słowo zaczynające się na tę samą literę? Wówczas rzuciłbyś się na swojego przyjaciela bez powodu". Usama ściągnął go ze mnie. Twarz Karima była tak czerwona, jakby miał się rozplakać. Jeszcze kilka minut temu

to ja się bałem, że rozplacę się przed nim. Masud postawił mnie i otrzepał mi plecy, klepiąc trochę za mocno. Pomyślałem, że może

90

w jego domu, z grubą, pewną matką, potężnym i ustosunkowanym ojcem, trzeba być takim stanowczym i twardym. Zauważyłem nagle, że Karim ściska w rękę nóż. Mógł mnie dźgnąć. Nadal mnie kocha, pomyślałem. Nadal jesteśmy przyjaciółmi.

- On jest od ciebie młodszy - powiedział Usama. - Nie możesz z nim walczyć. - Jedyne raz poczułem wtedy wdzięczność za siłę Usamy.

- Jeśli chcesz go pokonać, to w moje-twoje. - I rzeczowo dodał: - To jedyna droga.

Wyczułem wahanie Karima, więc rzuciłem:

- Wyzywam cię.

- Dalej - ponaglili go Masud i Ali.

- Nie mam ochoty - odparł, głosem już cichym i drżącym.

- Tchórz - syknąłem.

Znowu próbował się na mnie rzucić, ale wielki Usama zatrzymał go w miejscu.

- Jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną - ciągnąłem - powinieneś to udowodnić w moje-twoje.

- Tak - poparł mnie Masud. - Nie ma innego sposobu.

Ali powtórzył słowa brata z solennością, od której robił się trochę śmieszny.

Karim z pogardą spojrział na braci. Przypomniałem sobie, jak kiedyś powiedział mi o nich: „Dwa pawiany, które we wszystkim naśladowają

swoją matkę plotkare, nawet tak samo kołyszą swoimi tłustymi tyłkami przy chodzeniu". Przypomniałem sobie, jak strasznie się z nich wtedy śmialiśmy i jak bardzo to nie pasowało do Karima, który niemal nigdy z nikogo się nie naśmiewał, i jak się wtedy poczułem w pewien sposób uprzywilejowany. Kiedy zaś powtórzyłem jego słowa mamie, ona się śmiała i przekazała je babie, a on uśmiechnął się szeroko, z oczami lśniącymi zadowoleniem. Poczulem dumę, że mój przyjaciel jest taki dowcipny i tak umie trafić w sedno.

Wyszedł z wykreślonego na ziemi kręgu i wycelował nóż.

- Jak tam twoja ukochana? - usłyszałem swoje słowa.

- Jaka ukochana? - spytali chłopcy.

- Zamknij się, mała świnió.

- Powiedz, powiedz, kto to jest?

- Nazywa się Lejla.

- Chyba nie ta z jego klasy?

91

- Chyba nie ta przemądrzała, co zawsze siedzi w pierwszej ławce?

- Tak, właśnie ta - odparłem. - Ciągłe o niej marzy.

Wybuchnęli śmiechem. Karim patrzył na mnie gniewnie.

- Zawsze jak słyszy jakąś piosenkę o miłości, robi mu się miękko w żołądku. Tak mi powiedział! - krzyknąłem, wskazując nań palcem.

Usama i Masud uderzali się po udach i poklepywali nawzajem po plecach. Ali próbował ich naśladować. Karim rzucił nożem tak mocno, że ostrze całe zaryło w ziemi. To był dobry, czysty rzut.

- Słuchaj no, ty, ty nie masz głosu, nie jesteś mężczyzną, bo nie masz

głosu. - Z zaciśniętych ust wyrzucał słowa jak eksplodujące pociski.

Wydawało mi się, że widzę łzy w jego oczach. Odwrócił się i odszedł.

Przypomniałem sobie, jak szedł tak do siebie, by pocieszać swoją matkę albo krzyczeć na nią, kiedy zabrali jego ojca. Tak jak wtedy, wszyscy patrzyli na niego w milczeniu.

Nagle usłyszałem, jak krzyczę za nim:

- Beksa! - Ale on nawet teraz się nie odwrócił. - Beksa-lala!

Kiedy zniknął w swoim domu, chłopcy spojrzeli na mnie. Wyciągnąłem z ziemi nóż Karima, zatarłem nogą koło i rzuciłem:

- Nie wiem, dlaczego on się tak wścieka. Przecież to tylko gra.

Usama, Masud i Ali nic nie powiedzieli. I tak zresztą nadeszła już pora lunchu. Rozeszliśmy się do domów.

Ludzie z Komitetu Rewolucyjnego, których spodziewali się mama i Musa, ci, przez których spalili książki baby, w ogóle się tego dnia nie pojawili. Zjedliśmy lunch, czekając na nich, sprzątnęliśmy ze stołu, czekając na nich, i poszliśmy na herbatę do salonu, czekając na nich. Musa ciągle tam siedział. Nie poszedł robić tych rzeczy, które podobno musiał zrobić. Ja zniknąłem u siebie, zamknąłem drzwi. Siadłem w nogach łóżka i myślałem o tym, co wydarzyło się z Karimem. Głosy w mojej głowie łąjały mnie:

„Dobrze wiesz, co zrobiłeś”.

„Wiesz, czy mamy ci powiedzieć?”

„Zdradziłeś go”.

„Właśnie tak, zdradziłeś”.

„Nie ma na to innego słowa”.

„Dlaczego, Sulejmanie? Dlaczego to zrobiłeś?”

„Mylisz się co do siebie”.

„Jesteś okropny. Myślałeś, że jesteś dobry, zawsze tak uważałeś, ale prawda jest taka, że jesteś zdrajcą”.

„Zdrajca! Zdrajca!”

„Pamiętasz, kim chciałeś być? Kim chciałeś zostać w marzeniach? Byłeś pewien, że kim zostaniesz? Dla mamy, dla baby, dla Musy?” „Pilotem samolotu. Historykiem sztuki, jak ustaz Raszid. Wielkim pianistą, chociaż nienawidzisz pianina, w czarnym fraku, który będzie trzepotał za tobą, zanim zajmiesz miejsce, by grać w jednej z tych wielkich sal świata, tylko po to, żebyś mógł zobaczyć ich uśmiechnięte twarze w pierwszym rzędzie, jak patrzą na ciebie”.

„Wyobrażałeś sobie, że tak jak całowanie baby w rękę w obecności jego przyjaciół, także i te rzeczy wypełnią twoją pierś uczuciem szczęścia i dumy”.

93

„Ile razy wyobrażałeś sobie, że ich oczy lśnią z dumy!”

„Ale myliłeś się co do siebie”.

„Zawsze byłeś zły. Tylko poczekaj, aż wyjdzie twoja prawdziwa natura”.

„Widzisz, jaki już jesteś zły? A to dopiero początek”.

„Na tym świecie wszystko tylko rośnie”.

„Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”.

„Natura człowieka jest jak góra, nie możesz jej zmienić”.

„Jedyna różnica polega na tym, że w przeciwieństwie do góry natura człowieka nie stoi w miejscu”.

„Zamieszkał w tobie diabeł”.

„A jeśli diabeł gdzieś zamieszka, to na wieki”.

„Ciepło, wygodnie śpi sobie w twoim brzuchu”.

„Kiedy nadejdzie Dzień Sądu, kiedy wszystko, co niewidzialne, stanie się widzialne, twoje serce będzie widoczne jak na dłoni: puste i okrutne”.

„Puste jak spróchniały kasztan”.

„Twoje uczynki będą wówczas widoczne w Wieczności”.

„Nigdy nie poczujesz przyjemności tego sekretnego, ciepłego blasku tłącego się w twoim sercu, ciepłego blasku, który jest dobrem”.

„Pamiętasz to łaskotanie w piersi za każdym razem, kiedy całowałeś babę w rękę?”

„Albo kiedy Karim powierzał ci swój sekret o miłości do Lejli?”

„Podobało ci się to, prawda?”

„Tak. «Ma dwanaście lat - powiedziałaś do siebie - a ja dziewięć, ale to mnie powierzył swój sekret»”.

„A ty go zdradziłeś”.

Poczułem w oczach pierwsze pieczenie łez. Miałem nadzieję, że popłyną.

„I dlaczego go zdradziłeś? Umiesz powiedzieć dlaczego?”

Pokręciłem przecząco głową.

„Nie możesz mu powiedzieć, że to niechcący”.

Znowu pokręciłem głową.

„Nie możesz powiedzieć, że to był wypadek”.

„Że ci się wymknęło”.

- Nie - usłyszałem swój głos i usłyszałem też drzenie w swoim głosie.

94

„Chciałeś go zranić”.

- Nie - usłyszałem znowu.

„Tak”.

„Nawet ci się to podobało, przyznaj”.

Kiwnąłem głową.

„Ale Karim to twój najlepszy przyjaciel”.

- Tak - szepnąłem, a łzy popłynęły.

„Och, Karim na pewno jest dobrotliwy. Sam tak mówiłeś: «Po jego twarzy widać, jak białe jest jego serce. Zdrajca!»”

„Zdrajca!”

Schowałem twarz w dłoniach.

Po chwili wyszedłem z pokoju i umyłem twarz. Musy już nie było.

Zobaczyłem, że mama szykuje się do drzemki, zaciąga zasłony i włącza lampkę nocną. Nie zauważyła mnie. Kiedy już miała się odwrócić, usunąłem się z jej pola widzenia. Zalała mnie fala ekscytacji. Pomyślałem, że tak właśnie czuje się policjant albo złodziej w amerykańskim filmie.

Poszedłem pooglądać telewizję w salonie. Siadłem na podłodze, skrzyżowałem nogi, ledwie kilka centymetrów od ekranu. Na krześle w pokoju siedział mężczyzna. Zrobiłem odrobinę głośniejsze. Górna połowa ściany za nim miała kolor piasku, dolna - zielony. Była odrapana w kilku miejscach, odsłoniła się biała farba. Wyglądał chudo. Siedział troszeczkę bokiem. Kolana miał złączone, przypominał ucznia, który

musiał zostać po lekcjach. Miał na sobie białą koszulę i szarą marynarkę. Ubranie wydawało się nań za duże, kołnierzyk koszuli niemal dotykał mu uszu. Policzki miał szare od kilkudniowego zarostu.

Nagle, z taką prędkością, że obraz niemal się zamazał, kamera zrobiła zbliżenie na jego twarz, przesunęła się w lewo, w prawo, aż znalazł się pośrodku kadru, i wtedy wyostrzyła. Padło na niego światło.

Zmrużył oczy. To był ustaz Raszid. Czekalem, aż się odezwie. Inny głos coś wymamrotał. Zrobiłem trochę głośniejsze. Wydawało się, że ustaz Raszid też nie dosłyszał, co powiedział głos, przechylił trochę głowę na bok. Na ścianę za nim padł cień wielkiej łysej głowy. Głos powtórzył pytanie: „Uczestniczyłeś w tym spotkaniu?” Ustaz Raszid kiwnął głową i powiedział: „Tak, uczestniczyłem”, ale ledwie było to słychać. Poproszono go o powtórzenie. „Uczestniczyłem, tak”. „Kto jeszcze tam był?” Ustaz Raszid znowu spojrzał na łysego mężczyznę.

95

„Odczytamy listę - mówił spokojnie głos - a ty odpowiesz tak lub nie”. Usłyszałem szelest papieru, zanim głos odczytał nazwisko. Ustaz Raszid zawahał się, spojrzał na cień, cień się przybliżył, jego głowa na ścianie się powiększyła. W oczach ustaza Raszida zebrały się łzy, wyglądał na spragnionego, jego jabłko Adama przesuwało się w górę i w dół, potem kiwnął głową. Odczytano kolejne nazwiska, a ustaz Raszid dalej kiwał głową, czasami jeszcze zanim odczytano nazwisko do końca. Nagle usłyszałem nazwisko baby: „Faradz ad-Diwani?” Dziwnie się je słyszało z telewizora. Ustaz Raszid zawahał się chwilę. Zerknął w bok, jego zarost wydał dziwny dźwięk, kiedy się przesu-

wał po kołnierzyku koszuli. Głos jeszcze raz odczytał nazwisko, tym razem wstawiając „Bu Sulejman”, a całość znowu, tak jak wtedy, gdy odczytywałem je w książce, którą ustaz Raszid ofiarował babie ze swoją „niesłabnącą lojalnością”, sprawiła, że poczułem się wmieszany, wciągnięty za nazwisko w coś, o czym nic nie wiedziałem. W końcu ustaz Raszid się odezwał. Powiedział „Nie”.

Pobiegłem do mamy, ale ona spała. Ukląknęłam przy jej łóżku.

- Obudź się, nazwisko baby jest w telewizji - wyszeptałem.

Jej policzek spoczywał na ręce, usta się wykrzywiły, oddychała głęboko i rytmicznie. Była za mocno poperfumowana. Poczułem chęć, by uderzyć powietrze przy jej twarzy.

Wróciłem do telewizora. Teraz na ekranie widniała nieruchoma fotografia różowych kwiatów. Ten obraz oznaczał, że nadawanie jest chwilowo przerwane. Słyszałem, że podobno Wódz ma przełącznik w swoim salonie, obok telewizora, tak żeby za każdym razem, kiedy mu się coś nie podoba, włączać kwiaty. Siedziałem i patrzyłem na kwiaty w nadziei, że ustaz Raszid wróci. Zastanawiałem się, czy Karim ogląda. Widywałem już wcześniej transmisje z przesłuchań. Miały pokazać narodowi „oblicza zdrajców”. Ustaz Raszid powiedział: „Nie”, kiedy padło nazwisko baby. Wiedziałem, że to przeciwieństwo zdrady. Pobiegłem znowu do mamy. Położyłem nos obok jej wykrzywionych ust i uznałem, że wzięła przed snem trochę lekarstwa, może po tym, jak zasunęła zasłony i włączyła lampkę nocną, może wcześniej, może kiedy jeszcze był Musa. Może on też musiał przysiąc na jej życie, że nikomu nic nie powie? Poczułem, jak gniew pali mi policzki. Butelka

z lekarstwem stała obok niej. Była wielka jak butelka wody i nic nie było na niej napisane, płyn w środku miał też kolor wody. Zostawiła ją

96

otwartą na stoliku nocnym. Bez namysłu zaniósłem ją do kuchni i zacząłem wylewać do zlewu. Zatrzymałem się, żeby wyobrazić sobie, co ona zrobi, kiedy się dowie. Zawsze może pójść do piekarza Madźdiego i kupić nową, uznałem. Opróżniłem ją.

W tym momencie zadzwonił dzwonek. Ktokolwiek dzwonił, nie odrywał palca od przycisku. Ciągłe dzwonienie nie obudziło mamy.

Nie pojawiła się, biegnąca do drzwi, zdenerwowana, powtarzając:

„Idę, idę”. W połowie korytarza usłyszałem swój głos: „Zdejmij palec

z dzwonka!” Ze zdumieniem stwierdziłem, że ktoś szybko wykonał

to polecenie. Zerknąłem przez wizjer. To żebrak Bahlul. Jego głowa,

długie, splątane włosy i broda tej samej długości co włosy. Kiedy otwo-

rzyłem drzwi, zawahał się, wyglądał, jakby wręcz zamierzał odejść.

- Nie daliście mi ostatnio żadnych pieniędzy - powiedział.

- Nie teraz, Bahlul. Mama śpi, a baba wyjechała służbowo. Odejdź.

- Jesteś niegrzeczny. Nie sadzisz niczego na przyszłe życie. Miłe słowo to nasionko, z którego później wyrasta drzewo.

Żadna odpowiedź nie przychodziła mi do głowy. Dopadło mnie dziwne wyczerpanie.

- Nakarm mnie - polecił.

Wpuściłem go do środka. Bahlul jeszcze nigdy nie był w naszym

domu. Kiedy zszedł ze słońca i stanął w naszym korytarzu, poczułem

jego zapach i zobaczyłem, jak brudna jest jego galabija i jak czarno

wyglądają jego nagie stopy na naszym dywanie. Paznokcie u nóg przypominały ptasie dzioby albo coś zrobionego z drewna.

- Nie - powiedziałem i wypchnąłem go na zewnątrz. Zdziwiłem się, jak łatwo się go pozbyć, jak chętnie mi się podporządkowuje. To obudziło we mnie poczucie winy. Udając zatem, że taki właśnie plan miałem od początku, wyjaśniłem: - Obejdź dom. Wpuszczę cię od kuchni. - Nie zareagował, więc dodałem: - Tak lepiej - i zamknąłem mu drzwi przed nosem.

Jeśli jakaś rodzina nie chciała dawać Bahlulowi pieniędzy, obgadywał ich, mówił, że są skąpi, chciwi, krótkowzroczni, że myślą, że Niebo jest blisko i tym podobne rzeczy. Opowiadał wszystkim, że oszczędza, żeby kupić niewielką łódź rybacką, ale kiedy już miał łódź, dalej żebrał. Umm Masud powiedziała: „Oczywiście, łatwiej żebrać niż pracować. Łódź była wymówką, teraz ją ma - zapłacił za nią z naszych pieniędzy - i znajdzie nowy powód do żebrania, leniwy karaluch”.

97

Zanim dotarłem do kuchni, on już stał przy drzwiach, dotykając nosem szyby, na której zebrała się para. Musiał biec, uradowany moją uprzejmością. Nagle poczułem dla niego tkliwość. Wpuściłem go do środka. Wyjąłem chleb, ser, miód i nalałem mu szklankę mleka. Jadł powoli.

- Dziwnie tu pachnie - powiedział.

Poczułem swędzenie. Przypomniałem sobie, że obiecałem mamie nie wpuszczać nikogo do domu, kiedy ona jest chora. Bezgłośnie powtarzałem w kółko tę samą modlitwę, którą słyszałem kiedyś od Musy:

„Panie nasz, przebacz tym, którzy się nawrócili, ukryj nasze winy”.

Bahlul zobaczył, że moje usta się poruszają. Zmrużył jedno oko, wymierzył we mnie palec i rzekł:

- Widzę cię, widzę. - Podejrzliwie rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Nie wpuściłeś diabła, co? Kiedy diabeł wchodzi, chwyta się wszystkiego.

- No już, Bahlul - przerwałem mu. - Pospiesz się.

- Daj mi trochę pieniędzy.

- Nie mam pieniędzy.

- Nie dostałem od ciebie żadnej pomocy. Jak mam zostać rybakiem?

- Już kupiłeś sobie łódź.

- Jesteś krótkowzroczny. Musisz dbać o przyszłość, tak jak dbasz o teraźniejszość. Łowienie ryb jest drogie. Nie mów mi, że uwierzyłeś w plotki rozpущane przez Umm Masud. To są kłamstwa, częściowo prawdziwe, oczywiście. Każde kłamstwo zawiera ziarenko prawdy, ale i tak, dzięki Bogu, żadne kłamstwo nie jest całkowicie prawdziwe, nie. Mam łódź, to prawda. Ale przysięgam na grób Proroka, że ona jeszcze nie dotknęła wody. Pływa na piasku. Śpię w niej. Nie mam pieniędzy, żeby kupić sieci. Muszę mieć sieci, żeby zastawić pułapkę na morzu.

- Napił się mleka, skraj wąsów zrobił mu się biały. - Poważna sprawa takie łowienie. - Nagle jego wzrok padł na butelkę po lekarstwie, którą dopiero co opróżniłem. Przysunął się do niej powoli, powąchał ją i spojrzał na mnie gniewnie. Chwyciłem go za rękę i błagałem:

- Nie mów, proszę, proszę. Przysięgnij na swoje życie, że nigdy nikomu nie powiesz, nigdy.

Patrzył na mnie tak, jakbym miał go ugryźć. Jego ręka, ciemna i obłaząca brudem, szorstka jak kora, zaczęła się trząść. Ścisnąłem ją i powtórzyłem:

- Przysięgnij.

- Chronź mnie przed diabłem - krzyknął nagle do sufitu. Odskokczyłem. - Boże! - wrzasnął dziko i wypadł do ogrodu. - Chronź mnie przed diabłem, trzymaj go z daleka!

Pobiegłem za nim. Kilka razy obiegł dom jak zwierzę, które wpadło w potrzask. Goniłem go. Przy którejś pętli zauważył furtkę do ogrodu, jakby po raz pierwszy, pomyślał, żeby do niej wrócić, ale kiedy zobaczył, jak blisko za nim jestem, zaskowyczał i minął ją. Galabija wydeła mu się na plecach jak balon. Padłem na ziemię, bez tchu. Kiedy znowu się pojawił i zobaczył, że siedzę przed nim, raz jeszcze zaskowyczał, odwrócił się i pognał w przeciwnym kierunku. Chwyciłem garść kamieni i cisnąłem je za nim. Jeden przeszył balon galabii i uderzył go w plecy z głuchym, zadowalającym odgłosem. Ryknął nieludzko. Ręce zarzucił na głowę, zasłaniając ją, zgarbił się i podskoczył kilka razy. Znalazłem więcej kamieni i znowu w niego cisnąłem. Za każdym razem, kiedy chybiłem, mój gniew tężał. Bahlul znalazł furtkę i uciekł. ' Z wrzaskiem biegł po Morwowej.

Jeszcze nigdy nikogo tak nie przestraszyłem. Patrzyłem, jak biegnie, dopada końca ulicy, potem skręca w stronę morza, w stronę swojego domu, swojej łodzi rybackiej na piasku. Nagle przeraziło mnie, co on może zrobić, kiedy się znowu spotkamy. Może wtedy zrozumie, że nie ma się czego bać, że ja jestem chłopcem, a on mężczyzną.

Siedziałem jakiś czas na ziemi, palcem rysując linie na piasku.

Pomyślałem, że Bahlul na pewno nikomu nie powie, za bardzo będzie się bał, żeby mówić. Kiedy zdałem sobie sprawę, jak gorąca stała się moja głowa, wróciłem do środka.

głębi duszy było mi wstyd za to, co zrobiłem Bahlulowi.

Pierwszy raz w życiu słyszałem, żeby dorosły człowiek tak krzychał. Cieszyłem się, że nikt tego nie widział.

Poszedłem zobaczyć, co z mamą. W jej pokoju było ciemno i pachniało snem, ale nie znalazłem jej w łóżku.

- Tu jestem - usłyszałem ją z salonu. - Gdzie byłeś? - spytała, patrząc w telewizor, mimo że nadal nadawano zdjęcie różowych kwiatów.

Ton jej głosu, to, że siedziała sztywno i nieporuszenie, od razu mnie zaniepokoiło. Taki nastrój ogarniał ją czasami, znałem go. Szukała zaczepki. - Dlaczego wylałeś butelkę do zlewu?

- Nie wiedziałem, co to jest - skłamałem. - Myślałem, że chcesz, żebym sprzątnął butelkę.

Westchnęła i zapaliła papierosa, rzucając zapalniczkę na stolik do kawy.

- Widzę, że mnie nie potrzebujesz. Świetnie sobie radzisz, sam się możesz wykarmić.

Błędnie uznała jedzenie Bahlula, które wciąż leżało na stole w kuchni, za moje. Co za ulga. Stałem tam przez kilka sekund, patrząc na jej znieruchomiałe plecy, kolana zetknięte, papieros palący się w dłoni przed twarzą, i zastanawiałem się, co mógłbym zrobić, żeby ją rozwi-
kłać. Nie odrywała oczu od różowych kwiatów. Ciekawe, kiedy Wódz

z powrotem włączy transmisję. Wyobraziłem go sobie w piżamie, jak pije herbatę, idzie sobie po coś, albo też stwierdza, że pójdzie siku i po drodze przełączy guzik kontrolujący nadawanie. Jak teraz zastaniemy ustaza Raszida? Będzie siedział na krześle czy skuty kajdankami na podłodze, z czerwonymi policzkami, bohaterską kroplą krwi w kąciку ust? Pomyślałem, żeby jej o nim powiedzieć, jak siedział,

100

nieruchomo tak jak ona teraz, wpatrując się w kamerę, mrużąc oczy przed światłem. I że jak doszło do nazwiska baby, nie uległ wielkiemu mężczyźnie bez włosów, tylko powiedział „Nie”. Jakież heroiczne akordy to słowo obudziło w moich uszach! Przypomniał mi się film opowiadający o życiu grupy afrykańskich niewolników w Ameryce. W pewnym momencie niewolnicy rzucili narzędzia, stanęli w milczeniu i powoli klaskali razem unisono, jakby walili w bęben, by oznajmić coś strasznego. Niewolnicy klaszczący swoim białym panom, pomyślałem wtedy, to bez sensu. Ale kiedy się obejrzałem, zobaczyłem babę znieruchomiałego z podziwu. Coś w „Nie” ustaza Raszida przypomniało mi tamtą pełną powagi owację na stojąco, którą niewolnicy uraczyli swoich panów. Kiedy pojawiały się kwiaty, ustaza Raszida pewnie bito, wiedziałem, że właśnie „dostaje niezłą nauczkę”, „oszczędzają jego twarz”, jak powiedział Musa o tych przesłuchiowanych w telewizji, ale jego ciało jest „mozaiką siniaków”. Byłem zdumiony, że telefon nie dzwoni. Do tej pory ilekroć oglądaliśmy relację z przesłuchania kogoś znajomego, dzwoniło kilka osób, mówiąc: „Widzieliście? Taki a taki był w telewizji”. Ale tym razem

przesłuchanie transmitowano w porze sjeisty, kiedy w pełnym blasku słońca cała ludzkość idzie spać, więc pewnie nikt nie siedział przed telewizorem. Pewnie nawet Karim i jego matka je przeoczyli. Pewnie tylko ja jeden na całym świecie to widziałem. Nagle ucieszyłem się z różowych kwiatów i chciałem, żeby zostały aż do końca przesłuchania ustaza Raszida.

- Zadzwoń do piekarni - poleciała. - Jak odbierze Madźdi, daj mi go. Czasami kiedy mama źle się czuła albo była zajęta, zamawiała u Madźdiego dostawę chleba do domu, a jeśli byliśmy sami, to również lekarstwo. Podała mi jego numer, a ja go wykręciłem. Kiedy odebrał Madźdi, powiedziałem: „Chwileczkę, mama chce z panem rozmawiać”. Nie odezwał się ani słowem. Milczał, jakby wiedział, jakby spodziewał się telefonu. Wyobraziłem sobie jego poważną twarz, jego rękę sięgającą pod szeroki, obsypany mąką blat, wyobraziłem sobie, jak się rozgląda, zanim wyjmie butelkę zawiniętą w czarny plastik.

- Dobry wieczór - powiedziała mama. - Poproszę dwa bochenki.
- W kuchni było pełno chleba. Wiedziałem, bo podawałem jedzenie Bahlulowi. - A tak, jedną butelkę. - Zarumieniła się. - Nie, nie. Jedna wystarczy - dodała sztucznie oficjalnym tonem.

101

Kiedy Madźdi przyjechał, posadziła go w salonie, bo niegrzecznie byłoby wziąć po prostu w drzwiach to, co przywiózł, i już. Wyglądał, jakby źle się tam czuł. Granatowe džinsy miał uwalane mąką, włosy też miał od niej siwe. Pamiętam, jak myślałem, że nie mogę się doczekać, aż sam posiwieję, chociaż wiedziałem, że jego włosy nie są na-

prawdę siwe, że kiedy wejdzie pod prysznic, cała mąka z nich spłynie i znowu staną się czarne i zwyczajne. Dłońmi ścisnął poręcze tak, że przypomniły mi się słowa Bahlula: „Kiedy diabeł wchodzi, chwyta się wszystkiego”.

Minęła ledwie minuta, nim wstał i powiedział, że musi iść. Mama zapłacała mu i odprowadziła go do drzwi. Potem poszła do kuchni, czarny kształt butelki z lekarstwem stał na stole. Rzuciła mi niecierpliwę spojrzenie. Siedliśmy w pełnym skrepowania milczeniu. Zacząłem postukiwać stopą o nogę stołu.

- Przestań - powiedziała.

Czułem się teraz przy niej tak samo niezręcznie, jak w sytuacjach, kiedy musiałem dotrzymać towarzystwa gościom w salonie, podczas gdy ona robiła herbatę. Zapaliła papierosa, a ja poszedłem do swojego pokoju.

Położyłem się do łóżka, zwijając się pod prześcieradłem. Chodzenie do łóżka po południu zawsze wydawało mi się dziwne, ale teraz jakoś uznałem je za właściwe. Słyszałem, jak ona idzie do swojego pokoju, jak nalewa płyn do szklanki, znajomy brzęk lodu. Przypomniałem sobie papierosa, który palił się w jej ręku. Mama paliła tylko wtedy, gdy była chora, i wtedy odpalała jednego od drugiego. Czasami zapominała i miała dwa zapalone równocześnie, jednego w popielniczce, a drugiego w palcach. Denerwowałem się, że zaśnie, paląc. Kilka razy budziłem się w środku nocy, aby się upewnić, że wszystkie niedopałki w popielniczce obok niej są zgaszone, zaglądałem pod łóżko, na wypadek gdyby któryś tam spadł. Między innymi z tego powodu nie

mogłem jej zostawiać samej, kiedy była chora. Słyszałem, jak chodzi po domu. Rozpoznałem, że się nudzi. W te dni, kiedy baba wyjeżdżał, ona często snuła się po domu bez celu. I nigdy sobie nie śpiewała w taki cichy, roztargniony sposób, tak jak często robiła, biorąc kąpiel albo malując sobie oczy przed lustrem, albo rysując w ogrodzie. Tym śpiewaniem, w którym zawsze pojawiała się zamyślona dziewczynka, która wraca ze szkoły, przesuwa palcami po ścianie: jeszcze przed 102

włoską kawiarnią, jeszcze ukryta w czystej niewinności, jeszcze nim szybki, zdecydowany ruch bez dyskusji, bez cienia szansy na sprzeciw przepchnął ją przez granicę i dalej w kobiecość, a potem nieodwołalnie w macierzyństwo. Tak bardzo chciałem ją uszczęśliwić, żeby była taka szczęśliwa, jak się wydawała w obecności baby. Tylko że to nie szczęście nachodziło ją wtedy, lecz coś w rodzaju wiary w siebie: poruszała się szybciej i sprawiała wrażenie pewniejszej. Zastanawiałem się spod prześcieradła, czy kiedykolwiek zdołam to w niej obudzić.

Zapadłem w sen i obudziłem się zdezorientowany. Nie wiedziałem, która godzina. Niebo było ciemne, świat milczał. Ale i tak czułem ciepłe pocieszenie, że po raz pierwszy się zdrzemnąłem. Ani chybi stawałem się mężczyzną. Wyczułem w domu dziwny zapach, ale fala snu była silna, ciągnęła mnie i zasysała z powrotem w ciepło i magię swojego niezachwiania.

Kilka godzin później obudziłem się konający, konie galopowały przez moje nozdrza, przez gardło. Wskoczyłem z łóżka i otworzyłem okno. Zrobiłem to samo w każdym pomieszczeniu, pootwierałem

okna i drzwi, nie do końca świadom dlaczego. Zostawiła w kuchni odkręcony gaz.

Kiedy się obudziła następnego ranka, nie mogła zrozumieć, dlaczego jestem taki zdenerwowany, i wciąż powtarzała:

- Co to za zapach? Zostawiłeś odkręcony gaz w kuchni, Sluma?

Trzasnąłem drzwiami i zamknąłem się na klucz w swoim pokoju. Ze sposobu, w jaki mówiła przez drzwi, można było odnieść wrażenie, że to naprawdę jakaś inna kobieta odkręciła gaz w kuchni, żeby nas zabić.

- Dlaczego się na mnie złościysz? Skąd mam wiedzieć, że nic ci nie jest, skoro się nie odzywasz?

Moje usta już miały coś powiedzieć, ale powstrzymałem je ręką.

- Skąd mam wiedzieć, że nie umarłeś?

Zamknąłem oczy i zatkałem sobie uszy.

- Dobra - powiedziała wreszcie późnym porankiem. - Przynajmniej wyjdź coś zjeść. Już prawie pora lunchu, a ty nawet śniadania nie jadłeś. - Kiedy odeszła, usłyszałem, jak mówi do siebie: - Co za dziwne dziecko. - Po chwili wróciła zapytać: - A gdyby teraz twój ojciec wrócił do domu, co by o nas powiedział?

W południe wsunęła liścik pod moje drzwi.

103

Żywię głęboką nadzieję, że umiłowany syn zaszczyci mnie swoją wizytą i wysyłam wezyra, by ustalić szczegóły podróży. Moje jedyne pragnienie to zobaczyć Cię przed śmiercią, jeśli nie spełnisz mojej prośby, nie przeżyję tego ciosu. Pokój z Tobą!

To nie było śmieszne. Rozpoznałem te słowa. Nie wymyśliła ich

sama, przerobiła list, który król Szachrijar wysłał do swego brata, króla Szahzamana, kiedy jego serce było chore od smutku i sądził, że umrze. Zamieniła „brat” na „syn”. Złożyłem go dwukrotnie i przepchnąłem z powrotem pod drzwiami. Po kilku sekundach usłyszałem, jak go podnosi.

Po południu czułem już, jak noże dźgają mnie w żołądek, i marzyłem, żeby się wysikać. Wyszedłem i skierowałem się prosto do łazienki, zamykając za sobą drzwi na klucz. Nie słyszałem jej. Potem poszedłem do kuchni, nalałem sobie wielką szklankę mleka, chwyciłem bochenek chleba i udałem się prosto do swojego pokoju, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Minęła już czwarta, skończył się czas sjesty. Gdzie ona była?

Wyszedłem na ulicę, żeby zobaczyć, czy są tam jacyś chłopcy.

Zastałem wszystkich zebranych wokół Adnana. Tylko on był nieobecny, kiedy ja i Karim walczyliśmy. Gdyby on przy tym był, może zachowałbym się inaczej. Na pewno teraz Usama, Masud i Ali opowiadają mi swoją wersję wydarzeń. Karim opierał się o samochód. Na mój widok umilkli. Ali powiedział „Cześć”, a Masud zgromił go wzrokiem. Pomyślałem, że wszyscy się zmówili, żeby mnie ignorować.

- Chodźmy do szkoły - powiedział do nich Masud.

Ale to nie był dzień szkoły, było lato. Ku mojemu zdumieniu wszyscy ruszyli za nim. Patrzyłem, jak odchodzą. Usama objął ramieniem Karima, mówił coś do niego po drodze. Adnan szedł obok nich, słuchając Usamy. Kiedy dotarli do końca ulicy i zniknęli mi z oczu, ruszyłem ich śladem, powoli, kopiąc kamyki, wbijając pięści w kieszenie spode-

nek. Skręciłem na rogu i znowu ich widziałem. Z daleka ich postacie wydawały się bliżej siebie.

Pod bramą szkoły stanęli. Już miałem się z nimi zrównać, gdy Karim krzyknął:

- Kto ostatni na Morwowej, ten łajza.

104

Jak stado ruszyli prosto na mnie. Kiedy byli blisko, pomyślałem, żeby zejść im z drogi, ale podejrzewałem, że usiłują mnie przestraszyć, więc ani drgnąłem. Zamknąłem oczy i stałem jak skamieniały, robiłem się coraz cieńszy, słyszałem, jak dyszą, czułem, jak muska mnie powiew ich pędu. Znowu usłyszałem, jak Karim woła „Kto ostatni na Morwowej, ten łajza!”, i wiedziałem, że to do mnie.

Adnan został przy szkolnej bramie, słaby z powodu swojej choroby. Miał tyle lat co Karim, ale nie mógł daleko biegać. Nie wolno mu było jeść słodczy, a gdyby skóra mu pękła, groziło mu wykrwawienie. Musiał brać dwa zastrzyki dziennie i robił je sobie sam. Kiedyś go przekonaliśmy, żeby nam pokazał. „Jak się będziecie śmiać, to każdemu dam po pysku” - ostrzegł, zanim zabrał nas do swojej sypialni. Żaden z nas nigdy wcześniej nie był w jego domu. Miał książki o swojej chorobie zajmujące całą jedną półkę. Miał na biurku otwarty wielki słownik z doskonale zaostrzonym złotym ołówkiem w zagięciu. Ponad wszelką wątpliwość była to największa książka, jaką w życiu widziałem. Niewielkie brązowe buteleczki z lekarstwami tłoczyły się na nocnym stoliku. Na każdej widniało jego pełne nazwisko Adnan al-Melhi, wypisane ręcznie na etykietce.

Jego pokój był nieskazitelny, a łóżko pościelono tak starannie, że zastanawiałem się, czy jest wygodne. W szufladzie biurka miał całe pudełko strzykawek oraz inne z miniaturowymi żółtymi gazikami w plastikowych powłóczkach.

- To do dezynfekcji skóry - wyjaśnił.

- Po co? - spytał Ali.

- Jak to „po co”? - warknął na niego Adnan. - Żeby nie weszły mi do środka zarazki, oczywiście.

Wszyscy stłoczyliśmy się wokół niego. Ściągnął spodnie, potarł skórę wacikiem, potem bez ceregieli wbił długą igłę w pośladek. Żaden z nas nic nie powiedział. Adnan wyciągnął igłę i przycisnął do tego miejsca mały żółty wacik. Pośladek miał usiany brązowymi siniakami. Już nigdy nie chcieliśmy patrzeć, jak to robi.

Zazdrościłem Adnanowi. Dzięki chorobie zyskiwał szczególny rodzaj siły i coś, czego nie miał żaden z nas: prywatny świat, zawierający książki i strzykawki. Jego pokój przypominał mały dom, miał tam rzeczy, które należały tylko do niego. I chociaż na widok siniaków na jego pośladku dziękowałem Allahowi za dobre samopoczucie, to jed-

105

nak modliłem się też o chorobę, która by mi dała to, co miał Adnan, to coś, co sprawiało, że wydawał się starszy i bardziej niezależny niż którykolwiek z nas i za sprawą czego wszyscy po cichu szukaliśmy jego aprobaty, aprobaty jedyne go spośród nas, który ze swoim własnym życiem i literaturą o chorobie wydawał się nikogo nie potrzebować.

Dlatego właśnie gdyby był on obecny poprzedniego dnia, pewnie nie

zdradziłbym Karima. Adnan tak właśnie na nas wpływał. Fakt, że był bliżej śmierci, postarzał go i zapewniał mu wyższy autorytet moralny. Jak moja bohaterka, Szeherazada, on też żył z mieczem nad głową. I dlatego wyzwanie - „Kto ostatni na Morwowej, ten łajza” - nie odnosiło się do niego.

Adnan położył mi rękę na ramieniu. Ja dalej wpatrywałam się w puste szkolne podwórko, naszą ciemnozieloną flagę, uwieszoną pod własnym ciężarem na wysokim maszcie. Przypomniałem sobie, jak stawaliśmy co rano w równoległych rzędach pod słabym zimowym słońcem, z ciężkimi tornistrami na plecach, wykrzykując hymn państwowy do leniwej flagi, rywalizując ze zgrzytliwą muzyką, która dudniła z szarych, stożkowatych głośników umieszczonych w rogach podwórka, na tyle wysoko, żeby żaden z nas, nawet wspiąwszy się na ramiona kolegi, nie mógł ich dosięgnąć. W niektóre poranki stałem wyprostowany, zaciskając pięści i napinając plecy, czując, jak łyżeczki mnie w oczy, kiedy śpiewałem nasz hymn państwowy tak głośno, że przez resztę dnia musiałem przełykać ból, który pozostał mi w gardle. W inne poranki stałem niedobudzony, poruszając tylko wargami, starając się w kakofonii ukryć swoje ziewnięcie.

Adnan pociągnął mnie za rękaw i razem ruszyliśmy z powrotem na swoją ulicę. Nie odzywał się, ale wiedziałem, że próbuje mnie pocieszyć. Widzieliśmy, jak chłopcy zebrali się u wylotu naszej ulicy, dysząc ciężko. Usama, który zawsze wygrywał te wyścigi, oparł się o głaz, na którym widniała nazwa „Morwowa”. Ali stał przy swoim bracie, wyglądał na nieszczęśliwego. Zawsze dobiegał ostatni, musiał

od wszystkich zaliczyć blachę w czoło i przyjąć tytuł łajzy. Wszyscy patrzyli w naszą ulicę na coś, czego Adnan i ja nie widzieliśmy. Kiedy dotarłem do nich, walnąłem Alego w głowę i nazwałem go łajzą. Nie miałem prawa, nie wziąłem udziału w wyścigu. I tak jednak nie byłem zadowolony, więc walnąłem go po raz drugi i trzy razy nazwałem łajzą. Próbował mnie uderzyć, ale bez trudu zatrzymałem go jedną

106
ręką. Adnan zaciągnął mnie na jedną stronę i ramieniem pchnął w bok. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu, spytał:

- Twój ojciec jest w domu?

Adnan rzadko zadawał mi jakiegokolwiek pytania. Mimowolnie poczułem, że mi to schlebia.

- Wyjechał w podróż służbową - odparłem.

Spojrzał w dal i powiedział, prawie do siebie:

- Całe szczęście - i odszedł, krokami bardziej żwawymi niż zwykle.

Za nim zobaczyłem ten sam biały samochód, który zabrał ustaza

Raszida. Tym razem stał przed naszym domem. „To ten sam samochód...” - powiedział za mną któryś z chłopców. Zastanawiałem się, co myśli Karim. Oczekiwałem, że pospieszy do mego boku, weźmie mnie za ramię i powie: „Teraz jesteśmy jednością, bracie”. Adnan minął biały samochód, patrząc cały czas w ziemię, pchnął furtkę do ogrodu swojego domu, po czym ją puścił, a ona kołysała się za nim.

W samochodzie dojrzałem tylko jedną głowę. Obejrzałem się. Wszyscy chłopcy zniknęli, został tylko Karim. Stał nieruchomo, patrząc na mnie. Chciałem do niego podbiec, ale tylko odwróciłem się w stronę

samochodu i ruszyłem ku niemu. Usiłowałem myśleć o Szeherezadzie, jej męstwie, ale choć straszliwie się starałem, wciąż słyszałem słowa mamy: „Powinieneś sobie znaleźć nowy wzór. Szeherezada wołała niewolę od śmierci”. Pomyślałem o Sindbadzie, ale nigdy go nie lubiłem, bo był złodziejem. Pomyślałem o niewolnikach klaszczących unisono, ale oni mieli siebie nawzajem, człowiek klaszczący w pojedynkę niczego by nie wskórał. Poza tym, czy oni też nie woleli niewolnictwa od śmierci? Byłem już blisko samochodu. Mężczyzna zauważył mnie w bocznym lusterku. Kiedy dotarłem do jego okna, zobaczyłem jego twarz i zamarłem. Przypomniałem go sobie. To był ten z głosem staruszki, który stał w drzwiach salonu, odcinając mi drogę, patrzył na mnie siedzącego na podłodze przy tacy z jedzeniem, jak kręcę głową i macham ręką przy klatce piersiowej, jakbym mówił „To nie ja, przysięgam, to nie ja”, ten, który spoliczkował ustaza Raszida, ten, który śledził mamę i mnie od placu Męczenników. Jego skórę znaczyły małe dziurki, jak drobne ślady rylca. Oczy miał jak szparki, o ciemnych białkach. Usta miał ciemne, jakby pofarbowane niebieskim barwnikiem. Może jadł owoce morwy, może pił krew. Zwarte loczki tworzyły hełm na jego głowie. Uśmiechnął się do mnie.

107

- Sulejman - powiedział leniwie, jakby moje imię oznaczało żucie gumy. - W końcu się spotykamy.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie patrzeć mu w oczy, ukryta w nich dziwna siła zdawała się mnie przyciągać. Pomyślałem o płomieniach Wiekuistego Piekła liżących most do Raju, jak będą się

wydawały znajomym głosem niewiernym, którzy odwrócić się w ich stronę, tak jak mimowolnie odwracamy się, kiedy ktoś woła nas po imieniu, ponieważ, jak powiedział Szajch Mustafa, „Tylko winni żyją w strachu”.

- Kim pan jest? - spytałem.

Przyłożył dłoń do piersi i powiedział:

- Nazywam się Szarif. Jestem przyjacielem twojego taty. - Wiedziałem, że kłamie. - Nie pamiętasz mnie?

- Przeszukiwał pan nasz dom.

- Tak. Musiałem zadać mu ważne pytanie. - Odwrócił się do mnie przodem i uśmiechnął się pod nosem. Prawie wyglądał na zakłopotanego. - Chyba się trochę spieszyłem.

- Więc nie zamierzał go pan zabrać tak jak ustaza Raszida?

- Kogo?

Wskazałem na dom Karima.

- Widziałem pana.

- Ach - rzucił, jakby to było coś, o czym sobie właśnie przypomniał, i wybuchnął śmiechem. - Nie, nie, nie. Twój tata taki nie jest. To mój dobry przyjaciel. Znamy się od lat, jesteśmy w zasadzie jak bracia.

Właściwie to on mnie przysłał, żebym się z tobą spotkał. Tyle o tobie słyszałem, Sluma.

Wiedziałem, że kłamie, ale skąd znał zdrobnienie mojego imienia?

Przypomniałem sobie, jak wepchnął mamie w brzuch butelkę z jej lekarstwem. Znał naszą tajemnicę, pomyślałem, znał ją, a jednak zachował ją dla siebie.

- Czy ustaz Raszid jest zdrajcą? - spytałem.

- Tak - odrzekł bez wahania.

-A baba, czy on...

- Dlatego właśnie tu jestem. Staram się go bronić, ale potrzebuję dowodu. - Słowo „dowód”, tak najeżone igłami.

- Tego właśnie pan szukał?

- Właśnie.

108

W przeciwieństwie do mamy i Musy, on odpowiedział na moje pytania. Nie traktował mnie jak dziecka.

- Gdzie baba?

- Nie mogę ci powiedzieć - odrzekł, sięgając do kieszeni. - Prosił, żebym ci to przekazał. - Podał mi jedną z piekących angielskich miętówek baby. Przysunąłem się do niego o krok. Wtedy na siedzeniu obok niego zobaczyłem pistolet, czarny i tłusty. Odsunąłem się.

- No, śmiało, podejdz - powiedział spokojnie Szarif swoim cienkim, chropawym głosem. I zrobiłem to. Podeszedłem do niego. Podał mi pistolet, rękojeścią do przodu, i rzekł: - Proszę, dotknij go. - Kiedy wyciągnąłem rękę, dodał: - Mężczyźni nigdy się nie boją. A ty jesteś mężczyzną, prawda?

Metal pistoletu był zimny jak zdechła ryba. Odłożył go na miejsce obok i powiedział:

- Masz cukierka, to od baby.

Moja głowa w zasadzie znajdowała się już w aucie, zapach starych skarpet i papierosów przyprawił mnie o zawroty głowy. Moc odoru

uderzyła mnie jako oznaka męskości, pojawiło się więc nawet pewne podniecenie, że jestem tak blisko niego. Może bycie mężczyzną oznacza intensywność, pomyślałem. Z dekoltu kurtki safari wylaniała się klatka piersiowa. Skórę miał brązowoczerwoną od słońca, lśniąca od potu. Ktokolwiek by nas teraz zobaczył, uznałby, że jesteśmy przyjaciółmi. Wziąłem miętówkę. Karim zniknął. Czy odszedł z obrzydzeniem, kiedy zobaczył, jak bardzo się zbliżyliśmy: ja i mężczyzna, który zabrał jego ojca?

- Wiesz, to co twoja mama pije, jest bardzo złe. - Szarif patrzył na mnie z uśmiechem i niemal z żalem w oczach. - Mogłaby pójść do więzienia. Z wyrazu mojej twarzy pojął, że zrozumiałem. Chciałem go błagać, żeby nie mówił.

- Jej tajemnica jest u mnie bezpieczna.

Poczułem wdzięczność tak wielką, że mógłbym pocałować go w rękę.

- Ale ty, Sulejmanie, będziesz musiał mi pomóc.

- Wszystko zrobię, wszystko.

Patrzył przed siebie z uśmiechem.

- Potrzebna mi lista przyjaciół baby, jak najwięcej nazwisk, żeby za niego poręczyli.

109

Mój umysł pognał po wspomnienie.

- A ja nie mogę za niego poręczyć?

Roześmiał się.

-Nie.

- Dlaczego?

Przez chwilę myślałem, że się rozłościł, ale on znowu się uśmiechnął.

- Potrzebujemy mężczyzn, dorosłych - wyjaśnił, uśmiech zniknął.

- No, Sluma, na pewno znasz chociaż jedno nazwisko.

Kiwnąłem głową tak, jak robią ludzie, kiedy intensywnie szukają czegoś w pamięci, ale chcąc milcząco zapewnić rozmówcę, że są blisko pochwycenia tego czegoś, co mają na końcu języka. Gdyby w tamtej chwili jakieś nazwisko miało tyle pecha, bym je pamiętał, wypowiedziałbym je, wydał. Pomyślałem o książce pod moim materacem.

- Nie pamiętam żadnych nazwisk - powiedziałem.

- Jak to nie pamiętasz? Postaraj się. - Zirytował się. Oddech miał gorący i pachnący rdzą.

Drżałem. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że jestem bliski płaczu.

- Mam książkę - usłyszałem swoje słowa. - Uratowałem ją przed spaleniem.

Nagle usłyszałem, jak ktoś mnie woła po imieniu. Mama. Zobaczyłem jej bladą twarz w cieniu naszego domu, stała w korytarzu.

Pobiegłem do niej. Gdy tylko znalazłem się w środku, zatrzasnęła drzwi. Padła na kolana i mocno chwyciła mnie za rękę.

- Co robiłeś z tym człowiekiem? Widziałam was, nie kłam. - Zacisnęła chwyt. Nigdy nie widziałem jej tak przerażonej. - Co on ci mówił?

Czy to pierwszy raz?

Odepchnąłem ją i pobiegłem. W chwili gdy ją pchnąłem, usłyszałem, jak się zachłystuje, ten dźwięk skojarzył mi się z odpływaniem czerwonego balonika na głębokim błękitnie morza. Wszedłem do swojego

pokoju i przypomniałem to sobie kilka razy, i za każdym razem bolało mnie serce. Żałowałem, że nie przyszła za mną. Chciałem przeprosić. Chciałem jej pokazać, co dał mi ten człowiek, piekącą angielską miętówkę, którą baba kupował w trakcie swoich podróży. Musiała należeć do niego, ponieważ nie można jej było kupić w naszym kraju.

Zastałem ją przy stole. Paliła. Siadłem naprzeciwko. Chciałem, żeby coś powiedziała, niechby nawet powtórzyła „Widziałam was, nie kłam”, ale ona mnie zignorowała. Patrzyłem na ogród przez szklane drzwi, na ziemię od dawna przetartą cieniami. Pomyślałem, że możemy pójść na dach i popatrzeć, jak zmienia się dzisiaj morze. Albo mogłem jej ustawić w ogrodzie stolik do rysowania, bo tam lubiła rysować pomarańcze, śliwki, skręcone liście. Nigdy nie miałem cierpliwości siedzieć z nią, ale chętnie bym spróbował.

- Wiesz, on miał pistolet. Dał mi go dotknąć. - Podniosła na mnie wzrok. - Ciekawe, co zrobił ustaz Raszid? Myślisz, że jest zdrajcą, myślisz, że Umm Masud ma rację? Wiem, że ona dużo plotkuje, ale zastanawiałem się nad tym i myślę, że to prawda. Nie ma dymu bez ognia. No bo to prawda, prawda? Można zrobić dym, jak nie ma ognia? Można zrobić parę, ale to co innego, prawda? - Nic nie powiedziała. Patrzyła na mnie, potem szybko, nerwowo zaciągnęła się papierosem. Palce drżały jej lekko. Dym wylał się z jej nozdrzy. - On mówił, że jest przyjacielem baby. Nawet mówił na mnie Sluma i dał mi to. - Położyłem na stole piekącą miętówkę baby. Twarz mamy zaczęła się zmieniać. Zanim wybuchniemy płaczem, nasze twarze próbują się poskładać, ukryć przed światem. - Baba niedługo wróci, tak mówił. I nie smuć się.

Szarif nie powiedział, że baba niedługo wróci, ani nie powiedział „Nie smuć się”. To były moje słowa, które włożyłem w jego usta, tak jak Musa dodawał coś od siebie do artykułów, które czytał na głos.

Wymamrotała coś. I dopiero kiedy się rozplakała, powtórzyła to coś:

- Głupi Faradz!

Chciałem powiedzieć „Baba nie jest głupi” albo „Nie mów, że baba jest głupi”, ale ona wyszła z kuchni. Usłyszałem, jak drzwi jej pokoju

111

zamykają się z trzaskiem, jak obraca się klucz. Wtedy zadzwonił telefon w salonie. Otworzyła drzwi i pobiegła go odebrać.

- Halo? Halo? Kto mówi? - pytała szybko, potem jej oczy znieruchomiały na punkcie na ścianie i domyśliłem się, że kogoś słucha. -

Tak, Bu Naser, mówi Umm Sulejman. - Obróciła się. - Bu Sulejmana nie ma. - Spojrzała na mnie, zasznurowała wargi i powoli pokręciła głową. - Z całym szacunkiem... - powiedziała, ale jej przerwano.

- Z całym... z całym szacunkiem, Bu Naser, ja nie mam z tym nic wspólnego. - Po chwili dodała: - Naser jest na tyle duży, by samemu zdecydować. Powinien pan z nim o tym porozmawiać. - Znowu na mnie spojrzała, podnosząc brwi i kręcąc głową. - Ale przecież panu powiedziałam, Bu Sulejmana nie ma. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Proszę posłuchać, jestem pewna, że Naserowi nic nie będzie. - I dodała cytata z Koranu: - Nie osiągnie nas nic innego, jak tylko to, co zapisał dla nas Bóg. - Potem słuchała ojca Nasera. - Bu Naser, jeśli tak pan uważa, powinien pan to powiedzieć synowi. Nikt go nie zmusza, żeby pracował dla mojego męża. - Kiedy odłożyła słuchawkę, chwilę

trzymała na niej rękę, po czym zadzwoniła do Musy. - Masz pogłos?
To dobrze, ja też nie. Słuchaj, właśnie dzwonił do nas ojciec Nasera.
Martwi się. Chce wiedzieć, jak bardzo wplątał się jego syn. Mówi, że
jeśli cokolwiek mu się stanie, cała odpowiedzialność spadnie na Bu
Sulejmana. - Spojrzała w moją stronę, odwróciła się i zaczęła tajem-
niczo szeptać: -I był pogłos na linii. Tak, oczywiście, że wiem, co to
znaczy. Zadzwoni do Nasera i przekaz mu, co mówił jego ojciec i że ja
się denerwuję: jego ojciec nam grozi, uważa nas za odpowiedzialnych
za los jego syna...

Nagle przypomniałem sobie, co powiedział sędzia Jasin do baby,
kiedy Musa rzucił studia: „Zmarnowałeś mi syna”.

- Dobrze, do widzenia. - Odłożyła słuchawkę. Poszła do siebie.

Chwilę później telefon znowu zadzwonił, a ona wyszła z pokoju,
tym razem już nie pośpiesznie, lecz z pewnością siebie i aurą władzy
osoby, która uważa, że jest niewinna i ma słuszość. Już prawie odebra-
ła, ale coś ją powstrzymało. Strzeliła palcami i - jakby osoba dzwoniąca
mogła nas usłyszeć - wyszeptała:

- Ty odbierz.

Podniosłem słuchawkę i spojrzałem na nią.

- Halo - powiedziałem.

- Sluma... - To był Naser. Słyszałem pogłos, to było złe połączenie.

- Mówi Naser.

- Wiem - odparłem.

- Co u ciebie, młodzieńcze? Jak tam mama? Mogę z nią rozmawiać?

Podaliśmy mamie słuchawkę. Przyłożyła dłoń do mikrofonu, ściągnę-

ła brwi i wyszeptała:

- Kto to?

- Naser - odparłem i chciałem odejść.

- Był pogłos na linii? - szeptała dalej.

-Tak.

Zagryzając dolną wargę, delikatnie odłożyła słuchawkę na widełki.

Nie spytałem, dlaczego to zrobiła ani dlaczego dalej stoi przy aparacie.

Po kilku sekundach telefon zadzwonił jeszcze raz.

Znowu strzeliła palcami.

- Powiedz mu, że mnie tu nie ma, potem odłóż słuchawkę, nie gadaj.

- Odeszła do sypialni.

Podniosłem słuchawkę.

- Nie ma jej.

- Dlaczego się rozłączyłeś? - spytał Naser. Wydawał się urażony.

Jego głos, nieco drżący, robił się jeszcze dziwniejszy przez pogłos na linii. Po chwili milczenia, trwającej chyba wieczność, dodał: - Jak wróci, powiedz, że dzwoniłem, dobrze? I... i jeszcze jej powiedz, że przykro mi z powodu mojego ojca, że tak do niej mówił.

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego poczułem do Nasera niechęć od pierwszego wejrzenia. Dlaczego zawsze byłem szorstki, skoro on zawsze był miły? Kiedy dzwonił w Id życzyć nam dobrego zdrowia i szczęścia, zawsze nalegał, żeby porozmawiać z każdym z nas. Baba podawał słuchawkę mamie, uśmiechając się z zakłopotaniem, jakby ten Naser był jego dziełem, jakby odpowiadał za wszystko, co Naser mówi. Kiedy nadchodziła moja kolej, zawsze próbowałem się wykrę-

cić, ale baba nie zgodziłby się skłamać mu, że jestem w łazience albo że bawię się na ulicy. Ściągnąłby brwi i gestem nakazałby mi wziąć słuchawkę z rąk mamy. Naser zawsze mówił tak samo: najpierw wołał „Sluma!”, jakbym się znajdował po drugiej stronie drogi, a potem: „Jak się masz, młodzieńcze?”. Na wszystkie jego pytania odpowiadałem jak najkrócej, kiedy życzył mi dobrego zdrowia i szczęścia, tego samego życzyłem jemu, a kiedy mówił „Jestem twoim przyjacielem, Sluma”

113

albo „Gdybyś czegoś potrzebował, uważaj mnie za starszego brata”, nie wiedziałem, co powiedzieć, więc nie mówiłem nic, ale, oddając słuchawkę babie, zawsze czułem na policzkach palący gniew. A czyż nie chciałem wiele razy mieć starszego brata, starszego brata jak Karim albo nawet jak Naser?

Nagle po raz pierwszy poczułem ciepły żar tkliwości do Nasera.

Czułem się źle, że go okłamałem, więc wyjaśniłem:

- To mama kazała mi powiedzieć, że jej nie ma.

Wydawało mi się, że słyszę, jak chichocze, jak próbuje powstrzymać się od śmiechu. Ale on nagle krzyknął:

- Kto się śmieje? Śmiejesz się ze mnie?

- Nie śmieję się z ciebie - odparłem, ale ktokolwiek się śmiał, teraz robił to jeszcze głośniej, więc Naser mnie nie usłyszał.

Przez ten śmiech znowu usłyszałem, jak krzyczy:

- Kto się śmieje, pytałem!

- Nazwisko, chłopcze?

- Sulejman Faradž ad-Diwani.

- Nie twoje - przerwał głos. - Tego Nasera. Nazwisko! Już!

To nie było nic nadzwyczajnego. Wiele razy się zdarzało, że rozmawiałem z kimś przez telefon, a włączała się trzecia osoba. A czasami to ja byłem tą trzecią osobą, bo słuchałem czyjejś rozmowy, przy czym jeden głos był dalej niż drugi, a czasami nie mogłem się powstrzymać przed podsłuchiwaniami, a raz czy dwa robiłem tło w postaci odgłosów wichury i wybuchów, a raz zagrałem im piosenki Boney M. Nadzwyczajne natomiast było to, że chociaż po wszystkim, co mówiłem, następował pogłos, to głosy Nasera i obcego mężczyzny słyszałem równie dobrze. A ponieważ w życiu - jak powiedział mi kiedyś baba - nie da się słuchać i mówić jednocześnie, echo mojego głosu wracało dziwne i nowe, i zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej sam siebie nie słyszałem.

- Nie rozmawiaj z nim, Sulejmanie - rozkazał Naser. - Odłóż słuchawkę, szybko. - Słyszałem rozpacz w jego głosie.

- Ten Naser nie jest za bardzo przyjazny, prawda, Sulejmanie? - rzekł głos spokojnie. Roześmiałem się, bo w przeciwieństwie do desperackiego tonu głosu Nasera, ten wydawał się ubawiony. Echo mojego śmiechu zabrzmiało złowieszczo.

- Nie słuchaj go. Odłóż słuchawkę, powiedziałem! - krzyknął Naser.

114

Usłyszałem, jak trzeci głos mówi coś do siebie albo do kogoś obok siebie, albo do mnie:

- Ten Naser lubi sobie pogrywać.

- Rozłącz się!

- Nie, nie rozłączę się, sam się rozłącz, jak chcesz. - Moje słowa powędrowały pomiędzy nimi jak strzała, niczym nieprzerwane.

Głos ponownie wybuchnął śmiechem. Naser się rozłączył. Głos przestał się śmiać i razem ze mną słuchał niekończącego się sygnału.

Po kilku sekundach, kiedy już miałem odłożyć słuchawkę, odezwał się:

- Świetny jesteś, chłopcze. - Nie wiedziałem, jak zareagować. -

Powiedz mi - zagaił, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi - jak się czuje twoja mama? Masz taką piękną mamę, wiesz. - Poczułem, jak kark mi sztywnieje. Nagle się roześmiał i powtórzył to, co rzuciłem do Nasera:

„To mama kazała mi powiedzieć, że jej nie ma”. I znowu się roześmiał.

Serce mi łomotało, wydawało się, że czas zaczął płynąć wolniej. -Ach

- podjął, wzdychając - ależ ty masz piękną mamę. Robi doskonałą

herbatę, wspaniałą harissę. Nie ma to jak domowa harissa. - Nagle

przypomniałem sobie, jak pewnego dnia mama mełła czerwone pa-

pryczki chili i zakazała mi wchodzenia do kuchni, żeby żar - wyjaśniła

- nie wypalił mi oczu. Miała na rękach rękawiczki, usta i nos zasłoniła

chustą jak włamywacz. - Powinieneś się cieszyć, że masz taką mamę.

Cieszysz się, Sulejmanie? - Dwukrotnie kiwnąłem głową. - Powiedz

jej, że jeśli kiedykolwiek będzie potrzebowała kompana do picia, niech

zadzwoń do mnie. Powiedz jej, że ja też biorę lekarstwo od tego łotra

Madźdiego. Chwała Bogu za Madźdiego.

Rzuciłem słuchawkę. Serce mi waliło jak u myszy uwięzionej

w karuzelce. Stałem nieruchomo przy telefonie, skamieniały. Znowu

zadzwoił.

- Halo? - usłyszałem drzenie w moim głosie, powtórzone przez

pogłos.

- Sluma? - To był Naser. Szeptał.

- Naser. Dzięki Bogu, że to ty. Kim był ten człowiek? Skąd nas zna?

Wie rzeczy, o których nikt nie wie. Kim on jest? - Teraz byliśmy braćmi.

- Odłożyłeś słuchawkę, jak ci powiedziałem?

-Tak.

- Dobry chłopak. Słuchaj teraz, nie ma wiele czasu, muszę przekazać wiadomość twojej mamie. - Wciąż szeptał. Nie lubiłem, jak mówił do

115

mnie „dobry chłopak”, ale jeszcze nigdy nie czułem do Nasera takiej tkliwości jak teraz. - Przekaż jej, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć ustaza Faradża, nie wiemy, gdzie jest, tu się nie pojawił.

- Wyobraziłem sobie, że mówi z mieszkania na placu Męczenników.

- Oczekiwaliśmy go... wiesz, gdzie on jest?

- Może byś sobie ten telefon w dupę wsadził, kutasie - głos wrócił.

- Rozłącz się, Sulejmanie - krzyknął Naser i tym razem natychmiast odłożyłem słuchawkę. Ale niemal w tej samej chwili telefon znowu się odezwał, dziwnym ciągłym dzwonkiem. Bojąc się, że to zaniepokoi mamę, odebrałem. To był ten sam człowiek. Słysząc go było wyraźnie, pogłos zniknął.

- Słuchaj, chłopcze. Znasz nazwisko Nasera? - milczałem, ale on krzyknął: - Mów!

- Nie - odrzekłem, przypominając sobie przesłuchanie ustaza Raszida w telewizji.

- Wiesz, gdzie on mieszka?

- Nie. - Po czym, bojąc się, co dalej powie, poprawiłem się: - Tak.

- Dobrze. - Pomyślałem, że to koniec, ale on ciągnął. - Posłuchaj, Sulejmanie, co zrobimy. Ty mi powiesz, gdzie mieszka Naser, a ja to zapiszę, dobrze? - Poczulem, że moja głowa skłania się, by kiwnąć na znak potwierdzenia, a mężczyzna, jakby mnie widział, rzekł: - Dobrze.

Po krótkiej chwili ciszy znowu krzyknął:

-Mów!

- Wie pan, gdzie jest plac Męczenników?

- Tak - odrzekł tak delikatnie, że mnie zamurowało.

- Mieszka w jednym z budynków przy placu. - A w nieudolnej próbie wycofania się dodałem: - Tak myślę. Nie jestem pewien.

- Ależ oczywiście, że... jesteś pewien - rzekł z przekonaniem.

Zmieszałem się. Przerwa przed słowami „jesteś pewien” wydawała się tak przemyślana, że zastanowiłem się, czy on chciał powiedzieć „oczywiście, że nie jesteś pewien”, czy „oczywiście, że jesteś pewien”.

- A w którym budynku przy placu Męczenników nie jesteś pewien, że mieszka?

- Po prawej. - Jego milczenie było ciężkie, tak puste, że czułem, że muszę coś dorzucić: - Ma zielone okiennice. Na najwyższym piętrze, na linie za oknem wisi czerwony ręcznik.

115

- Dobrze -

odrzekł mężczyzna. Potem dodał, a ja znowu nie wie-

działem, czy mówi do mnie, czy do kogoś innego obok, czy też może do siebie. - Czerwony ręcznik to sygnał, gnoje.

- Naser to bardzo miły człowiek - dodałem. Ale on się rozłączył.

Popołudnie przypominało wieczór. Mama drzemała w swoim pokoju. Ja leżałem w łóżku i chociaż nie widziałem Szarifa, wiedziałem, że on wciąż tam jest, lojalny, czeka w swoim białym samochodzie, w gasnącym słońcu, w nadziei, że przypomnę sobie nazwiska albo przyniosę książkę, o której wspomniałem, i złożę ją w jego ręce, książkę, która wciąż spoczywała pod moim materacem, pod miejscem, na którym spałem i śniłem. Książka zaczęła mnie uwierać jak kamyk w bucie i czułem, że nie spocznę, póki nie dam mu jej albo nie pozbędę się w inny sposób.

Okno w moim pokoju było otwarte. Z miejsca, w którym leżałem, widziałem niebo błękitne i lite nad białym murem ogrodu pozłoconym przez słońce, linię, na której spotykała się czerwień i czerń, grę światła. Od wpatrywania się w niebo często chciało mi się pić, teraz od tego zaczęło mnie coś łaskotać w piersi. Zastanawiałem się, jak by to było móc latać, znaleźć się w środku litego błękitu. Pewnego dnia baba na pewno zabierze mnie w swoją podróż służbową. Ubiorę się w garnitur i krawat i pomaszuję obok niego jak cień, jego „prawa ręka”. Kiedy wsiądziemy do samolotu, nie będę pod wrażeniem, bo wtedy już latanie mi spowszednieje. Siądziemy i nawet nie będziemy wyglądać przez okno, zajęci ważniejszymi sprawami wypisanymi w wąskich kolumnach gazet. Wtedy będę już mężczyzną, uginającym się pod ciężarem świata. Wyobraziłem sobie swoje życie bez baby, wyobraziłem sobie, że robię to wszystko sam, i łaskotanie w piersi ustało. Niewiele w życiu robiłem bez baby i rezygnacja z tej fantazji zasmuciła mnie. On tak często wyjeżdżał, a kiedy wracał, zwykle pochłaniała

go książka albo gazeta. Odczuwałem zakłopotanie za każdym razem, kiedy zauważałem, że patrzy na mnie tęsknie.

118

Jedynym wspólnym i wyłącznie naszym zajęciem były piątkowe wyjścia do meczetu. Chociaż mama sama nigdy się nie modliła ani nie nalegała, żebym ja się modlił, i tak była dumna, kiedy mnie widziała ubranego w białą galabiję i czapeczkę, jak trzymam babę za rękę, skropiony pizmem i gotowy do modlitwy: miniaturka baby. Nie tęskniłem za piątkowymi modlitwami i zawsze się cieszyłem, gdy się kończyły, ale lubiłem z nim iść. Pamiętam, jak trzymałem go za rękę i mrużyłem oczy przed jaskrawym słońcem, nasze białe galabije lśniły w upale. W czasie tych przechadzek zawsze milczał, niewątpliwie powstrzymując się przed mówieniem, aby słuchać Koranu recytowanego przez Szajcha Mustafę, wyrykiwanego z głośnika minaretu, zbyt głośno, by dało się go zrozumieć. Wiele razy w trakcie modlitwy stałem wyprostowany, podczas gdy wszyscy wierni bili pokłony. Patrząc, jak cała świątynia zmienia kolor, czułem przerażenie, że tylko ja na całym świecie tak ich widzę: dywan pochylonych białych pleców, niczym mewy iskające sobie piórka na piersi. Po modlitwie baba lubił przedstawiać mnie swoim przyjaciołom. Uważali, że to urocze, że jestem ubrany tak jak on. Pod nieobecność baby nigdy nie chodziłem się modlić. Kiedy był w domu, wydawał się daleki. Kiedy wyjeżdżał, wydawał się jakiś bliższy, bardziej żywy w moich myślach. Dlatego dziwne było, kiedy mama łączyła nas w jedno. Robiła to, używając liczby mnogiej: „Zawsze zostawiacie mnie samą”, mówiła, kiedy wracałem z zabaw

na ulicy, a miała przy tym na myśli nas obu, łącząc nas w nierozdzieloną całość. To mnie obligowało do bronienia go, musiałem mówić: „Ale baba ciężko na nas pracuje”, gdy tymczasem nie miałem pojęcia, czy on ciężko na nas pracuje, czy też nie. Bronilem go, bo bronilem siebie. Ale teraz wiem, że to, oczywiście, czyniło nas nierozróżnialnymi, mężczyznę, który był jej karą, i chłopca, który przypieczętował jej los. Czasami mówiła „Ech, wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami”, łącząc mnie nie tylko z babą, lecz także z wieloma innymi mężczyznami. Nigdy nie miałem pojęcia, co na to powiedzieć. Nie mogłem chyba bronić ich wszystkich: wszystkich jej braci i ojca - mężczyzn, których nazywała Wysoką Radą - mężczyzn, którzy spotkali się, by zdecydować o jej losie, kiedy miała zaledwie czternaście lat, po tym jak ją zobaczono siedzącą naprzeciwko chłopca we włoskiej kawiarni. I wszystkich innych mężczyzn, którzy spotykali się we włoskiej kawiarni, gdzie toczono rozmowy i gdzie zapadały decyzje. To ci mężczyźni gadaliby

119

na pewno, gdyby natychmiast nie wydano jej za męża. Groźba ich gadania kazała mojej babci mówić „Jeśli przyjdzie z oświadczeniami niewolnik, niewolnik czarny jak noc, oddam cię mu”. Tych właśnie mężczyzn wyobrażała sobie Wysoka Rada, jak plotkują przyciszonymi głosami: „Patrzcie, patrzcie, kto tam siedzi, z chłopakiem, i dotykają się rękami pod stołem, a teraz na stole, córka z dobrego domu, bezwstydne stworzenie, chłopak się rumieni jak świnia, ma więcej wstydu niż ona” - w kawiarni, w kawiarni, z której wstyd by się rozszedł i okrył wszystkich w dobrej rodzinie, gdyby nie zareagowali szybko, gdyby jej

natychmiast nie wydali za mąż, choćby za niewolnika. Opowiadała mi tę historię tyle razy, jak to się stało, że wyszła za babę, o tym „czarnym dniu”. Za każdym razem coś opuszczała albo przypominała sobie coś nowego. „To dlatego, że byłam taka piękna” - zaczynała czasami. Albo: „To wszystko przez Chaleda, tego twojego głupiego wujka. To on mnie wydał, zdradził mnie. To on trzymał nóż”.

Chaled był bratem mamy. Wyjechał do Ameryki, by studiować na uniwersytecie, i wszyscy za nim tęsknili. Kiedy się urodziłem, jego poproszono, żeby wybrał mi imię. „Sulejman - zdecydował. - Po Sulejmanie Wspaniałym”. Później wrócił z amerykańską żoną, której nie odpowiadał smak naszej wody. Miała na imię Cathy, pachniała jak nikt w naszym kraju, mieszanką eukaliptusa i trawy. Z jej właśnie powodu długo wyobrażałem sobie Amerykę jako las. Na zgromadzenia rodzinne przynosiła ze sobą książkę. Nie dołączała do kobiet w kuchni, tylko siedziała samotnie i czytała. Kiedyś usłyszałem, jak ciocia Nura, jedyna siostra mamy, wyszeptwała, że to, co czyta Cathy, to jej Biblia. Ale nie wydaje mi się, żeby to była prawda, bo książka miała obrazek kobiety w sukience bez rękawów, uciekającej przed mężczyzną w ciemnym garniturze i kapeluszu, z bronią w ręku.

Kiedyś ich widziałem, wujka Chaleda i Cathy, jak się kłócili pod drzewem klejowym w naszym ogrodzie. On walnął dłonią w drzewo, ona zakryła ręką oczy. Niedługo później wrócili do Ameryki. Tęskniłem za Cathy. Podobało mi się, że mamy w rodzinie kogoś z żółtymi włosami. Kiedy nas odwiedzała, chłopaki tręcili mnie łokciami i chichotali. Przed Ameryką i Cathy wujek Chaled mieszkał w Trypolisie i pi-

sał wiersze, których połowa rodziny się wstydziła, a druga połowa je uwielbiała. Kiedy spytałem babę o jego zdanie, odrzekł „Ten twój wujek to wielki poeta. Bardzo ważny”. I tylko raz słyszałem, jak baba

120

krzyczy na babcię, tę, która pochłoneła całe Baśnie tysiąca i jednej nocy, a stało się to wtedy, gdy zaniedbała drewnianą skrzynię papierów wujka Chaleda. Wstawiła ją do kurnika, gdzie sprytne kurczaki wydlubowały zamek i pożarły wszystkie wiersze.

- Ciemnota! - krzyczał baba. I znowu: - Ciemnota! Ciemnota!

Ciemnota! - powtarzał jak dzwon.

Moja babcia wydawała się zmieszana, zmieszana i trochę zakłopotana, jakby ktoś głośno pierdnął w pokoju.

- Nie podnoś na nią głosu - powiedziała do niego mama.

- Zadowolona jesteś? - mówił baba. - Jedyne egzemplarz Uczty mrówek znajduje się teraz w kurzych brzuchach.

Uczta mrówek to sztuka, którą wuj Chaled ukończył, zanim wyjechał do Ameryki. Napisanie jej zajęło mu siedem lat, przypominała długi poemat, a opowiadała historię naszego kraju.

- Uczta, nie uczta - obstawała mama - nigdy już nie podnoś głosu na moją matkę.

Baba spojrział na mamę, potem na babcię, potem znowu na mamę, i wyszedł z pokoju.

Kiedy wujek Chaled wrócił z Ameryki i dowiedział się, że jego wiersze oraz Uczta mrówek zostały pożarte przez rodzinne kury, śmiał się, potem jeszcze się śmiał, i jeszcze raz, aż ten śmiech zaprowadził

go na koniec ogrodu, gdzie siedział przez długi czas sam i już się nie śmiał. Przez całe lato nie chciał zjeść jajka zniesionego przez te kury. „Są pełne poezji” - zażartowała babcia. Uśmiechnął się, ale nie jadł. Mama winiła wujka Chaleda za ten czarny dzień, przez który zmuszono ją do poślubienia baby. Chodziło jej o to, co on zrobił, kiedy w trakcie jednej ze swoich wizyt zobaczył ją i jej przyjaciółkę Dżihan we włoskiej kawiarni, pijących cappucino z dwoma chłopakami. Mama i Dżihan miały po czternaście lat, ci dwaj chłopcy również.

- Tchórz. Uważa się za oświeconego Amerykanina. Był miły. Serdeczny. Powiedział „cześć”, jakby podziwiał swoją młodszą siostrę i jej przyjaciółkę. Ależ ja byłam głupia! Myślałam nawet, że skoro on ma takie liberalne poglądy, to jest dumny z mojego małego buntu. Zapłacił za nasze cappucino, przywitał się z moimi przyjaciółmi. Po jego odejściu płakałam ze szczęścia i powiedziałam Dżihan, że bezgranicznie uwielbiam swojego brata. Taki brat to był jedyny element w moim życiu, który w jakikolwiek sposób przypominał życie Dżihan. - Dżihan

121

była mamy przyjaciółką z dzieciństwa, chrześcijanką z Palestyny. Rodzice traktowali ją tak samo jak jej braci. - To się nazywa brutalne przebudzenie. Kiedy wróciłam do domu, całe światło w moim życiu zgasło. Wysoka Rada już zakończyła posiedzenie. O tak, jeśli chodzi o niewieścią cnotę, jesteśmy zawzięci. Zawzięci i nieubłagani. A jeśli chodzi o cnotę córki, jesteśmy zawzięci, nieubłagani i sprawni. W takich kwestiach nasza sprawność może konkurować z efektywnością niemieckich fabryk. - Przez jej twarz przemknął uśmiech i zniknął. -

Twoja babcia chwyciła mnie za włosy i wepchnęła do mojego pokoju. „Okryłaś mnie hańbą, ty mała dziwko! Teraz twój ojciec uzna, że niewłaściwie cię wychowałam”. Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. To było jak jakiś koszmar, sensu nie było w nim za grosz. Ale wkrótce się dowiedziałam, że ten księżę poezji prosto z kawiarni pobiegł do domu i wygadał wszystko ojcu. „Twoja córka ma dopiero czternaście lat, a już spędza całe dnie w kawiarniach z obcymi mężczyznami. Drzę na myśl, co będzie dalej. Wydadz ją za męża albo okryje hańbą nas wszystkich”. „Obcy mężczyźni”? To byli chłopcy, chłopcy! „Drzę na myśl”? Tylko poeta może być tak okrutny, żeby się w ten sposób wyrazić.

Kiedy utożsamiała mnie z nimi, mówiąc „Wszyscy jesteście tacy sami” - i odwracając przy tym ode mnie wzrok, jakby w tamtym momencie odpychał ją już sam mój widok - nie broniłem wujka Chaleda ani tych pozostałych mężczyzn, ale czułem, jak gorący gniew pali mnie w trzewiach. A nocą, jak już przestała mówić i krzyczeć, i palić, i zasypiała gdzieś na podłodze albo na krześle, z którego nie mogłem jej podnieść, nie mogłem jej zanieść, ponieważ miałem dopiero dziewięć lat, więc tylko sam szedłem do łóżka, nie dbając o to, czy wyszorowałem zęby ani czy umyłem buzię, leżałem tak w ubraniu i w butach, jak podróżujący kowboj, wyobrażając sobie, jak mógłbym ją uratować wtedy, kiedy miała czternaście lat, zanim się stało to, co się stało, zasypiałem, walcząc i krzycząc, i uciekając gdzieś w jakieś piękne, zielone i zimne miejsce, takie jak Szkocja, gdzie nikt by nas nie znalazł, otoczonych milczącymi krowami o wielkich, pięknych, szklanych oczach.

W takich chwilach nienawidziłem naszego domu.

A w niektóre noce wyobrażałem sobie coś, co nie było dobre.

Fantazjowałem o zemście, odgrywałem ją raz za razem, aż z czarnego nieba rodziło się szare od brzasku. Wtedy ogarniał mnie pośpiech. Nie mogłem się doczekać, aż zostanę mężczyzną. I nie po to, żeby robić

122

te wszystkie rzeczy normalnie związane z męstwem i jego wolnością, ale żeby zmienić przeszłość, żeby ocalić tamtą dziewczynę przed jej czarnym dniem.

Słońce zachodziło, ciepłym już tylko światłem rozgrzewając biały mur w ogrodzie. Nieskalane, bezchmurne niebo wydawało się wieczne. Leżąc na boku, zakryłem oczy, kładąc rękę na czole, drugą między kolanami. Tak śpią Beduini. Tata pochodził z rodziny Beduinów. On też tak sypiał: z jedną ręką na oczach, drugą pomiędzy kolanami. Musiał się tak przyzwyczaić w czasach, zanim poszedł na uniwersytet, zanim opuścił ojczyznę wielkich przestrzeni i skąpego cienia, zanim stał się efendim w garniturze. A ja, zastanowiłem się, z jakiego powodu ja tak śpię? Ile z niego jest we mnie? Czy można stać się mężczyzną, nie stając się własnym ojcem?

Następnego ranka przyszedł Bu Naser, przycisnął guzik dzwonka i nie puszczał. Otworzyłem drzwi, a on wszedł.

- Zabrali mojego chłopaka. Gdzie twoja matka? - Kiedy zobaczył mamę, rzekł: - Nastąpiła katastrofa. Dzwoniłem wczoraj do pani, żeby pani do niej nie dopuściła. A teraz już za późno. - Mówił jak niektóre kobiety, gdy przyjeżdżają na pogrzeb, kołysał się z boku na bok.

- Proszę się uspokoić i powiedzieć, co się stało - poprosiła mama.

- Szukałem wszędzie, Naser zniknął.

Bu Naser był o wiele starszy, niż sądziłem, może stary jak mój dziadek. Mama nie rozsunęła zasłon w salonie i nie wpuściła gorąca, włączyła natomiast światło.

- Sulejmanie, przynieść wujkowi szklanek wody - poleciała.

Czekałem, aż zrobi to, co robią wszyscy goście, kiedy im się coś proponuje, czyli odmówi, ale staruszek się nie odezwał, musiał być bardzo spragniony. Stałem przed wejściem i słuchałem.

- Był ze mną, kiedy dzwoniłem. Zdenerwował się, że tak do pani mówiłem. Zawsze się denerwuje tym, co mówię, powtórzyłem dokładnie, co pani mi powiedziała, że jest wystarczająco dorosły, żeby samodzielnie podejmować decyzje. Ale... - dodał szeptem - Umm Sulejman, to niebezpieczna droga. Ci ludzie nie znają litości. - Westchnął. - Bóg mi dał tylko dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Nasera urodziła mi moja Ukochana, świeć Panie nad jej duszą, ta dziewczynka jest z drugiego małżeństwa, ma dopiero dziewięć lat, mogłaby być córką Nasera. On jest naszą jedyną opoką na tym świecie.

Przez cały czas mama przerywała mu błogosławieństwami:

- Niech Bóg was nagrodzi. Niech obdarzy was błogosławieństwem.

124

Nagle do naszego domu nieśmiało weszła dziewczynka. Po wejściu starca drzwi musiały zostać otwarte na oścież. Miała długie kasztanowe włosy, skórę cynamonową od słońca, a usta lekko rozchylone i purpuroworóżowe. Musiała być siostrą Nasera, tą dziewięcioletnią, do-

kładnie w moim wieku, a zatem za starą na moją żonę. Dopuszczalna różnica wieku to co najmniej trzy lata. Kiedy mama się urodziła, baba miała tyle lat, co ja teraz, był na tyle duży, żeby wejść do jej domu rodzinnego z kwiatami na nowy początek. Miał dwadzieścia trzy lata w chwili ślubu, ona zaś czternaście. Przy takiej różnicy wieku nikt nie mógł zaprotestować ani powiedzieć, że ona zrobi się nieplodna i stara, zanim on się taki stanie. Bo trzeba myśleć przyszłościowo. Kobieta musi być młoda i silna na tyle, by nosić dzieci i służyć mężowi dobrze, kiedy on już będzie stary, tak aby jej pukle pozostały czarne jak węgiel, gdy jego głowa będzie już łysa jak księżyc. Spojrzała na mnie i od razu się zorientowała, co robię. Zamknęła za sobą drzwi głośniejsze niż trzeba.

- Kto tam? - spytała mama.

- Chodź. Tu jesteśmy - przywołał ją staruszek. I ciszej, już do mamy, dodał: - To pewnie Siham, moja córka.

Siham weszła do salonu.

- Chyba kazałem ci czekać w samochodzie? - spytał ją starzec.

- Ale dlaczego? - spytała mama, dając znać, że dziewczynka jest mile widziana. - Czemu ma siedzieć na słońcu, skoro może być tutaj, z nami. Chodź, usiądź koło mnie. Ma sza Allah, ma sza Allah. Jesteś taka ładna. Do której szkoły...

Pobiegłem do kuchni. Z jakiegoś powodu zachichotałem.

- Sluma - zawołała mama.

Biegiem ruszyłem z powrotem tam, ale tuż przed salonem zatrzymałem się i do środka wszedłem powoli.

- Słucham? - spytałem spokojnie, słysząc, że serce wali mi jak

oszałała.

- Chodź się przywitać z Siham. To siostra Nasera. Sluma bardzo lubi Nasera. Prawda, kochanie? - Czułem, jak policzki mi się rumienia, że ona w ich obecności mówi do mnie „Sluma” i „kochanie”, przed nią, przed Siham, tą z kasztanowymi włosami.

- Czego by się napiła nasza młoda panna? - spytała mama. Siham milczała. Nie wydawała się zakłopotana, raczej zamknięta w sobie. -
A może coca-coli?

125

- Odezwił się - skarcił ją zirytowany ojciec.

- Tak, poproszę - powiedziała Siham. Od brzmienia jej głosu czułem fizyczną przyjemność, jak od słońca ogrzewającego skórę po kąpieli w zimnym i spokojnym porannym morzu.

Wszedłem po jej coca-cole - całkiem zapomniałem o szklance wody dla staruszka - ale nagle ojciec Siham kazał jej pójść ze mną. Szedłem więc ramię w ramię z Siham przez nasz korytarz, czując, jak pierś mi pęcznieje od tej samej ekscytacji, która kilka chwil temu kazała mi skakać po kuchni. Przytrzymałem jej skrzydło drzwi wahadłowych i wszedłem za nią.

- Podśluchiwałeś. - To były pierwsze słowa, jakie Siham do mnie powiedziała. Zająłem się coca-colą. Ale wtedy mnie wybawiła: - Ja też lubię podśluchiwać.

- Chciałabyś zobaczyć mój warsztat?

Wzruszyła ramionami.

- A to daleko? - Leciutko podniosła brwi.

- Nie - odparłem. - Na dachu. I ma cień. - Podałem jej szklanę coli wypełnioną po brzegi.

Przysunęła do niej usta i siorbnęła.

- Nie należesz babie drugiej?

Przypomniałem sobie, że starzec chciał szklanę wody, ale byłem zbyt zakłopotany, żeby się przyznać przed nią, że zapomniałem, więc nalałem mu coca-coli i poszedłem szybko do salonu.

Często o tym śniłem, ale aż do tej chwili dziewczyna z moich marzeń była tylko dziewczynką, jaką kiedyś była mama, zanim stało się to, co się stało, zanim ją zmuszono, by poślubiła mężczyznę, który miał zostać moim ojcem. To było nieskończone pragnienie, okropne i niechciane, niedostępne rozumowi i niespełnialne, chory pies ogryzający własne członki. Ale było słodkie.

Podałem starcowi szklanę. Po drodze wylałem trochę, przez co palce przylepiły mi się do szkła.

- Postaw ją tam - mama wskazała stolik do kawy. - Linia była na podsłuchu, więc nie odebrałam, jak dzwonił. Myślałam, że tak będzie lepiej. Dla niego lepiej, oczywiście - dodała.

- Wyszedł pospiesznie, zdenerwowany na mnie, nawet się nie pożegnał. Na pewno poszedł do tego przeklętego mieszkania na placu Męczenników.

126

Te słowa doleciały do moich uszu. Zatrzymałem się za progiem.

- Poszedłem go tam szukać. Serce mi zadrżało, jak ludzie mi powiedzieli, że widzieli młodego mężczyznę, który uciekał z maszyną

do pisania pod pachą. Ścigali go ludzie z Komitetu Rewolucyjnego. Poczułem, jak kręci mi się w głowie, jak robi mi się niedobrze. Kiedyś uciekłem z lekcji z takim jednym chłopakiem. Nie pamiętam nawet jego imienia, nie byliśmy przyjaciółmi, połączyło nas tylko wspólne pragnienie wagarów. Mnie złapano i smagano bambusowym kijem po obu stronach dłoni, i wtedy skłamałem, że to był jego pomysł. Wtedy nie czułem się z tym źle, ale kiedy go wreszcie przyprowadzono i zobaczył mnie, poczułem się strasznie. Zdradziłem go. Teraz czułem się tak samo. Jak miałbym ją teraz poślubić, skoro zdradziłem jej brata, człowieka, który miałby być wujkiem moich dzieci?

Poszedłem z powrotem do kuchni, powłócząc nogami. Nie było jej tam. Jej szklanka stała pusta na stole. Drzwi do ogrodu były otwarte. Wyszedłem na dwór i tam ją znalazłem. Wyglądała na zagniewaną.

- Gdzie byłeś? - spytała.

- Tędy - poprowadziłem ją schodami na dach, z opuszczoną głową. Wcześniej inaczej to sobie wyobrażałem. - To mój warsztat.

Dach był rozpalony porannym słońcem, narzędzia leżały rozrzucone przy zbiorniku na wodę, bo przecież moje wiadro zostało zniszczone.

- Baba mówi, że twój tata sprowadził nieszczęście na głowę mojego brata. Twój ojciec chyba nie jest miłą osobą.

- Naser jest dla mnie jak starszy brat - skłamałem. Na dachu wciąż mrużyła oczy. - Ja też kocham twojego brata. - Powietrze stało nieruchomo. Objąłem ją za ramiona i poczułem zapach pomarańczy. Odwróciła się i zbiegła na dół.

Kiedy dotarłem do salonu, ona stała między kolanami swego ojca.

- Co się dzieje, kochanie? - spytała ją mama. - Kto cię tak zdenerwował?

Stałem w wejściu do pokoju, zamarły, skóra mnie swędziała od wstydu.

- Sluma, co zrobiłeś Siham? Zdenerwowałeś ją?

- Wiem, kto to jest - powiedziała Siham, wskazując wielki portret Pułkownika. Piers jego munduru mieniła się od odznaczeń. Za nim rozciągało się bezchmurne niebo, błękitnie rozświetlone i słodkie jak cukierek.

127

Mama nagle przeprosiła gości. Nie chciałem zostać z nimi sam.

Kiedy Bu Naser nie patrzył na mnie, ja patrzyłem na niego i jego córeczkę wpatrujących się w fotografię. Był za stary. Pewnie nigdy nie zobaczy jej jako mężatki, jej dzieci pewnie nigdy nie zobaczą swojego dziadka. Pobiegnę za mamą.

Kłęczała przed sejfem, wykręcając kod, mrużąc słowa, które powiedział do niej Bu Naser:

- „Nastąpiła katastrofa. Dzwoniłem do pani wczoraj, żeby jej pani zapobiegła". No to dlaczego przyszli? Czego ode mnie oczekują? Sejf się nie otworzył. Za szybko wybrała kod. Nie było miejsca na pomyłkę: najmniejsza zmiana tajnego szyfru i sejf się nie otworzy. Spróbowała raz jeszcze, powtarzając to, co już powiedziała przy mnie i przy Musie: „Dzieci bawią się ogniem". Ciężkie stalowe drzwi otworzyły się, obojętne, potężne. Wyjęła stosik dziesięciodinarowych banknotów i zwinęła je ciasno w garści.

Wciąż wpatrywali się w fotografię Pułkownika, ale kiedy weszliśmy, starzec wstał i powiedział:

- Musimy już iść.

- Zostańcie na lunch - powiedziała mama tak nieszczerze, że mężczyzna nawet nie musiał odpowiadać. - Naprawdę - dodała. - Zostańcie.

Ale starzec, trzymając Siham za rękę, już szedł ku drzwiom.

- Naprawdę - powtórzyła mama, podążając za nimi.

Starzec pokręcił głową i poklepał się po piersi. Siham zrobiła to samo. Kiedy zobaczyłem, jak naśladuje gest kogoś tak starego, zrobiło mi się smutno. Wtedy mama szybko sięgnęła do kieszeni na piersi starca. Z nieprawdopodobną prędkością starzec zacisnął dłoń na jej nadgarstku. Jego refleks był zdumiewający, jakby przez całe życie nastawiał się na ten atak. Potem nastąpił zwyczajowy spór.

- Naprawdę pan musi.

-Nie.

- Ale to ze względu na mnie.

- Nie ma potrzeby.

- Dobrze więc, to nie dla mnie, dla Siham.

Siham podniosła wzrok na dwoje dorosłych, zamknęła jedno oko, oślepią słońcem, i znowu poklepała się po klatce piersiowej. Tym razem zupełnie nie na miejscu.

128

Mężczyzna się zawahał. Mama dostrzegła sposobność i wetknęła mu pieniądze do kieszeni.

- Przysięgam na wszystko, co dla pana najdroższe...

Starzec zamarł na chwilę, potem, jak człowiek pokonany, pokręcił głową z przygnębieniem.

- Nie macie pojęcia, jak drodzy jesteście Bu Sulejmanowi - zapewniła go mama.

Przeszedł obok córki do ich starego czarnego samochodu. Kiedy odjechali, odsłonili człowieka z Komitetu Rewolucyjnego, Szarifa, jak siedział w swoim białym samochodzie, nie zważając na upał, wierny swojej sprawie, z pistoletem pewnie wciąż zajmującym miejsce tuż obok. Jego pewność siebie i młodość jaskrawo kontrastowały z postacią smutnego starca. Wydawało się, że Szarifa nie dotyczy ani kwestia wieku, ani potrzeb, rzucał światu wyzwanie, by ten dotrzymał mu kroku.

Mama wciągnęła mnie do domu. Za każdym razem kiedy się odwracałem, mówiła „Idziemy, idziemy”. Zanim zamknęła drzwi, zobaczyłem, że Szarif mi macha. Mama dwukrotnie przekreśliła rygiel.

Następnego dnia mama obudziła się nie tyle szczęśliwa, ile raczej pewna. Zaczęła piec ciasto. Cały czas milczała, poruszała się szybko i precyzyjnie. Pomyślałem, że przynajmniej pogodzi się z ciocią Salmą. Kiedy jednak udekorowała ciasto truskawkami, zaniósła je na drugą stronę ulicy, do domu ustaza Dżafara i Umm Masud.

Patrzyłem na nią od progu. Szarif też się jej przyglądał ze swojego samochodu. Był już stałym elementem otoczenia, już mnie nie zaskakiwało, że go tam widzę. Przycisnęła dzwonek, szybko spojrzała na Szarifa i wyprostowanymi palcami napiętej dłoni potarła o sukienkę. Jakby nie wiedziała, co robić, machnęła na mnie, żebym przyszedł.

Już miałem ją wziąć za zimną i wilgotną rękę, kiedy Umm Masud otworzyła drzwi.

- Witam - powiedziała mama lekko drżącym głosem. - Ustaz Dżafar w domu? Muszę z nim porozmawiać. Proszę. O bardzo ważnej sprawie. - I podając Umm Masud ciasto, dodała: - Zrobiłam je dla państwa. Tamta wizyta pozostała we mnie na zawsze. Kiedy tylko stoję przed kimś, kto trzyma sznurki mego losu - przed oficerem imigracyjnym, profesorem - czuję dalekie echa tamtego dnia, swojej inicjacji w ciemną sztukę posłuszeństwa. Może właśnie dlatego często znajduję wstydliwą przyjemność w uległości wobec władzy. Nawet w modlitwie - pochylam się, czoło przyciśnięte do ziemi, plecy ugięte pod własnym ciężarem, pierś zapadnięta pomiędzy ramionami, dłonie ułożone płasko, palce mocno przyciśnięte do siebie, słyszę swoje szeptane modlitwy - często opanowuje mnie żal i - tak! - wstyd, że się tym napawam, raduję się własną deprecjacją. I dlatego też, kiedy wreszcie zdobędę przyjemność władzy, poczucie odrazy do samego siebie rośnie tak, aż

130

zaciska mi szpony na szyi. Zawsze umiałem sobie wyobrazić, jak to jest być niesłusznie znienawidzonym.

Ustaz Dżafar, jak większość urzędników państwowych, kazał nam czekać. Siedzieliśmy w salonie, gdzie twarz Wodza patrzyła na nas z fotografii o wiele mniejszej niż ta, którą Musa powiesił w naszym domu. Pomieszczenie urządzone w kolorach rewolucji: ściany bladozielone, meble obite tkaniną w odcieniu ciemniejszej zieleni, jeszcze zakryte plastikiem, tak że kiedy się na nich wierciło, rozlegał

się dźwięk podobny do pierdnięcia i trzeba było się zawiercić jeszcze raz, żeby dowieść, że się nie pierdnęło. Mały stolik do kawy stał pośrodku i nie dało się do niego swobodnie sięgnąć. Na nim znajdowała się pusta popielniczka i pudełko chusteczek higienicznych, z którego wystawała różowa chusteczka, a tuż za nią wyłaniała się żółta. Zasłony - również zielone - były zaciągnięte, a z małego żyrandola nad stolikiem kawowym płynęło słabe światło. W rogu stał wielki telewizor, chyba równie wielki jak moje pianino. Mama siedziała wyprostowana, ze złączonymi kolanami, z mocującymi się ze sobą dłońmi: za każdym razem kiedy do którejś z nich wracała krew, ona ją tak rozcierała, żeby krew znowu uciekła. Umm Masud weszła i siadła obok niej.

- Już idzie - powiedziała.

Mama spojrzała na nią i kiwnęła głową.

- Niepotrzebnie się pani kłopotala z tym ciastem.

- To nic wielkiego.

- Jesteśmy sąsiadkami... - zaczęła Umm Masud, ale nagle ku mojemu zdumieniu mama zaczęła płakać. Umm Masud nie wydawała się zaskoczona, musiała być do tego przyzwyczajona. - Tak nawet myślałam - ciągnęła - mówiłam do Dżafara: „Dlaczego ona nie przyjdzie, skoro wie, że możemy pomóc?”. Wiem, że nie zawsze dzieliłyśmy poglądy, ale... - pochyliła się nad stolikiem i wyciągnęła różową chusteczkę.

- Chciałam - chlipnęła mama, biorąc chusteczkę z nabrzmiąłych palców Umm Masud.

- Nie powinna się pani wahać, jesteśmy siostrami.
- Przysięgam na Boga - powiedziała mama - zawsze panią lubiłam
- Oczy miała szeroko otwarte, tak bardzo chciała ją przekonać.

131

- Niech się pani nie martwi - mówiła leniwie Umm Masud. Jej pewność siebie była odrażająca. - Tacy są mężczyźni. Oni lubią przygody. Wódz o tym wie i jest bardzo wielkoduszny.

- Naprawdę?

- Tak - zapewniła ją Umm Masud, po czym zniżając głos do szeptu, dodała: - Coś pani powiem. Kiedyś jeden człowiek uparł się go zabić.

- Naprawdę? - spytała mama z rzekomym niedowierzaniem.

- Tak. No co tu dużo gadać - szaleniec! Dobry Bóg odebrał mu rozum. Kiedy go złapano, Wódz siadł z nim i spytał: „Dlaczego chciałeś mnie zabić, synu?”. Podobno ten człowiek stopniał jak lód w ogniu, płakał o wybaczenie i Wódz mu z miejsca przebaczył. - Mama wyglądała na zaskoczoną, pełną nadziei, śmiesznie naiwną. Umm Masud wyciągnęła żółtą chusteczkę i podała ją mamie: - Nie chcę się przechwalać, ale Dżafar zajmuje wyjątkowe miejsce w sercu Wodza. I Dżafar, oczywiście, sercem i duszą jest mu oddany. Tak, tak. Czyż bowiem tego całego szczęścia, które nas otacza - otworzyła ręce w stronę sufitu - nie zawdzięczamy jego szczodrości? Nie należy gryźć ręki, która cię karmi.

- Oczywiście - odparła mama, dodając tak, jak ludzie na ślubach:

- Niech Bóg wam zapewni życliwość, a uchroni was od zazdrości.

- Oby Bóg cię wysłuchał - powiedziała Umm Masud.

Ustaz Dżafar rzadko ucinął sobie pogawędki z którymkolwiek z sąsiadów. Nie był nieprzyjazny, ale sprowadzał rozmowę do minimum i zawsze sprawiał wrażenie osoby tego rodzaju, który później nauczyłem się rozpoznawać, osoby, która chce, aby wszyscy zdawali sobie sprawę z ciężaru jej monumentalnych obowiązków, skoro to właśnie ją łaskawa ręka losu pchnęła w wir wydarzeń. Witał się z ludźmi ze swoistą odwróconą skromnością, dzięki której mieli poczuć pokorę. Zawsze był ubrany w garnitur i krawat, włosy miał ułożone, przedziałek zrobiony starannie, żeby zakryć linię łysienia. Nosił ciemne okulary w złotych oprawkach i rzadko je zdejmował, kiedy ścisnął inną rękę. Nie musiał sprawiać wrażenia gorliwego, nie musiał dowodzić swojej lojalności. Był wyższym rangą funkcjonariuszem Muchtabaratu, szkolonym przez KGB, skupionym na szerszym kontekście, na mechanizmach bezpieczeństwa. Kalkulował, kto pozostanie lojalny, a kto przejdzie na ciemną stronę. Większość nas, dzieci,

132

nakłaniano, żeby się go bać. Większość nas w duchu podziwiała jego siłę w porównaniu z siłą naszych rodziców. Żadne z nas nie chciało być na jego miejscu.

Wszedł do swojego salonu, gdzie siedzieliśmy z mamą jak pacjenci w poczekalni u lekarza. Mama wstała, ja nie. Podszedł prosto do mnie, zmierzwił mi włosy i powiedział po prostu:

- Sulejman.

Wstałem, patrząc na mamę, w nadziei, że przekieruję jego wzrok.

- Jak się masz?

- Odpowiedz wujkowi - poleciała mama.

- Bardzo dobrze, ustazie Dżafarze - wymamrotałem, patrząc w podłogę.

Klasnął w dłonie i się roześmiał. W końcu zwrócił się do mamy.

Uściskał jej dłoń, nie patrząc jej w twarz i powtarzając:

- Siadajcie, siadajcie.

- Nadżwa przyszła specjalnie, żeby z tobą porozmawiać, Dżafar - powiedziała Umm Masud zbyt głośno, z uśmiechem tłącym się na twarzy. - To nasza kochana sąsiadka. Prorok każe nam miłować sąsiadów.

- Oczywiście, oczywiście - rzekł ustaz Dżafar dobrotliwie.

- Dziękuję. - Mama zaczęła powtarzać swoje oświadczenie: -

Przysięgam, że zawsze państwa lubiłam. Masud i Ali są dla mnie jak rodzone dzieci. Przysięgam, nie ma dla mnie żadnej różnicy pomiędzy nimi a Sulejmanem. -I ku mojemu przerażeniu zaczęła znowu płakać.

Umm Masud spojrzała na męża i złożyła usta w ciup. Wydawała się szczerze współczuć mamie.

- Idź zrób nam herbaty - polecił cicho, a Umm Masud opuściła salon.

Jego głos się zmienił, kiedy mówił do żony, był szorstki i gwałtowny.

- Daję słowo, Bu Masud - powiedziała mama - ostatnie dni to istne piekło.

Nie spytał, co dokładnie ma na myśli, jakby wiedział, jakby w ogóle wiedział wszystko.

- On jest niewinny. Jeśli coś zrobił, to dlatego, że inni go nakłaniali.

Bu Sulejman zawsze był oddany, on nie jest taki. To tylko ci inni ludzie, niech Bóg im przebaczy, mu podszeptowali.

- Nie powinien był słuchać.

- Wiem, wiem. Ale co można powiedzieć, diabeł jest podstępny.

- Nagle z nową nadzieją mama dodała: - Przysięgam, że odkąd się

133

dowiedzieliśmy o Raszidzie, nie mamy nic wspólnego z nim ani

z jego rodziną. - Znowu zaczęła płakać. - Błagam, ustazie, musi mi

pan uwierzyć.

- No już dobrze - rzekł tak łagodnie, że poczułem dziwną chęć, by

go uściskać. - Bóg jest wielki. Zdolny do wszystkiego.

Przyszła herbata, podana z ciastem upieczonym przez mamę. Ja

odmówiłem i jednego, i drugiego, ale Umm Masud nalegała. Trzymając

już talerzyk w ręku, spojrzałem na ciasto. Wyjąłem truskawkę z polewy

i wsadziłem całą do buzi.

- Słodki chłopczyk - powiedziała Umm Masud.

Ustaz Dżafar spojrzał na mnie.

- Masud, Ali! - krzyknął i spytał żonę: - Gdzie oni są?

W domu Usamy, powiedziała mu, oglądają telewizję. Wyobraziłem

sobie wszystkich chłopców zebranych razem, jak oglądają najnowszy

film kowbojski, bo Usama zawsze umiał taki wynaleźć. Miał szósty

zmysł do wynajdywania najnowszych filmów wideo. Moje serce ści-

snęło się z tęsknoty.

Umm Masud odprowadziła nas do drzwi. Już na progu szepnęła:

- Chwileczkę.

Wróciła z kawałkiem ciasta, który mi wcześniej podała, tym bez

truskawki.

- Sulejman, bądź tak miły i podaj to, proszę, temu dżentelmenowi w samochodzie. - Do mamy zaś powiedziała jeszcze: - Tak ciężko pracują, cały dzień siedzą na słońcu. - Mama wpatrywała się w nią tępo. Szczęśliwy, że nie muszę jeść ciasta, zaniósłem je Szarifowi, który ponad moją głowę uśmiechnął się do Umm Masud i wziął talerzyk. Chłopcy właśnie wychodzili z domu Usamy, mieli senne oczy. Musieli oglądać film w zaciemnionym salonie, każdy wyciągnięty na grubym dywanie, z poduszką zwiniętą pod głowę, z odbiornikiem nastawionym na cały regulator. Kiedy bohater całował bohaterkę, na pewno chichotali i rzucali w siebie poduszkami.

Poszedłem z mamą do naszego domu, ale nagle na widok ciemnego cienia korytarza, postanowiłem zostać na zewnątrz. Obszedłem dom, potrząsnąłem gałęzią drzewa pomarańczowego, ale nie spadł żaden owoc. Wyszedłem na ulicę i kopałem kamyk w nadziei, że któryś z chłopców coś powie, włączy mnie do jakiejś gry albo rozmowy.

134

Adnan zaczął układać kamienie jeden na drugim. Mieli zagrać w sześć kamieni. Siadłem na ulicy. Szarif delektował się ciastem. Już mieli rozpocząć grę, gdy chwyciłem kamyk i rzuciłem nim z dużej odległości, żeby rozbić stosik. Chciałem zrobić na nich wrażenie celnością rzutu. Ale kamyk uderzył Adnana. Wszyscy odwrócili się do mnie.

Usama, potężny Usama, rzucił się w moim kierunku.

- Oszalałeś?! - wrzasnął. Przypomniałem sobie, że jeśli Adnan się skaleczy, może się wykrwawić na śmierć. Usama był już tuż przed moją twarzą. - Rozum straciłeś? - Pchnął mnie nadgarstkami w pierś,

aż upadłem. Usłyszałem, jak Szarif wysiada z auta. - Chcesz go zabić?

- wrzasnął Usama, kopiąc mnie leżącego na ziemi.

- Dość! - usłyszałem Szarifa i dostałem następnego kopniaka. Gdzie był Karim? - Powiedziałem „dość”! - powtórzył Szarif i chwycił Usamę za kark. - Dość to dość. - Usama odchylił głowę, żeby uwolnić się od bólu. Szarif pchnął go w stronę chłopaków. Usama stracił równowagę i upadł. Obejrzał się na mnie z nienawiścią w oczach. Kiedy dotarł do Adnana, położył mu rękę na ramieniu, potem ukląkł, by przyjrzeć się jego kostce w miejscu, w które uderzył kamyk.

- Nie możecie się tak bić bez powodu - powiedział Szarif i wrócił do swojego samochodu. W kąciu ust została mu kropla śmietany. Pobiegnęłam w cień naszego domu. Mama była w sypialni, za zamkniętymi drzwiami. Musiała spać albo chorować. Kilka minut później usłyszałem, jak na naszą ulicę wjeżdża karetka na sygnale. Wyrzależem przez okno salonu. Adnan opierał się jednym ramieniem o Usamę, reszta chłopaków tłoczyła się wokół niego. Utykając, dotarł w białe ramiona lekarza, z kostką opatuloną bandażami. Szarif trzymał drzwi karetki, a potem zamknął je bardzo ostrożnie.

Wciąż czułem na klatce piersiowej nadgarstki Usamy. Wiedziałem, że będę miał siniaki, dwa niebieskie cienie pod brodawkami sutkowymi. Podrapałem też sobie łokcie o twarde chodnik. Leżałem na łóżku, a strach, ale bardziej rozczulanie się nad sobą, przeszywały mnie jak prąd elektryczny. Zwinąłem się w kłębek na boku i przypomiąłem sobie, jak reszta chłopców, stłoczonych z troską wokół Adnana, patrzy na mnie gniewnie. Jeden Karim nie był zasko-

czony; on już osądził, jaki jestem, a w każdym razie takie sprawiał wrażenie. Masud wydawał się wstrząśnięty, ale też delectował się podnieceniem, kiedy robił aferę ze zranionej kostki Adnana. Jego młodszy brat Ali zrobił to, co zawsze, kiedy sytuacja go przerastała, czyli się rozplakał, wciąż zerkając na starszego brata w nadziei na pomoc. Adnan z powagą zajmował się swoją raną jak złą wiadomością, której się spodziewał i która w końcu nadeszła, ani nie zachęcając Usamy do ataku na mnie, ani go przed tym nie powstrzymując. Może go nawet nie zauważył. Ale Karim, jeśli w ogóle coś poczuł, to chyba ulgę, jakby rozwiały się resztki jego wątpliwości. Może wątpliwość jest gorsza niż ból, pewność cenniejsza od miłości.

Spiesząc mi na ratunek, Szarif rozdzielił morze, stworzył prąd powrotny, który jeszcze dalej odsunął mnie od Karima. Płyniemy przez kolejne powinności, te, w których się urodziliśmy, i te, których się od nas wymaga, i niezmiennie oddalamy się od siebie samych. Przypomniałem sobie, jak ściągając mnie za rękę z chodnika, Szarif westchnął: „Sluma” - przesłodzoną wersję mojego imienia, której używała tylko moja rodzina i którą teraz rzadko słyszę - szepcząc je niemal, domagając się mnie. I przypomniałem sobie też, jak po kilku minutach zamknął drzwi karetki za poziomą postacią Adnana, z pistoletem widocznym w rozcięciu marynarki, uznając gniew Usamy, zgadzając się, że nie jestem bez winy, że to Adnan ostatecznie stał się ofiarą, ja zaś bezwzględny, a w najlepszym wypadku nieostrożnym dzieckiem, rozdzierającym skórę, która nie może się zrosnąć.

Miejsce na moim łokciu, które dzisiaj jest twarde i zwinięte jak skóra

wokół słoniowego oka, miało kolor buraka ćwikłowego, piekło, ale już się zasklepiło.

Leżąc na łóżku, próbowałem sobie przypomnieć nazwiska. Przychodzili mi do głowy tylko ustaz Raszid, Naser i Musa. Byłem pewien, że to za mało. Ale i tak nadzieja tliła się w moim sercu. Nie mogłem się doczekać, żeby pognać do Szarifa. Podniosłem materac, wziąłem książkę i wybiegłem, bezgłośnie mówiąc: Raszid, Naser, Musa, ręce zaciskając mocno na książce, dusząc ją, jakby była wrywającą się rybą. Ale Szarifa nie było. Chłopców też nie było. Na ziemi widniały ślady opon. Martwiąc się o Adnana, musiał pojechać za karetką, może nawet dał jej eskortę, pomyślałem. Stałem tam i czułem się pusty. Raszid Naser Musa. Nazwiska wciąż tkwiły w mojej głowie, kipiały mi na języku, dziwnie nieznajome, jakbym je słyszał po raz pierwszy.

Zainteresowanie. Tego chyba pragnąłem. Ciepłej, stałej, niezmiennej troski i zainteresowania. W okresie krwi i łez, w Libii pełnej posiniaczonych i obsikanych mężczyzn, rozpalonych pragnieniem i złąknionych wytchnienia, ja, śmieszne dziecko, pragnąłem czyjejś uwagi, zainteresowania. I chociaż wtedy nie myślałem o tym w ten sposób, moje rozczulanie się nad sobą zepsuło się, skwaśniało w nienawiść do siebie.

Odłożyłem książkę pod materac i znowu zwinąłem się na boku.

Słuchałem świerszczy, które rozcinały właśnie powietrze za oknem.

Głęboki lazur nieba bladł, wsączała się w nie szarość. Usłyszałem, jak mama wchodzi do pokoju, ale udawałem, że śpię. Moje łóżko było wąskie, jednoosobowe, ale znalazła miejsce obok mnie i schowała twarz w moim karku. Zawsze wydawała się niewolnikiem, niewolnikiem

we własnym domu, ciągle nie umiała się przygotować na nic innego. Oddychała niespokojnie. Czułem jej łyzy na mojej skórze, jej oddech pachniał ciepło i słono, ostro od lekarstwa.

- Co ja mam zrobić? - mówiła. - Co mam zrobić, co mam zrobić, co mam zrobić, co mam zrobić...

- Mamo - przerwałem. Jej głos był jak przyływ piasku, przerażał mnie.

137

- A jeśli oni nie mogą nam pomóc albo nie chcą? - spytała nagle.

-Kto?

- Ten Dżafar i Umm Masud - warknęła wściekła. Poczulem się winien. - Nie chcę żyć, jeśli mam tak żyć.

- Jak będę duży, zabiorę cię do Szkocji. Przysięgam na swoje życie. Nagle mój umysł cofnął się do czasu, kiedy została uwięziona; każda fantazja o przyszłości ożywiała to pierwotne marzenie: ratowanie dziewczynki, którą ona kiedyś była.

- Mamo, powiedz mi, co się stało po tym, jak wujek Chaled zobaczył cię w kawiarni. - Wtedy po raz pierwszy poprosiłem mamę, żeby mówiła o przeszłości. Normalnie kiedy była chora, milczałem jak głaz, zahipnotyzowany i przerażony.

Milczała.

Zastanawiałem się, czy myśli, jak zacząć, czy też udaje, że nie wie, o czym mówię.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła szeptać do mojego karku. Poczulem, jak ogarnia mnie wielka ulga. Mógłbym jej słuchać bez końca. Chciałem

się odwrócić i ją objąć, ale bałem się, że jeśli się ruszę, wszystko się zmieni.

- To twoja ciocia Nura mi powiedziała - zaczęła. - Podsluchiła pierwszą rozprawę Wysokiej Rady. - Zachichotała tym dziwnym chichotem, czymś pośrednim między śmiechem a płaczem. Uśmiechnąłem się zadowolony, że wróciła na znajomy grunt.

- To było nasze przekleństwo: mieć siedmiu braci. Wszyscy się zebrali z twoim dziadkiem. Chaled w samym centrum, oczywiście. Poeta doczekał się wysłuchania, wreszcie skupił na sobie całą uwagę „hipokrytów”. Tak właśnie ich nazywał, bo oni z niego drwili, nie umieli zrozumieć jego wrażliwości, skomplikowanych pomysłów utalentowanego poety. - Zdecydowanie była chora. Ale to, o dziwo, nie miało znaczenia. Dobrze, że tu była, trzymała mnie i znowu opowiadała swoje historie. Nawet jej lekarstwowy oddech był znośny, bardziej niż znośny, przypominał mi o przeszłości, teraz był częścią nas, częścią historii. Bo gdyby przeszłość miała zapach, byłby to ten zapach, ostry, mocny i przesywający.

Ciemniał kawałek nieba widoczny z mojego okna. Napłynęły cienkie welony chmur, słońce, które właśnie zachodziło i brało ostatni oddech przed zatonięciem w morzu, maznęło je, pomarańczowo i szkarłatnie.

138

Delikatnie owiewała nas miłosierna bryza, która nadeszła wczesnym wieczorem. Moje ciało się odprężyło i pragnąłem, po cichu, w głębi duszy, żeby nic nam nie przeszkodziło, żeby nie zadzwonił telefon ani dzwonek u drzwi. Miałem nawet nadzieję, że baba opóźni swoje przy-

bycie. Oboje byliśmy niewolnikami, dom i przeszłość stały się naszym więzieniem, ale to znałem, tu nie czekały na mnie niejasne pragnienia ani zimna alienacja. Przypomniałem sobie chłopców, karetkę, Szarifa i ścisnąłem ramię mamy mocniej, złowrogo zadowolony ze świata, który mi dano, wdzięczny, że należę do niej, szczęśliwy, że jest matką, bo, jak powtarzał Szajch Mustafa, wszystkie matki pójdą do nieba.

Zdziwiłem się, jak łatwo jego słowa wylały się z moich ust:

- „Bóg obiecał każdej matce Raj, bo cierpienie doświadczone przez kobiety przewyższa jakiegokolwiek inne ludzkie cierpienie”.

- Kiedyś, jak byłem w twoim wieku - powiedziała - rozmawiałam z chłopcem od sąsiadów. On coś powiedział, a ja się zaśmiałam. Zobaczył nas twój dziadek. Ciągle pamiętam smagnięcie konopnej liny ścigające mnie ulicą, ludzi o oczach okrutnie ciekawskich, swoje niepohamowane i odrażające skowyty, linę wydającą gdzieś za mną dźwięki jak czkawka, i tajemnicze milczenie twojego dziadka, i wymuszony uśmiech, który zawsze miał na twarzy w takich sytuacjach. Wbiegłam z krzykiem do naszego domu. Na jego widok twoja ciotka i babka krzyknęły, błagały, żeby przestał. Nic nie powiedział, zagonił mnie na podwórko. Byłam otoczona, uwięziona. Jego ręka spadła na mój policzek z ciężarem worka z piaskiem.

Opis uśmiechu dziadka przypomniał mi uśmiech ustaza Raszida, kiedy przerywał walkę pomiędzy dwoma studentami w Leptis, i uśmiech baby, kiedy Naser dzwonił w Id.

- Później, kiedy Chaled powiedział twojemu dziadkowi, że widział mnie we włoskiej kawiarni siedzącą w mieszanym towarzystwie,

zamknęli mnie w moim pokoju na trzydzieści dni i popędzili szukać dla mnie narzeczonego. Chaled skazał kwiat, młodą, głupią, naiwną czternastolatkę na dożywotnie więzienie.

Przez miesiąc siedziałam zamknięta w swoim pokoju - ciągnęła mama z rozmarzeniem. - Cały miesiąc - jej ramię napięło się wokół mnie. Poczułem do niej ogromną miłość. - Kiedy twoja babcia powiedziała: „Siedź tu, aż po tysiącuroć rozważysz swoje zachowanie”, pomyślałam o twojej Szeherezadzie. Słowo „tysiąc” przywoływało na

139

myśl tę nieszczęsną kobietę. Ale kiedy o niej myślałam, nie czułam się taka samotna. Pamiętam, jak obiecałam sobie, że będę więcej czytać, poszerzę krąg towarzyszy, ale kara polegała między innymi na tym, że nie miałam książek. „Nie dawaj jej już amunicji” - rozkazał twój dziadek. „Zepsuty umysł wykręca wszystko na swoją korzyść”. Tęskniłam za czytaniem. Tęskniłam za szkołą. Ale najbardziej tęskniłam za nim, za chłopcem, który siedział naprzeciwko mnie w kawiarni - nie pamiętam nawet, jak miał na imię. Po tym jak Chaled zapłacił za nasze cappuccino i wyszedł, byłam tak wzruszona, że trzymałam go za rękę na stole, nie pod stołem, tak jak robiliśmy wcześniej potajemnie, lecz tam gdzie wszyscy mogli zobaczyć. Oczy wypełniły mi się łzami czystego szczęścia. Chłopiec - szkoda, że nie pamiętam, jak miał na imię, miał takie piękne oczy, wciąż je widzę - był bardziej zakłopotany niż ja. Tak słodko się rumienił. W swojej niewoli myślałam o nim i to myślenie dodawało mi sił. Mówiłam sobie „To wszystko nie ma znaczenia, bo on i ja istniejemy w tym samym świecie, z tymi samymi rzekami, morzami

i górami". Ależ byłam głupia. „Nieważne, gdzie on jest - powiedziałam sobie - i nieważne, jak bardzo starają się nas rozdzielić, i tak będziemy patrzeć w to samo niebo, na ten sam księżyc, będziemy się ogrzewać tym samym słońcem, tego nam nie odbiorą". Wielką radość czerpałam z zerkania na któreś z tych wiecznych zjawisk; słońce, chmury, błękit nieba dawały mi poczucie, że pokonałam ich karę. Ale koniec końców to oni wygrali. Mój arsenał bohaterów literackich skurczył się szybko od tego czasu, nawet Szeherezada mnie zdradziła. Teraz nie jestem w stanie czytać nic dłuższego niż wiersz albo artykuł w gazecie. Książki domagają się zbyt wielkiego zaufania.

Kiedy mnie wypuścili, poszłam do ogrodu, by otworzyć szerzej oczy, odetchnąć świeżym powietrzem. Jedyne mój protest w tamtym miesiącu polegał na tym, że się nie kąpałam. Długie do kolan włosy miałam zwinięte w węzeł i zaniedbane. Skupiłam wzrok na obiektach oddalonych, które się roztopiały. To, że mogłam sięgnąć daleko wzrokiem, było dla mnie jak ziewnięcie. Powiew stęchlizny wyleciał spod mojej bluzki. Na świeżym powietrzu mój odór przybrał na sile. Pachniałam gotowanymi ziemniakami. Zastanawiałam się, jak on będzie pachniał w te noce, kiedy będę musiała pod nim leżeć. Zamiast odruchowego płaczu pojawiło się coś, co rozumiałam jako gniew, ale teraz wiem, że to była nienawiść. Poczułam jej gwałtowny i zwinny chwyt, ciepły i nie-

140

zawodny, mój. To mnie zachęciło, żebym mówiła do siebie na głos, jak obłąkana. Ujawniłam swoje myśli ojcu, który znajdował się po drugiej stronie ściany, o czym wtedy nie wiedziałam, i słuchał. Podniosłam

głos w kłótni, jakby cała Libia i moja rodzina stawily się przede mną.

„Czego od niej chcecie?!“ - krzyknęłam na wiatr. „Żeby umarła?

Zniknęła z powierzchni ziemi? Zakazaliście jej szkoły, zamknęliście ją na trzydzieści dni i teraz chcecie, żeby poślubiła całkowicie obcego mężczyznę z wielkim nosem. No świetnie!“ Zobaczyłam, jak idzie do mnie z tym dziwnym spokojnym uśmiechem, który poprzedzał każde lanie, nie tyle uśmiechem, co wyrazem bólu. Usta miał napięte, oczy pełne bólu, wyglądał niemal, jakby żałował. Tym razem nieuchronność bicia wyczerpała mnie, nie mogłam nawet powiedzieć „Nie“, o ucieczce nie wspominając. Siedziałam nieruchomo pod spętanym winoroślą treliazem, który ocieniał teren zasłany dywanami, gdzie czasami zbieraliśmy się wieczorem, żeby napić się herbaty i zjeść prażone migdały, słuchając, jak twoja babcia recytuje Baśnie tysiąca i jednej nocy.

Czułem, jak moje serce zamiera ze strachu o nią. Bałem się, że znowu ją uderzy swoją ręką ciężką jak worek z piaskiem.

- Mówi się, że nos zalotnika sugeruje pożądanie, a wolałabym umrzeć, niż taką sugestię wysunąć w obecności Hadżdza Muftaha, twojego dziadka.

Mama lubiła opowiadać o swoich krewnych, odnosząc się do stopnia ich pokrewieństwa ze mną: jej ojciec był moim dziadkiem, brat - moim wujkiem. To obarczało mnie poczuciem odpowiedzialności, jakby chciała mnie obwinić za ich poczynania, a wydawało się to tym bardziej osobliwe, że oni byli całkowicie nieobecni w naszym życiu. Dom moich dziadków znajdował się w Bengazi, skąd pochodziła rodzina, w odległości dwunastu godzin jazdy, tam też mieszkali moi wujkowie,

ciocia Nura i moi niezliczeni kuzyni. Zawsze myślałem, że to z powodu odległości nie składają nam wizyt, ale później odkryłem, że odstraszało ich polityczne zaangażowanie mojego ojca. Czasami aresztowano ludzi tylko z racji powiązań. Wydawało mi się to więc zupełnie normalne, tak jak większość rzeczy w dzieciństwie, ale kiedy teraz o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że byłem odizolowany.

- Dobra, cnotliwa, niewinna dziewczyna - ciągnęła mama - powinna się koncentrować wyłącznie na charakterze swojego zalotnika, nie na jego nosie. Pomyślałam, że teraz lanie jest nieuniknione. Tak od-

141

wlekał ten moment, że pomyślałam, że się nim rozkoszuje. Nienawiść ścisnęła mi serce. Nagle siadł obok mnie, objął mnie za ramiona i mówił tak, jak jeszcze nigdy dotąd. W tamtej chwili jego dziwny uśmiech zyskał nowe znaczenie. Ponieważ zawsze towarzyszyło mu lanie, odczytywałam go jako wyraz ubolewania nad czymś, do czego zrobienia czuł się zobowiązany. Wydawało mi się, że nieuchronność sytuacji powoduje, że jego dusza miota się, rozdzielana pomiędzy miłością a sprawiedliwością. Nigdy nie podejrzewałam, że czerpie przyjemność z bicia. Uważałam nawet, chociaż nigdy się nie zgadzałam z karą, że może z racji jakiegoś pradawnego rozpadu, który na zawsze uniemożliwia ojcu i dziecku pojednanie, muszę w cierpieniu tę karę przyjąć, tak jak on musi w cierpieniu ją wymierzyć. Odczytywałam więc jego uśmiech jako uśmiech zakłopotanego człowieka, rozdartego pomiędzy pragnieniem a powinnością, pomiędzy tym, co wolałby zrobić, a tym, co zrobić musi. W ten sposób ocaliłam swoją pamięć o nim. Ponieważ

nigdy nie zwątpiłam w jego miłość. Ale teraz, kiedy siadł obok mnie, jego uśmiech zdawał się znaczyć coś innego. Wraz z łagodnym głosem i uściskiem ojca miał mnie pocieszyć. Płakałam. Płakałam, bo jego litość była sroższa niż jego sprawiedliwość. Płakałam, bo zrozumiałam, że stałam się własnością innego mężczyzny, że ojciec stracił przywilej bicia mnie. Ten tłumiony uśmiech teraz wyglądał jak pożegnanie.

„Czy ja bym cię sprzedał? - spytał, siadając obok mnie pod splątaną winoroślą. - Czy oddałbym cię mężczyźnie, który by na ciebie nie zasługiwał?”

I tak właśnie dowiedziałam się, że już po wszystkim. Słowo dano i słowo przyjęto, słowa mężczyzn, słowa, których pod żadnym pozorem nie można cofnąć ani wymienić na inne. Moje oczy już nie ziewały, teraz wróciła mi ostrość widzenia. Przypomniałam sobie jego ciosy i poczułam, jak moje plecy rosną, w miarę jak sobie uświadamiam, że te ciosy na zawsze się już skończyły. Spojrzałam na swoje kolana dotykające jego kolan i zdumiałam się, że ludzkie ciało może być takie sprawne i wytrwałe.

Przypomniałam sobie, jak moje plecy urosły po tym, jak tuż obok zatrzymał się śledzący nas biały samochód. Nagle pomyślałam o ustazie Raszidzie - nie miałem pojęcia, przez co przechodzi baba - zamkniętym gdzieś, z ciałem posiniaczonym i brudnym. Może on też teraz siedział obok jednego ze swoich śledczych i nagle, ku skrajnemu

142

zdumieniu ustaza Raszida - ten śledczy obejmuje jego posiniaczone ramiona i uśmiecha się do niego. I może on też spojrzął na dwa styka-

jące się uda i zdziwił się, że ludzkie ciało jest takie silne. Dotknąłem miejsc na klatce piersiowej, w które dźgnęły mnie nadgarstki Usamy, i chociaż wciąż mnie bolało, ból stracił na ostrości i nie wydawał się już taki straszny.

Za murem ogrodu słyszałem świerszcze. Nie wiadomo gdzie zaczął śpiewać ptak, a potem, jakby zakłopotany, zdał sobie sprawę, że jest sam, i umilkł. Po krótkiej chwili mamy oddechy stały się głębokie i długie. Zasnęła. Jej ramiona, wciąż obejmujące mnie w pasie, zwiotczały. Wyobraziłem sobie, co bym wówczas zrobił, żeby ją ocalić. W marzeniu zastukałem do okna pokoju, w którym ją więziono, i pomogłem jej wyskoczyć. Ucieklibyśmy gdzieś, gdzie nikt by nas nie znalazł. A żeby uniknąć plotek, udawalibyśmy, że jesteśmy rodzeństwem, ponieważ ja miałbym dziewięć lat, a ona czternaście. Robiłbym pałeczki sezamowe i sprzedawał je dzieciom, dostarczając je na wielkim motocyklu. Zarobione pieniądze wydawałbym na książki dla niej. I pewnego dnia ona spotkałaby tego chłopaka, z którym była we włoskiej kawiarni - nad morzem albo w kawiarni, albo w kolejce w piekarni - i znowu by się w nim zakochała. Wiele razy bym przejeżdżał swoim motorem i patrzyłbym na nich, jak trzymają się za ręce nad stolikiem, z wielkimi, milczącymi uśmiechami na twarzy. A kiedy już by znaleźli wiele powodów, żeby być razem, i przeczytaliby wszystkie książki na świecie, nadszedłby czas na moje narodziny. Ta opowieść zmieniała się w mojej wyobraźni - ratowałem ją, odchodziłem z nią, potem wracałem, żeby ją znowu uratować - aż spowiół mnie sen, a ja w nim utonałem, czując, jak rozchodzi się we mnie ciemny, ciepły żar nadziei.

Następnego ranka wyskoczyłem z łóżka w chwili, gdy otworzyłem oczy. Wciąż czułem obejmujący mnie ciepły cień ramienia mamy. Przede wszystkim wziąłem prysznic - o co zwykle trzeba mnie prosić - potem ubrałem się w szorty, T-shirt i sandały. Ona już była na nogach, siedziała z gazetą rozłożoną na stole w kuchni. Pocałowałem ją w rękę i trajkotałem.

- Dokąd pojedziemy? Może do Signora II Calzoniego?

Postawiła palec pod wersem, który właśnie czytała.

- Może pójdziesz pobawić się z kolegami, habibi? - zaproponowała.

Nie chciałem się spotykać z chłopakami. Przez jakiś czas bawiłem się w warsztacie na dachu, a potem nagle poczułem niepokój, co z nią. Poszedłem jej szukać. Nie było jej w kuchni, a drzwi do sypialni były zamknięte.

- Mamo?

Odezwała się dopiero po bezkresnej ciszy.

-Tak?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Czego chcesz? - Coś się stało z jej głosem. Instynktownie chciałem iść do niej.

- Masz czas?

- Czas? - Potem usłyszałem, jak mówi do siebie: - Co za pytanie!

- Odchrząknęła i powiedziała niepotrzebnie głośno: - Jest dziewiąta.

Idź się pobawić.

Wyszedłem z powrotem do ogrodu i leżałem w cieniu drzewa kle-

jowego. Światło słoneczne sączyło się przez gałęzie i liście, do białości rozpalając ich krawędzie. Przypomniałem sobie sen, który miałem w nocy. Nadszedł nie wiadomo skąd. Mama znowu była chora.

144

Śmiała się ze mnie, bo nie mogłem iść. Spojrzałem w dół i stwierdziłem, że nie mam nóg. Zachichotała tak szaleńczo, jak w chwilach, kiedy chorowała. Zdałem sobie wówczas sprawę, że wyrosły mi skrzydła, skrzydła długie jak Morwowa. Zaklaskała i zaśmiała się tak mocno, że pociekły jej łzy. Wspomnienie tego snu dało mi wymówkę, żeby do niej pobiec.

Otworzyłem drzwi bez pukania. Leżała na łóżku z gazetą w ręce.

- Właśnie sobie przypomniałem sen, możesz mi go wytłumaczyć? -

Zdażyłem tylko powiedzieć „Znowu byłaś chora”, kiedy mi przerwała.

- Po co kusisz katastrofę?

- Nie, nie kuszę. To był sen.

- Nie pozwalaj, żeby cię nachodziły takie złe myśli.

Spuściłem wzrok.

- Co zrobisz na lunch?

- Lunch? Za wcześnie na lunch. Jesteś głodny?

- Nie - odparłem i wyszedłem z pokoju.

Chodziłem po ogrodzie, kiedy dostrzegłem Szarifa rozmawiającego z ustazem Dżafarem. Pobiegłem do pokoju, wyciągnąłem książkę spod materaca i wybiegłem. Stałem obok nich, nie chcąc przerywać im rozmowy, ale nie byłem w stanie stłumić podekscytowania. Spojrzeli na mnie.

- Czego chcesz? - spytał ustaz Dżafar.

Pokręciłem głową i odszedłem. Położyłem książkę na chodniku przed naszym domem i siadłem na niej, udając, że rysuję na piasku. Kiedy ustaz Dżafar mówił, Szarif kiwnął kilka razy, wskazując przy tym na nasz dom, a następnie na dom ustaza Raszida. Potem machnął kilka razy ręką na Szarifa, jakby mówił „No już”, i schował się w ciemnym cieniu swojego domu.

Szarif wsiadł do samochodu. Podszedłem do niego.

- To książka, o której panu mówiłem - podałem mu książkę baby, Czas na demokrację.

Wziął ją, obrócił w dłoni, potem mi oddał.

- Baba dostał ją od ustaza Raszida.

- Aha - mruknął bez zainteresowania.

- Proszę - otworzyłem książkę i wskazałem dedykację. Zerknął na nią. - Mam też nazwiska. - Wyglądał, jakby nie wiedział, o czym
145

mówię, albo jakby go to nie obchodziło. - Nazwiska do poręczenia za babę, pamięta pan? Mam Raszida - wskazałem dom ustaza Raszida.

- Nasera. I Musę.

- Nic nowego - powiedział z rozdrażnieniem, sięgając do kluczyka w stacyjce. Widziałem linię, gdzie kończyła się sucha, ciemna skóra dolnej wargi, a zaczynało wilgotne, bledsze ciało po wewnętrznej stronie ust. Spojrzałem na niezliczone blizny wytrawione na jego policzkach, każda innej wielkości i kształtu, skóra w nich lśniła i była bledsza. Włączył silnik. - Na twoim miejscu bym się nie martwił. Twój

ojciec jest bardzo chętny do współpracy, rozmiękł jak masło. - Wskazał na dom ustaza Dżafara. - A teraz potężna ręka przyszła mu na ratunek. - Opierałem się o jego samochód. - Spadaj - rzucił i odjechał bez pożegnania.

Stałem na ulicy, na próżno dociekając, co miał na myśli, mówiąc „chętny do współpracy” i „rozmiękł jak masło”. Słońce stopniowo pochłaniało wszystkie cienie, wypalając do białości pył uliczny. Z trudem w ogóle otwierałem oczy. Wszedłem do naszego domu, rad z jego chłodnego cienia, rad z dachu nad głową, mrugając oczami, żeby wymazać plamki światła wstemplowane w siatkówkę.

Tego samego dnia przyszedł Musa. Był bardzo podniecony, wręcz nie mógł usiedzieć w miejscu.

- Przetrzęsają cały Trypolis. Zgarniają wszystkich, zbierają ich jak owce.

- Gdzie jest Faradz?

- Nie wiem. Włącz telewizor. Raszid... Będą sędzić Raszida...

Sędzić?! Rozumiesz... Dranie.

- Kiedy? Kiedy? - spytała mama. Udzielił się jej niecierpliwy niepokój.

Włączył telewizor w salonie i zajął miejsce na kanapie, a ona obok niego. Ilekroć chciała się odezwać, podnosił w górę rękę.

Sadzano ustaza Raszida, światło reflektora padało mu na twarz.

Powtarzano transmisję, którą widziałem w czasie sjesty, ale teraz był wieczór, nikt nie spał, cały świat to oglądał. „Brałeś udział w spotkaniu?” Ustaz Raszid się zawahał, potem kiwnął głową i odrzekł:

„Tak, brałem". I powtórzył: „Brałem, brałem udział", tym razem tak głośno, że wątpliwości się rozwiały. Potem obraz się zmienił, nie po-
146

kazali go, jak mówił „Nie" na nazwisko baby. Widać było natomiast mężczyznę siedzącego przy biurku zasłanym papierami. Siedział jak prezenter wiadomości, ale po jego ubraniu i kasku kręconych włosów poznałem, że to członek Komitetu Rewolucyjnego. „Wykryto element przestępczy - powiedział wysokim, szczekającym tonem, którym zwyczajowo wygłaszano oświadczenia Komitetu Rewolucyjnego.

- Zdrajców, którzy pogardzają naszą rewolucją i nam jej zazdroszczą. My, Komitet Rewolucyjny, Strażnicy Rewolucji, schwytaliśmy wszystkich członków tej zagubionej grupy oraz tych, którzy ich ukrywali i finansowali, i ukarzymy ich surowo". Mężczyzna patrzył prosto w kamerę. „Wróg został sromotnie pokonany - dodał.

- Niech żyje Wódz, niech żyje Rewolucja Wrześniowa". Kamera zatrzymała się na nim nienaturalnie długo. W końcu zawołał: „Dość. Skończyłem". Wtedy ekran zgasł na kilka sekund, po czym pojawiły się na nim znowu kwiaty, tym razem przy akompaniamencie pieśni rewolucyjnych.

Stałem w drzwiach, w tych samych drzwiach, w których wcześniej stał Szarif, Szarif, który na pewno już wrócił, na pewno znowu siedział w samochodzie przed naszym domem, lojalny, wieczny, pewien swego miejsca na świecie, ciężki od męskiego zapachu. Wszedłem do pokoju i siadłem na podłodze w połowie drogi pomiędzy kanapą a telewizorem. Żadne z nich nie kazało mi wyjść. Patrzyliśmy na

różowe kwiaty i słuchaliśmy dufnych pieśni rewolucyjnych, kiedy nagle bez wyjaśnienia wznowiono transmisję. Widać było tylko ciemne niebo i u dołu ekranu głowy błyszczące w świetle reflektorów.

Ktoś szepnął „Odjazd”, a potem już poirytowanym tonem: „Odjazd! Odjazd!”. Kamera gibnęła się w dół i przez chwilę widzieliśmy tylko betonową podłogę. W kadrze pojawiła się stopa. Widziałem wytarty szew na czarnym skórzanym bucie mężczyzny i motyw orła z rozpostartymi skrzydłami na wąskiej metalowej spinie przecinającej przód. „Powiedziałem odjazd, kretynie! Ruszaj się!” Stopa zniknęła z kadru, kamera się podniosła i odjechała.

- Są na Narodowym Stadionie Koszykówki - powiedział cicho Musa do mamy albo do siebie.

- Którym? Gdzie?

- Tym nowym przy drodze wjazdowej do miasta.

-I co tam robią? - spytała mama, podnosząc głos.

147

Przesłuchania zawsze prowadzono w pomieszczeniach bez okien.

Musa nic nie powiedział, a ja, obawiając się, że mama odeśle mnie do ćwiczenia gam, nie odwróciłem się.

Narodowy Stadion Koszykówki był pełen. Kamera przejechała po rzędach siedzeń, ani jedno nie było puste. Większość widzów miała na sobie coś zielonego: koszulkę, opaskę na ramieniu albo na głowie. Z kim gramy? - zastanawiałem się. Koszykówka nie była moją ulubioną grą, ilekroć jednak Libia grała przeciwko innemu państwu, bez względu na to, w jakiej dziedzinie sportu i jakie rozgrywki, nierucho-

miałem przyklejony do ekranu telewizora. Kiedyś siedziałem przez sześć godzin, patrząc na mecz szachowy pomiędzy Libią a Koreą na Międzynarodowych Mistrzostwach Szachowych w Moskwie. Gdy Koreańczyk wygrał, prawie płakałem z rozczarowania.

Kamera w końcu wróciła na sąd. Pośrodku ustawiono długi stół.

Ktokolwiek go tam wstawił, dopilnował, żeby jego centralny punkt znalazł się dokładnie w osi. Przystrojono go jak stół na konferencji prasowej: blat starannie przykryty białym obrusem, a od frontu zielona tkanina sięgająca podłogi i skrywająca stopy obradującego Komitetu.

Przy długim stole siedziało trzech członków, dwóch mężczyzn i kobieta. Przed każdym stała butelka z wodą i pusta szklanka. Przed mężczyzną pośrodku - mikrofon. Postukał w niego dwukrotnie, potem zaczął czytać z trzymanej w ręku kartki:

- Wybitny wódz światowej rewolucji na rzecz nowej cywilizacji, Mu'ammar al-Kaddafi, Wódz Narodu Libijskiego, symbol nadziei i wolności, Syn Pustyni... - podniósł wzrok, sprawdzając nastrój tłumu
- albowiem - podniósł głos, palec wskazujący wymierzywszy w niebo
- albowiem to na pustyni narodził się nasz Wódz, na pustyni, tam gdzie Bóg przemówił do Mojżesza, na pustyni, gdzie prorok Eliasz usłyszał spokojny głos Boga nakazujący mu stawić czoło tyranii ciemnicy, na pustyni, gdzie Jezus przygotował się przez post i modlitwę do misji, która miała ukształtować historię Zachodu, w samotności pustyni, gdzie prorok Mahomet rozmyślał nad nakazem tworzenia i smutnym stanem własnego ludu - mama i Musa nie, ale ja dodawałem „Pokój i błogosławieństwo Allaha niech będą z nim” po imieniu każdego proroka - i to

na pustyni również nasz Przywódca, Wódz, Zbawiciel Narodu, nasz Wielki Nauczyciel i Dobroczyńca, Ojciec Wielkiej Wrześniowej Rewolucji Al-Fatih, Mu'ammar al-Kaddafi, urodził się, żył, marzył i rozmyślał.

148

Tłum zerwał się, wiwatując.

- Obrót, obrót - wyszeptał głos i kamerzysta skierował kamerę na szczęśliwych i klaszczących widzów. Mama i Musa siedzieli cicho i nieruchomo.

- To najczystsze z serc... - próbował kontynuować. Opuścił wzrok, podniósł rękę zwiniętą w pięść i rytmicznie wyrzucał ją w powietrze.

- To... - nie był w stanie przerwać triumfalnego wrzasku widzów. - To najczystsze... - huknął głosem jak syrena alarmowa, jak głos Szajcha Mustafy, kiedy się załamywał z emocji w czasie piątkowego nabożeństwa. - To najczystsze z serc, symbol determinacji, symbol odwagi, oddania i wolnej woli, nasz znakomity Wódz i Dobroczyńca, który obficie uczy nas swoim przykładem, zwyciężył. - Na chwilę stracił głos. Kobieta po jego prawej stronie nalała mu wody do szklanki.

Upił łyk i ciągnął: - Ludzie, masy, bracia, siostry, dzisiaj jest dzień rozkoszy. Dzisiaj pokonaliśmy zdradziecki element, który próbował podważyć nasze osiągnięcia i powstrzymać nasz marsz. - Włączył się tłum, bardziej triumfalny i gorliwy, rozpaczliwie pragnący wyrazić swoje zaangażowanie. Ktoś próbował coś powiedzieć do kamerzysty. On nie usłyszał i krzyknął „Co?!”. Właśnie wtedy chaotyczny wiwat przeszedł w skandowanie, nawet kamerzysta i ten obok niego się włączyli: „Al-Fatih, rewolucja mas! Al-Fatih, republika!”. Znowu rozległy

się chaotyczne krzyki, a po nich kolejne skandowanie: „Własną krwią!
Własną duszą! Obronimy swego Wodza!”. Kamera się poruszyła, obraz
się zamazał, potem skupił się na jednym z koszy. Odjechała szybko na
tablicę za koszem, potem przesunęła się w dół, gdzie jakiś mężczyzna,
siedzący drugiemu na barana, z trudem zawiązywał sznur. Potem
dźgnął piętami mężczyznę pod sobą i ten się poruszył. Kiedy wyszli
z kadru, kamera odjechała odrobinę i pokazała sznur zwisający zza
tablicy, kołyszący się z pętlą na końcu.

Spojrzałem znowu na kanapę. Zarówno mama, jak i Musa siedzieli
wyprostowani. Dłonie Musy utknęły zablokowane między jego kola-
nami, twarz miał ponurą, podczas gdy twarz mamy była całkowicie
pozbawiona wyrazu. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Jej twarz
nie zdradzała absolutnie niczego. Przypomniałem sobie, jak kiedyś
ustaz Raszid pokazywał Karimowi i mnie album z bardzo starymi por-
tretami fajumskimi. Były piękne, ale dostrzegłem w nich coś dziwnego.
Potem powiedział nam, jak powstały. „Ponieważ w tamtych czasach

149

nie było aparatów fotograficznych - wyjaśnił - kiedy rodzina traciła
kogoś bliskiego, najmowała malarza, żeby wykonał portret zmarłego.
A ponieważ nikomu nie uśmiechało się pamiętać bliskiego po śmierci,
malarze starali się, żeby portretowana osoba wyglądała na żywą. Robili
im piękne różowe policzki, wielkie okrągłe oczy, a czasami nawet
wieniec z jaśminu albo liści oliwnych". Mama wyglądała teraz jak por-
tret fajumski, nieruchoma, szeroko otwarte oczy, piękna, ale martwa.
Przypomniałem sobie szczególną wypowiedź ustaza Raszida: „Jeśli

się uważnie przyjrzeć, można dostrzec na obrazie cień śmierci. Są pod tym względem unikatowe, na żadnym z nich nie widać pragnienia".

Skandowanie i wiwaty tłumu były tak głośne, tak histeryczne i nieustające, że stapiały się w ciągły pomruk, jak warkot ogromnego odkurzacza. Kiedy ludzie się uspokoili, kamera znowu przesunęła się na sędziów. Kilka metrów przed Komitetem widać było teraz innego mężczyznę. Ręce miał związane za plecami, siedział po turecku na ziemi przed mikrofonem zatkniętym na statywie. Wciąż się oglądał za siebie, na sznur.

- To on - powiedział Musa.

Kamera zrobiła najazd i zobaczyliśmy, że skuty mężczyzna siedzący na ziemi na Narodowym Stadionie Koszykówki to ustaz Raszid. Jego czoło lśniło od potu. Wąs też był wilgotny, łzy srebrzyły mu się na policzkach. Nie płakał z honorem, płakał jak dziecko. Oglądał się na sznur, potem patrzył w bok na Komitet i powiedział coś, czego nie było słyhać.

- Mów do mikrofonu - polecił mężczyzna pośrodku.

Ustaz Raszid obejrzał się i zobaczył nadchodzącego mężczyznę. Podniósł na niego wzrok, próbował coś powiedzieć. Gdybym musiał zgadywać, co dokładnie, obstawiłbym coś jak „Całuję twoje stopy, na miłość Allaha, na twoich rodziców" - bo kiedy mężczyzna położył rękę na mikrofonie, żeby go dostosować do pozycji ustaza Raszida, on próbował mikrofon pocałować. Mężczyzna odszedł, a ustaz Raszid odwrócił się, szukając go.

- Co masz do powiedzenia na swoją obronę? - spytał mężczyzna

pośrodku.

Ustaz Raszid spojrział na niego i znowu zapłakał. Sprawdził sznur, potem odwrócił się do mężczyzny, podnosząc brwi, ściągając usta, błagając jak winne dziecko.

150

- Dajemy ci szansę obrony. Jeśli jesteś niewinny, to mów - powiedział mężczyzna z szerokim uśmiechem, odchylając się na krzesło i patrząc na mężczyznę i kobietę u swojego boku. Oni wydawali się rozumieć jego dowcip.

- Niewinny, niewinny... niewinny. - Ustaz Raszid uczeplił się tego słowa.

- Ale my tu mamy przyznanie się do winy - krzyknęła do mikrofonu kobieta ze składu sędziowskiego. Tłum ogarnęła ekscytacja. Mężczyzna pośrodku pochylił się ku niej i chyba powiedział: „Ja to załatwię”. Kiwnęła głową z powagą, wygładziła koszulę, potem nagle jakby zdziwiła się, ucieszyła, pomachała komuś w tłumie.

- Mówisz, że nie przyznałeś się do winy? - spytał mężczyzna, trzymając w ręku kawałek papieru.

Ustaz Raszid potrząsnął głową, potem kiwnął, znowu wykrzywając twarz, przechylając na bok głowę.

- Przyznaję się, przyznaję się - powtarzał, potem wziął głęboki oddech i westchnął. - Przyznaję się. - Jakby pod ostrym światłem reflektorów, siedząc na świeżutkiej, wielobarwnej plastikowej podłodze naszego nowego Narodowego Stadionu Koszykówki, który zaprojektowano zgodnie z najwyższymi międzynarodowymi standardami,

sam musiał usłyszeć to więcej niż jeden raz. Potem się ocknął, tak się wydawało. Podniósł wzrok na sędziów. - Litości - rzekł. Przechylił głowę i powtórzył to słowo kilkakrotnie, odwracając się na wiszący sznur. I znowu się rozplakał.

Tłum oszalał, jakby to jedno słowo stanowiło ostateczny dowód, na który czekali. W powietrzu poszybował but i wylądował obok ustaza Raszida. Spojrzał na niego, spojrział na tłum i zapłakał, powtarzając coś, czego teraz nie było słyhać. Może mówił „Litości” albo „Przyznaję się”, albo „Niewinny”, albo może on także zobaczył kogoś, kogo rozpoznał, przyjazną twarz.

Od tyłu podeszli do niego dwaj mężczyźni i dźwignęli go pod ramiona. Wciąż miał na sobie tę samą za dużą, białą koszulę, tę, którą nosił w trakcie nadawanego w telewizji przesłuchania. Wydawało się, że błaga mężczyzn ciągnących go w stronę wiszącego sznura. Skojarzył mi się w pewien sposób z nieśmiałą kobietą, która opiera się, kiedy przyjaciele zapraszają ją na tańce, podciąga ramiona do góry, nerwowo przesuwając palcem wskazującym przed ustami. Tłum teraz

151

podskakiwał, skakał i wył: „Powiesić zdrajcę! Powiesić zdrajcę!”. Kiedy mężczyźni postawili go pod pętlą, znowu próbował pocałować ich w ręce. Usta miał teraz cienkie jak lukrecjowy patyczek pociągnięty za końce. Ktoś za nim gestem niecierpliwie przyzywał pomoc, nagle pojawiła się drabina. Szeroka, solidna z wyglądu, aluminiowa. Lśniła pod jasnymi światłami. Wyglądała na nowiuteńką, pióra porwanego plastiku utknęły wokół jej nóżek. Ustaza Raszida zmuszono do wej-

ścia na nią. Na każdym szczeblu zatrzymywał się i błagał o litość.

Popychano go dalej z osobliwą delikatnością, ledwie szturchnięciem w łokieć. Ale po pewnym czasie mężczyźnie szturchającemu jakby skończyła się cierpliwość. Wspiął się obok i pociągnął ustaza Raszida za ramię. Znajdował się on teraz w połowie wysokości. Sznur musnął go po twarzy, on zamrugał. Mężczyzna założył ustazowi sznur na szyję i zacisnął pętlę. Potem machnął dłonią, jakby mówił „No, zrobione” albo „Widzisz, jakie łatwe?”, i zszedł z drabiny. Ciało ustaza Raszida obsunęło się trochę.

- On mdleje - powiedział Musa, powoli i rozwlekle, tak jak zawsze wygłaszał swoje komentarze.

Mama milczała.

Musa miał rację. Ustaz Raszid zsunął się z drabiny i chwycił go sznur. Na to wybuchła wrzawa; tłum był gotów. Podparto go, spoliczkowano kilka razy, potem odwrócono do kamery. Teraz zobaczyliśmy, że ma mokre spodnie. Z jego ust wylało się coś żółtego i wydawało się rosnąć. Nikt tego nie stał, nikt nie podał mu szklanki wody, szczoteczki ani pasty do zębów, żeby usunął palący i zachłanny kwas. Jego głowa się nie wzdrygnęła z obrzydzenia, wydawało się, że mu dziwnie dobrze z tymi wymiocinami.

Kamera skierowała się na widzów. Wymachiwali pięściami i wiwatowali. Kilka kobiet zawodziło. I nagle, jak wznosząca się fala, wiwaty stały się głośniejsze i bardziej wściekłe. Kamera przesunęła się szybko i zobaczyliśmy, jak ustaz Raszid zwisa ze sznura, lśniącą aluminiowa drabina leży na boku o metr czy dwa dalej, za daleko dla

jego wymachujących nóg. Tłum wylał się teraz na płytę boiska. Kilku widzów rzuciło butami w usta Raszida, inni chwycili go za kostki i zwisali z nich, potem machali na innych, by podbiegli i zrobili to samo. Wyglądali jak dzieci cieszące się z nowej huśtawki. Wszyscy wydawali się szczęśliwi. Obejrzałem się. Policzki Musy były srebrne.

Jeszcze nigdy nie widziałem, jak płacze. Mama wpatrywała się nieruchomo w telewizor. Odwróciłem się i dalej oglądałem. Po kilku kolejnych sekundach wrócił chaos kwiatów, nieruchomych i różowych, z hymnem narodowym grającym dumnie w tle. Kiedy znowu się obejrzałem, mamy i Musy nie było.

Znalazłem ją przy stole kuchennym. Paliła papierosa od Musy. On napełniał wodą czajnik. Siadłem obok mamy.

- Szaleństwo - orzekła. Papieros drżał jej w palcach. Cisza, która nastąpiła po jej słowach, wydawała się z nią zgadzać. - Zamiast błagać, powinien coś powiedzieć - dodała.

Musa postawił na stole herbatę.

- Widziałeś, jak reagował tłum? - spytała mama.

- Szaleństwo - potwierdził Musa.

I w ten sposób oboje przeszli do szczegółów tego, co widzieli, i w tym wspomnianiu było pocieszenie. Napomknąłem o jego spodniach ciemniejących od moczu. Mama tego nie zauważyła, ale Musa tak. Cieszyłem się, kiedy mnie w tym poparł. Mama zauważyła wymiociny. To chyba ją przekonało, że mieliśmy rację w kwestii moczu.

- Biedna Salma - powiedziała.

- Niech Bóg ją wynagrodzi i da jej cierpliwość - powiedział Musa.

- Amen - dodała mama.

Chciałem powiedzieć „Biedny Karim”. Ale nie powiedziałem.

Tamtej nocy deszcz padał godzinami. Bagna pokryły naszą ulicę i odbijały światła domu. Nasz dach zamienił się w płytki basen deszczówki. Wszedłem do niego, z rozkoszą rozgarniając wodę nagimi stopami. Położyłem się do łóżka, analizując mroczny odcinek, rozważając, jak inaczej mógł wyglądać, ale nie umiałem sobie wyobrazić szczęśliwego zakończenia. Zamknięte czy otwarte, moje oczy wciąż widziały szczupłą postać ustaza Raszida kołyszącą się w powietrzu, ciemną plamę moczu rozlewającą się wokół jego krocza, jego kostki drżące po raz ostatni, tak jak owca wierzga po uboju, mężczyźni ścisnących jego nogi, kobiety zawodzące w wieczornym powietrzu. Mama także była niespokojna. Kiedy w którymś momencie nocy obudziłem się przerażony i poszedłem się położyć obok niej, podskoczyła.

- Nie - powiedziała, opierając mi dłoń na klatce piersiowej, głosem mrocznym, ale nagłym w ciemności. - Odejdź. Śpij w swoim łóżku - potem, tak jakoś na próbę, dodała: - habibi.

Następnego ranka mamy nie było. Gnany niezmiernym strachem pędziłem po domu, szukając jej. Potem usłyszałem klucz w zamku drzwi wejściowych. Weszła i zawołała mnie.

- Jeszcze nieubrany? - Była cała na czarno, twarz miała niepomalowaną, włosy zwinięte w węzeł. - Szybko, musisz iść się pożegnać.

- Zbierała puste plastikowe torby. - Salma i Karim jadą do Bengazi.

Ona ma tam brata, przyjechał po nich, całą noc jechał. Pamiętaj, żeby złożyć wyrazy współczucia. - Potem wycelowała palcem wskazującym i powiedziała: - Powiedz „Oby Bóg wynagrodził wam stratę i oby zmiłował się nad ustazem Raszidem”.

154

Miałem w brzuchu to samo poczucie pustki co kiedyś, jak musieliśmy wziąć szczepionkę przeciw grypie w szkole i wszyscy stawaliśmy w kolejce z jednym rękawem podciągniętym do ramienia, patrząc, jak ci przed nami płaczą z bólu. Raz uciekłem, złapało mnie dwóch nauczycieli i zaciągnęło na początek kolejki: „Najpierw ten, żebyśmy nie musieli go znowu ganiać” - powiedzieli do pielęgniarki. Perspektywa spotkania z Karimem po tym, co się właśnie stało z jego ojcem, przeżyła mnie równie mocno. „Ból kocha pustkę, chce tylko słuchać własnego echa” - powiedziała kiedyś mama.

Podążyłem za nią w swojej piżamie i wreszcie zebrałem się na odwagę.

- Chcę tu zostać - wyrzuciłem.

- Nie chcesz się pożegnać z Karimem? Biedny chłopiec, wygląda, jakby miał za sobą straszną noc. Oczy ma opuchnięte jak dwa pomidory.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wyobraziłem sobie jego twarz i od tego wyobrażania chciałem do niego pobiec.

- Jak chcesz - zdecydowała. - W końcu to twój przyjaciel. - Zajął się zbieraniem rzeczy: serwetki, butelka wody. - Ale jeśli chcesz się z nim zobaczyć, to musisz się pospieszyć, oni już się pakują do samochodu.

- Skoro nie zareagowałem, spytała: - Mam im powiedzieć, że jeszcze śpisz? - Kiwnąłem głową.

Wyszła, a ja chodziłem powoli bez celu po domu. Wyszedłem do ogrodu. Było rano, ale słońce paliło mocno jak w południe, wybielając wszystko. Przypomniałem sobie słowa Salaha Abd as-Sabura: „Południe, wypełniasz moje serce strachem i przerażeniem, pokazując mi więcej, niż chcę zobaczyć”. Kałuże deszczu zniknęły, w miejscach po nich ziemia była o odcień ciemniejsza. Wyszedłem na dach, żeby ich podglądać. Ogród Karima był pusty. Wszystkie okna pozamykane, zasłony szczelnie zaciągnięte. Przed domem stał samochód o bokach obryzanych zaschniętym kurzem. Droga do Bengazi zajmuje dwanaście godzin. Pod kierownicą widziałem kolana, męskie kolana. Potem usłyszałem, jak ten mężczyzna woła: „Chodźcie!”. Mama wyłoniła się z ich domu, idąc spieszenie, niosąc plastikowe torby, które u nas zebrała, teraz powypychane. Z samochodu wysiadł mężczyzna i zatrzasnął za sobą drzwiczki. „Nie do wiary, jak oni się długo zbierają!” - rzucił podenerwowany. Otworzył przed nią bagażnik. „Już niedłu-

155

go” - powiedziała, ostrożnie umieszczając torby w bagażniku. Musiał być tym wujkiem, o którym mówiła. Stała obok niego, zacierając ręce. Widać było, że jego dłonie w kieszeniach są zaciśnięte w pięści. Zastanowiłem się, jak Karim sobie z nim poradzi. Potem pojawiła się ciocia Salma. Ona też była ubrana na czarno. Uściskała mamę i zapłakała. Mama poklepała ją po plecach, mówiąc: „Cierpliwości, moja droga, cierpliwości”. Mężczyzna znowu krzyknął: „Karim, co ty tam

robisz?!". Wyobraziłem sobie, jak Karim chodzi po domu, może po raz ostatni uśmiecha się do poduszki swojego ojca. Potem się zjawiał, idąc wolno i nie zwracając uwagi na swojego wuja. Otworzył drzwiczki samochodu i siadł z przodu, na miejscu obok kierowcy. Patrzył przed siebie, widziałem jego twarz z profilu. Czułem się, jakby za chwilę miał odwrócić twarz i spojrzeć na mnie. Potem odjechali. Patrzyłem, jak kurz wzbija się za nimi.

Mama cały dzień spędziła przy telefonie. Dzwonili krewni. Ja odebrałem kilka pierwszych połączeń. „Ludzie plotkują - mówili. - Gadają, że ten mężczyzna wczoraj to, uchowaj Boże, wasz sąsiad, że się przyjaźnił z Bu Sulejmanem. Mieliśmy nadzieję, że to nieprawda". Potem, późnym popołudniem Umm Masud przyniosła naszą kryształową patere pełną ciasteczek.

- Nie przyszłam z pustymi rękami - powiedziała, uśmiechając się psotnie. - I nie mam na myśli ciasteczek. Przyniosłam wieści. - Zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę kuchni. Na twarzy mamy malował się wyraz pośredni pomiędzy nadzieją a zgryzotą. Nagle Umm Masud odwróciła się do nas uśmiechnięta. Mama popędziła do niej.

- Uspokój się, dziewczyno, uspokój - powiedziała, śmiejąc się. - Najpierw zrób nam herbaty.

I mama bez wahania rzuciła się wykonać zadanie. Patrzyłem, jak Umm Masud siada przy naszym stole kuchennym, i zastanowiłem się, czy tak właśnie jej mąż, ustaz Dżafar, zachowuje się wobec niej. Chyba się rozkoszowała milczeniem, w którym musieliśmy czekać, aż mama zrobi herbatę. Ręce jej drżały, kiedy ustawiała filiżanki.

- No więc - zaczęła Umm Masud - dzwonił Dżafar i...

- Co powiedział? Znalazł go?

Umm Masud się uśmiechnęła, a kiedy mama spytała „Gdzie on jest?”, wyciągnęła rękę i przytknęła oczy.

156

- Nie znam wszystkich faktów. Ale na pewno już niedługo go zobaczycie.

Mama zaczęła płakać.

- Dziękuję, dziękuję - mówiła.

W drodze do wyjścia Umm Masud dodała jeszcze:

- Może nie wyglądać dobrze - i zerknęła na mnie. - Wiesz, że dzieci łatwo mogą się nabawić koszmarów.

Chodziła korytarzem w tę i z powrotem. Umyła ręce do łokci, stopy, założyła ręcznik na głowę i rozłożyła dywanik modlitewny. Jej usta bezgłośnie szeptały słowa, siedziała na klęczkach i chyba nie czuła się w tej pozycji swobodnie. Kiedy zadzwonił telefon, pobiegła do niego.

- Tak, Umm Masud. To jego numer - powiedziała. - Nazywa się

Musa Jasin.

Potem zadzwoniła do Musy.

- Siedź przy telefonie. Zadzwonią do ciebie, żebyś odebrał Faradza.

I zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz coś wiedział.

Pałała bezustannie, mimo że nie była chora. Kiedy powiedziałem, że jestem głodny, z papierosem w ustach zrobiła mi kanapkę. Nie mogła usiedzieć w miejscu.

Okolo dziesiątej zadzwonił Musa.

- Wiesz coś? No to po co dzwonisz? A jeśli teraz oni dzwonią, a u ciebie jest zajęte? Rozłącz się.

Robiło się późno. Z trudem powstrzymałem się od zamknięcia oczu. Położyła mnie do łóżka, a kiedy całowała mnie w czoło, to chyba z ociąganiem.

Następnego ranka weszła do mojego pokoju.

- Mam dobre wiadomości - powiedziała, odsuwając zasłony. Poranne światło było lśniące i ostre. Otworzyła okno. Ptaki śpiewały i wydawały się nazbyt gorliwe. Na jej twarzy malowało się coś na kształt szczęścia. - Zdarzyło się coś wspaniałego. Bóg zawitał do naszego domu. - Przeszła po moim pokoju, zbierając i składając ubrania. - Musimy zabić owcę, nie, cielaka, i zaprosić Dżafara i Umm Masud, i ich dwóch synów. Ależ to porządni ludzie.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Nie dzwonił specjalnym dźwiękiem baby.

157

- Chwała niech będzie Bogu - powiedziała. - Ty tu zostań. Nie wychodź ze swojego pokoju. - Zamknęła za sobą drzwi.

Usłyszałem głos Musy zmagającego się z dużym ciężarem. Zastanowiłem się, czy przyniósł kolejny portret Wodza - może teraz musimy taki powiesić w każdym pomieszczeniu.

- Czekaj - szepnęła mama. - Dobra, wnieś go tutaj.

Usłyszałem, jak wchodzi do mamy pokoju i zamykają za sobą drzwi.

Zostali tam przez jakiś czas. Potem usłyszałem, jak jedno z nich wychodzi. Poszedłem do kuchni i znalazłem tam siedzącego Musę. Wydawał

się gdzieś daleko, jak ktoś, kto właśnie przeżył wypadek. Na koszuli miał ciemnobrązowe plamki. Kiedy go spytałem, co to jest, odparł:

- To tylko trochę krwi, nic takiego. - A po chwili dodał: - Ząb mi wyleciał.

Kilkakrotnie usłyszałem, jak mama idzie z pokoju do łazienki, za każdym razem zamykając za sobą drzwi.

- Zajdę później - rzekł Musa i wyszedł.

Poszedłem do pokoju mamy i zapukałem.

Wydawało mi się, że najpierw usłyszałem męski głos, a potem szeptała mama: „Nic się nie martw”. Drzwi otworzyły się na tyle, żeby mogła się przez nie przecisnąć.

- Co? - spytała.

- Kto tam jest?

Zaprowadziła mnie za rękę do kuchni.

- Posłuchaj, Sulejmanie. Powiem ci coś ważnego. Baba jest w domu.

Trochę źle się czuje, więc potrzeba mu spokoju i ciszy.

- Baba jest... on... - Jakiegokolwiek słowo próbowałem wypowiedzieć, roztrzaskiwało się w moich ustach. Ale ona zrozumiała.

- Tak, tak. Nie czuje się dobrze. Odpoczywa. Nie możesz mu przeszkadzać, nie możesz mu ani trochę przeszkadzać - mówiła, odchodząc z powrotem do sypialni.

Kiedy poszedłem skorzystać z łazienki, zobaczyłem, że lustro nad umywalką jest zasłonięte białym prześcieradłem. Podniosłem róg i nie znalazłem w nim żadnej zmiany.

Po chwili przyszła mama.

- Gdzie Musa? - spytała. - Mówił, dokąd idzie? W takiej chwili powinniśmy być razem.

158

- Powiedział, że zajdzie później.

- Mówił kiedy?

- Później. Mówił tylko, że później.

- W takiej chwili powinniśmy być razem - powtórzyła.

- Dlaczego lustro w łazience jest zasłonięte? - spytałem.

- Wie, że muszę z nim porozmawiać. Nie znoszę, jak wychodzi i nie mówi.

- Dlaczego zakryłaś lustro?

- Zdjąłeś zasłonę?

Pokręciłem głową.

- Nie ruszaj jej.

Nie wolno mi było nawet zajrzeć do baby.

- Rano - powiedziała mama, stając pomiędzy mną a wejściem do ich pokoju.

Drzwi były szeroko otwarte, ale wszystko w środku było czarne.

Nie słyszałem ciężkiego oddechu baby ani pokój nie pachniał snem, panowała w nim jednak taka cisza, jakby ktoś tam przebywał.

- Baba? - zawołałem.

- Rano - powtórzyła, odpychając mnie. -I nie przychodź do niego.

Jak poczuje się na siłach, sam przyjdzie do ciebie.

Z początku nic o tym nie myślałem, ale kiedy szorowałem zęby, przypomniałem sobie, że jest czwartkowy wieczór, że następnego

dnia baba ma wolne, i zdziwiło mnie, dlaczego mama nie chce, żebym go obudził, skoro w piątkowe poranki zawsze biegłem do jego łóżka i rzucałem się na niego. On wtedy siadał gwałtownie, wypuszczając powietrze.

Jakim cudem to się okazało takie łatwe? Czego zabrakło na stadionie? Co nie stanęło na przeszkodzie, nie uratowało ustaza Raszida? Może to te wszystkie filmy kowbojskie z ich logiką szczęśliwych zakończeń kazały mi tak myśleć. Może to nie Bóg, lecz one stworzyły nadzieję i dały obietnicę, że dokładnie w chwili, gdy bohater ma pętlę na szyi, nagle, i w majestacie Boga, znikąd pada strzał i przerywa sznur. Bohater kopie mężczyznę obok, a reszta tłumu - tchórze - wskakuje na siodła i odjeżdża za wzgórza. Wszyscy w kinie podskakują, krzyczą, klaszczą i ściskają się jak na meczu piłki nożnej. Łzy spływają mi po

159

twarzy, ale nie szkodzi, bo wiele policzków, dorosłych mężczyzn też, łśni od łez. Przypomniałem sobie radość takich chwil, przypomniałem sobie, że czułem się, jakby wypalały mi dziurę w piersi. Gdzie byli bohaterowie, kule, pierzchający tłum, szczęśliwe zakończenia, które sprawiały, że wychodziliśmy z ciemnych kinowych korytarzy z policzkami zaróżowionymi z radości, poklepując się po plecach, radując się, że nasz człowiek wygrał, że Bóg był z nim, że Bóg nie zostawił go samego w potrzebie, że świat niezłomnie funkcjonuje tak, jak oczekiwaliśmy? Czegoś zabrakło na stadionie, czegoś, na czym już nie mogliśmy polegać. Straciłem ufność w założenie, że dobrym ludziom przydarzają się dobre rzeczy, a poza tym transmitowana egzekucja

ustaza Raszida spowodowała we mnie jeszcze jedną, bardziej trwałą zmianę, która utrzymała się długo, jeszcze w latach męskich - swoistą cichą panikę, jakby w każdej chwili ktoś miał spod moich stóp wyciągnąć dywanik. Po śmierci ustaza Raszida pozbyłem się złudzeń, że mnie albo babę, albo mamę nie dosięgnie szaleństwo, które ogarnęło Narodowy Stadion Koszykówki.

Z początku myślałem, że obudziłem się bardzo wcześnie, bo światło z mojego okna skrzyło się jak wczesnoporanne i w domu nikogo nie słyszałem. Wysikałem się, bawiąc się strumieniem moczu i utworzoną przez niego krystaliczną pianką. Poszedłem zobaczyć na wielkim zegarze w holu, która jest godzina. Jedenasta trzydzieści. Poczulem ogromne przerażenie na myśl, że mama i baba wyjechali beze mnie. Ich drzwi były szeroko otwarte. Widziałem przez nie ich postacie zakopane w pościeli. Zasłony były rozsunięte, ale okno zamknięte. Jeszcze nigdy nie spali o tej porze. Chciałem powiedzieć „Pobudka, śpiochy”, ale nie powiedziałem. Wydawało mi się, że czuję dobiegający z pokoju dziwny zapach. Wielkie lustro na toaletce mamy też było zasłonięte białym prześcieradłem, a jej małe lusterko podręczne leżało nieme twarzą do dołu. Zastanowiłem się, o co chodzi z tym chowaniem luster.

Poszedłem do kuchni i siadłem przy stole. Dochodziło południe. Czy oni kiedykolwiek wstaną? A jeśli oboje umarli we śnie? Wyobraziłem sobie swoje życie bez nich i na to wyobrażenie poczułem w trzewiach trzepot podniecenia. Chociaż tego nie rozumiałem, nigdy się nie ośmieliłem do tego przyznać, nawet bym nie umiał, ale często mi się to zdarzało. Fantazjowałem, że tracę tych, których kocham najbardziej:

wyobrażałem sobie ich pogrzeb, żałobników, siebie jako samotną, osieroconą postać w czerni. Postanowiłem sprawdzić, czy żyją.

Wszedłem do ich sypialni. Wstrząsnęło mnie, że unoszący się tam zapach jest tak straszliwy. Przypominał mi odór psa, którego kiedyś znaleźliśmy z chłopcami w drodze ze szkoły - leżał zdechły, a nad jego wzdętym brzuchem krążyły bzyczące muchy. Nagle zobaczyłem, jak plecy mamy unoszą się i opadają w rytm oddechu. Baba leżał obok niej całkowicie zakryty kołdrą.

161

Znowu siadłem przy stole kuchennym. Po kilku chwilach usłyszałem, jak jedno z nich wchodzi do łazienki, potem szum wody w toalecie i syk rezerwuaru. Kiedy usłyszałem, że drzwi sypialni się otwierają, podniosłem stojące obok krzesło i je opuściłem. Miałem nadzieję, że to baba. Ale weszła mama, mrużąc oczy przed światłem.

- Dzień dobry - powiedziała. Ziewając, otworzyła lodówkę. Przytknęła do ust butelkę z wodą, a ja patrzyłem, jak z każdym łykiem płyn wypełnia jej gardło. Wzięła głęboki oddech i patrząc w sufit, powiedziała:

- Przetrwaliśmy to szaleństwo.

- Baba ciągle śpi?

Kiwnęła głową i pocałowała mnie w czoło. Ja nie pocałowałem jej w rękę. Napełniła wodą dzbanek na herbatę i kilka razy skrzesała iskrę, zanim palnik się zapalił.

- Jest bardzo zmęczony - ziewnęła. - Przegadaliśmy prawie całą noc, zasnęliśmy dopiero o brzasku.

- O czym rozmawialiście?

- O niczym.

- Gdzie on był?

- Wyjeżdżał w interesach.

Poczułem, jak gardło zaciska mi się z gniewu.

- Kiedy wstanie?

- Jak wstanie, to wstanie.

Poczułem, jak pęd różnych spraw zaczyna fikać koziółki w mojej głowie, aż usłyszałem własny krzyk.

- Kiedy wstanie?!

Nagle uleciał ze mnie cały oddech, wyssany przez świat, w którym nie było żadnego powietrza. Odrzucono mnie. Wbiłem paznokcie w drewnianą powierzchnię stołu.

- O co chodzi? Uspokój się. Oddychaj. Spójrz na mnie, spójrz na mnie. Właśnie. Patrz na mnie. Już koniec. Wszystko dobrze. Oddychaj, habibi, oddychaj.

Nalała wody do szklanki i kazała mi wypić.

- Zawsze kłamiesz. Nie jestem dzieckiem, a ty zawsze kłamiesz.

- Kiedy spojrzałem na nią, nie była zła. Wyglądała na zmartwioną i czułą. - Nawet mnie nie proś, żebym znowu ćwiczył gamy. Zabili ustaza Raszida. Baba też nie żyje? - Wyglądała na zdumioną moim

162

pytaniem. - Czy dlatego nie mogę go zobaczyć? Zaczął gnić, tak?

Dlatego tak śmierdzi w waszym pokoju?

- Nie, nie. - Nagle westchnęła i powiedziała: - Zaczekaj tutaj, zaraz

wrócę.

Po krótkim czasie usłyszałem jej wołanie:

- Sluma, chodź, ojciec chce się z tobą widzieć.

Poszedłem do niej i stanąłem w progu. Od razu się zdenerwowałem, bo zaciągnęła zasłony i w pokoju zrobiło się ciemno jak w nocy. Odór śmierci był nie do zniesienia.

- Wejdz - powiedziała.

Czułem się, jakbym wchodził do morza. Jedyne światło dobiegało zza moich pleców i padało na podłogę.

- Zamknij za sobą drzwi - poleciła.

Ciemności zgęstniały. Ogromne francuskie aksamitne zasłony skutecznie oddzielały pokój od światła dziennego.

- Gdzie jesteście? - spytałem.

- Tutaj - odrzekła.

Baba, jeśli tam był, jeśli żył, milczał jak głaz.

- Gdzie baba? - chciałem włączyć światło.

- Tu jestem - odrzekł. Jego głos mnie wystraszył. Był głęboki, niski, zniekształcony przez zęby i zatkany nos. Ale najbardziej przeraziło mnie to, że go w nim rozpoznałem. To był baba, baba, który już nie był babą, może nawet, pomyślałem zanurzony w swoim strachu i zmieszaniu, baba, który już nie żył.

- Dlaczego nie mogę go zobaczyć? - spytałem. Strach nakłaniał mnie, bym włączył światło albo rozsunął zasłony.

- Możesz, habibi - powiedział. - Ale nie teraz. Może jutro. - Nuta żalu rozdzierała jego głos.

- A czemu nie teraz?

- Bo babę straszliwie boli głowa i światło mu dokucza - wyjaśniła szybko mama. Wiedziałem, że kłamie.

- Dokąd pojechałeś, baba?

- Nie męcz ojca tyloma pytaniami - rzuciła. - Mówiłam, że boli go głowa.

Po kilku sekundach spędzonych w ciemności chłodne, otwarte dłonie mamy spadły na moje oczy i usta. Odwróciła mnie i wypchnęła z sypialni.

163

Zabrała mnie do kuchni.

- Widzisz? Ojcu nic nie jest. - Położyła mi dłoń na policzku. - Idź się pobawić w ogrodzie, habibi - i uśmiechnęła się, jakbym zrobił coś dobrego, jakbym właśnie odegrał na pianinie dla jej gości jakąś jej ulubioną piosenkę, coś Abd al-Wahhaba albo Farida al-Atrasza.

Południowe słońce stało pionowo nad ziemią. Kiedy tylko padło na moją głowę, poczułem jego napór. Wątpliwość, czy mężczyzna w łóżku baby jest babą, też na mnie napierała, i nie umiałem się jej pozbyć.

„Ależ oczywiście, że to baba”.

„Skąd wiesz?”

„Bo tam był i bo twoja mama tak mówi”.

„Ale wiesz, jak ona kłamie”.

„Nie mów tak. Nie mówi prawdy, ale robi to tylko dla twojego dobra”.

W cieniu pod drzewami obszedłem dom. Kiedy dotarłem do okna

ich sypialni, zobaczyłem, że zasłony są odsunięte. „Ale przecież światło mu przeszkadza” - usłyszałem swoje myśli. Nie mogłem zajrzeć do środka, bo światło odbijało się w szybie. Podeszedłem bliżej, osłoniłem dłońmi oczy i zobaczyłem nagiego mężczyznę siedzącego na łóżku. Przez jego plecy biegły ciemne, połyskliwe linie, z niektórych sączyła się krew. Nagle odwrócił się do mnie. Odrzuciło mnie na widok jego straszliwej twarzy. Spadłem pod drzewo klejowe. Oczy miał zamknięte, pełne powietrza albo wody, albo krwi, jak rozcięte zgniłe pomidory, dolna warga była gruba i sina jak bakłazan. Usłyszałem, jak krzyczy straszliwym, bulgotliwym głosem: „Nadźwa, Nadźwa, zaciągnij zasłony”. Mama pojawiła się przy oknie. Patrzyła na mnie przez chwilę, serce mi łomotało. Wciąż leżałem na ziemi, dysząc ciężko - potem jednym ruchem zaciągnęła szczelnie zasłony.

„Widzisz?” - wyszeptałem do siebie. - „To nie jest baba”. Wbiegłem do domu. Stałem pod drzwiami ich sypialni. Zapukałem.

- Kto tam jest?! - wrzasnąłem głosem pełnym strachu. Nie odpowiedzieli. - Jeśli mi nie powiecie, przysięgam, że otworzę drzwi - dodałem i pchnąłem drzwi.

Podbiegłem do zasłon i je rozsunałem. Nagi potwór znowu leżał pod kołdrą, udając, że śpi, udając babę. A mama siedziała obok niego na łóżku, patrząc na mnie. Wydawała się niemal przerażona. Chciałem

164

jej powiedzieć: „Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze”. Ale tylko otworzyłem okno. Czułem, że dzięki temu jakimś sposobem staniemy się, mama i ja, bezpieczniejsi. Świeże powietrze trochę przemyło pokój.

- Baba nie chce, żebyś go widział w takim stanie - powiedziała
mama.

Nagle postać pod kołdrą siadła na skraju łóżka, plecami do mnie, zawijając ciało w białe prześcieradło poplamione cienkimi smugami krwi. Powoli zacząłem go rozpoznawać: jego faliste czarne włosy, skromne wzniesienie łopatek, kark, który masowałem wiele razy, a dużo więcej razy wtulałem w niego twarz, by go pocałować i połaskotać go furknięciem ust, które zawsze doprowadzało go do śmiechu. Zadławiły mnie łzy.

- Baba? - próbowałem powiedzieć.

Drgnął.

- Zabierz go. Proszę.

- Teraz to niedobrze. Widział cię.

- Baba?

- Tak - warknął, jakby mówienie sprawiało mu straszliwą trudność.

- Zabierz go, będzie miał koszmary.

- Prawie nigdy nie mam koszmarów.

Po kilku sekundach, w trakcie których myślałem, że albo wyjdę, albo świat się zatrzyma, baba przemówił.

- Oczy mi nie pracują jak należy. Jestem... jestem chory. - Potem potrząsnął głową i machnął ręką za plecami. Pomyślałem, żeby podbiec i pocałować go nieskończoną ilość razy. - Nadżwa - powiedział, a jego gest wreszcie nabrał sensu - błagam, zabierz go.

Później przyszedł Musa. Mama spytała, gdzie był i dlaczego nie powiedział przed wyjściem. Wyjaśnił, że przyszło mu do głowy, że ona i baba muszą trochę pobyć sami po takim traumatycz-

nym doświadczeniu.

- Powiedziałeś Sulejmanowi, że zajdziesz później. Nie mów, że zajdziesz później, jeśli nie masz takiego zamiaru. Jeszcze mi teraz brakuje zamartwiania się o ciebie.

- Jak tam, mistrzu? - spytał mnie Musa, a w jego bladym uśmiechu widać było wielki wysiłek.

„W naszym domu jest potwór” - chciałem powiedzieć. Ale Musa wydawał się nieobecny. Oczy mu skakały po pokoju, a potem ruszył w kierunku łazienki. Poszliśmy z mamą za nim. Pochylił się nad umywalką i zaczął myć ręce.

- Jak tam Bu Sulejman?

- Na szczęście wszystkie jego rany są powierzchowne - odparła mama. - Złamali mu żebro, ale nic więcej. Tylko że wygląda... - Pokręciła głową i westchnęła głęboko. Ja z jakiegoś powodu zrobiłem to samo. Pamiętałem, jak Siham naśladowała gesty swojego starego ojca. Musa zauważył prześcieradło zasłaniające lustro nad umywalką.

- Kazał mi zasłonić lustro. Nie chciał się widzieć. Nie chce też, żeby Sluma go widział. - Przeczesała mi palcami włosy, jakbym to wszystko wcześniej z nią omówił, jakbyśmy podzielili się szczegółami i przeanalizowali je od nowa tyle razy, że żadne z nas nie umiało określić, kto pierwszy powiedział drugiemu tę historię.

Musa nie miał już na sobie zakrwawionej koszuli, którą nosił wczoraj, ale wciąż dziwnie chętnie się mył, jakby właśnie wrócił z wielkiej wyprawy na pustynię. Odchylił kołnierzyk koszuli, odsłaniając grubą,

długą szyję. Namydlił twarz i brodę, uszy i szyję, potem splukał je zimną wodą. Odsunęliśmy się z mamą, żeby nas nie zmoczył. Energicznie się wytarł, potem wyjął grzebień z tylnej kieszeni, nadał policzki i uczesał brodę. Kiedy skończył, popatrzył na nas przez chwilę, potem wyszedł. Zapukał dwukrotnie do drzwi baby.

- Bu Sulejman? - zawołał i otworzył drzwi na tyle szeroko, żeby wejść. Po czym zamknął je za sobą. Mama i ja staliśmy na zewnątrz. Słyszeliśmy wszystko, co Musa mówi, mówił głośno, jakby baba ogłuchł.

- Jak się czujesz? - spytał. Mama przyłożyła ucho do drzwi. - Dzięki Bogu, że nic ci nie grozi. Wyglądasz o wiele lepiej niż wczoraj. Szybko dojdiesz do siebie. - Potem baba musiał go o coś zapytać. - Nic się nie przejmuj. Nic im nie jest. Wszyscy rozumieją, nikt cię nie wini, zrobiłeś, co musiałeś. - Po chwili spytał: - Przynieść ci może wody? - i drzwi się otworzyły. Mama podskoczyła. Musa patrzył na nią chwilę, potem przecisnął się przez drzwi i zamknął je za sobą. Ruszyliśmy za nim do kuchni. Nalał wody do szklanki i wypił ją.

- Wie o Raszidzie?

- Nie mam pojęcia - odparła mama. - Ja mu nie mówiłam.

Umył szklankę, nalał do niej wody i poszedł z powrotem do baby, ale zaraz za progiem kuchni, jakby usłyszał wybuch balonu w pokoju obok, przystanął na chwilę, po czym ruszył dalej. Usłyszałem, jak puka dwukrotnie i znowu mówi głośno i pogodnie:

- Bu Sulejman?

Przez cały ten czas Musa nie patrzył mi w oczy na tyle długo, żebym

mu coś powiedział albo go o coś spytał. Jego ruchy były mechaniczne. Bardzo chciałem opisać mu, sekunda po sekundzie, co oglądaliśmy razem w telewizji. Pamiętałem, ile pocieszenia płynęło z tamtego opowiadania wszystkiego po raz drugi, kiedy on, mama i ja siedzieliśmy przy kuchennym stole zaraz po. Wiele szczegółów pominęliśmy, szczegółów, które zauważyłem i teraz się zastanawiałem, czy on też je widział, takie jak ta ciemna plama moczu, którą przeoczyła mama. Jak to, w jaki sposób ustaza Raszida szturchano delikatnie, by ruszył w górę drabiny, zwykłym dotknięciem łokcia, i jak mężczyzna na dole nagle stracił cierpliwość do ociągającego się skazańca. Nie mogłem się doczekać, nie mogłem się doczekać, aż omówimy to w tę i z powrotem, raz za razem, tak jak opisywaliśmy sceny swoich ulubionych

167

filmów. I jeszcze mężczyzna przechodzący przez Narodowy Stadion Koszykówki, pośród chaosu, spokojnie, z jednego rogu ekranu w drugi, ze zniszczoną czarną maszyną do pisania pod pachą, którą trzymał jak lalkę. Czy któreś z nich to zauważyło? Nie mogłem się doczekać, kiedy spytam Musę, dokąd jego zdaniem szedł ten mężczyzna, co zamierzał zrobić ze zniszczoną maszyną, i dlaczego wtedy i tam? Nie przyszło mi wówczas do głowy, że może to być maszyna Nasera, dowód zabezpieczony po pościgu.

Mama nalała wody do dzbanka na herbatę i postawiła go na palniku. Teraz kiedy baba był już w domu, poruszała się pewnie. Kiedy się na mnie obejrzała i spostrzegła, że na nią patrzę, uśmiechnęła się, podeszła i pocałowała mnie w policzek. Chociaż wyglądała na zmęczoną, twarz

miała różową, a oczy jej błyszczały.

- Niewiele brakowało. Teraz muszę się skupić na tobie. - Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, ale stwierdziłem, że też się do niej uśmiecham.

Usłyszeliśmy, jak ktoś wchodzi do łazienki i zamyka drzwi. Po kilku chwilach pojawił się Musa. Szedł w stronę kuchni, ściskając w rękę białe prześcieradło. Rzucił je na bok.

- Niech on zobaczy, jak naprawdę wygląda - powiedział. Dolna warga mu drżała, a łzy wypełniały oczy. Rozejrzał się, potem wyszedł. Mama spojrzała na mnie, jakbym wiedział, dlaczego Musa tak się zachowuje. Podążyła za nim, potem usłyszałem ich głosy w salonie. Stałem u progu.

- Nie mogę na niego patrzeć - powiedział Musa. - Zdrada w jego oczach... przepraszam, przepraszam... jego głos mnie pali, to jest gorsze niż śmierć... wybaczcie mi... to najgorszy dzień mojego życia.

Po długiej ciszy odezwała się mama:

- Jeszcze wczoraj byłeś gotów umrzeć za niego, a teraz żałujesz, że on nie umarł za ciebie.

- Nie spałem od dwóch dni...

Poczułem, że ktoś jest za mną na korytarzu. Odwróciłem się, ale nikogo nie zobaczyłem. Ściany długie i obwieszane tym samym wiecznym ptakiem, skubiącym tę samą wieczną gałązkę, na końcu zamknięte drzwi wahadłowe, zegar tykający monotonnie jak dwoje spierających się ludzi.

- Zabili studentów, którzy byli z nami najbliżej. Raszid nie żyje, a Bu Sulejman... Ludzie gadają, mówią o nim straszliwe rzeczy.

- Niech gadają. Gdyby się znaleźli w takiej sytuacji, pierwsi by go wydali.

- Raszid tego nie zrobił, Raszid nie. A jego żona, biedna kobieta, teraz musi ponieść konsekwencje.

- Niech Bóg jej to wynagrodzi.

- Nie wiem, co im odpowiadać, nie wiem, co mówić.

- Jedź do domu - zdecydowała mama nagle. - Czas, żebyś wrócił do ojczyzny.

- To jest moja ojczyzna. Spędziłem tu pół życia.

- Żyjesz jeszcze tylko dlatego, że to właśnie nie jest twoja ojczyzna.

- Tyle było nadziei, tyle nadziei. Trzy lata temu osiem tysięcy studentów w Bengazi i cztery tysiące w Trypolisie. Dwanaście tysięcy studentów wystąpiło w niespełna trzymilionowym niepiśmiennym kraju. Wtedy nam się nie udało. Trzy lata trwało, zanim nadzieja się odrodziła, i co? Zobaczyliśmy tylko, jak garstka ma odwagę poświęcić się dla mas. Jeden z nich, mój przyjaciel, Mohamed... - powiedział i zapłakał.

Głos mamy teraz także był pełen łez.

- Przestań, Musa, proszę. Módl się.

- On mnie pytał o wiadomości, czy wiem, gdzie są Bu Sulejman i Raszid. Nie miałem serca mu powiedzieć. Dzwonił stamtąd, zabarykadowany z innymi na uniwersytecie. Nie miałem serca mu powiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. - Potem ożywionym głosem, jakby obwiniał mamę, dodał: - Oni oddali życie za swój kraj.

Znowu mama odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

- Nie mówili w moim imieniu. Niech Bóg się zmiłuje nad ich duszami i wynagrodzi ich rodzinom, ale nie mówili w moim imieniu.

- I błagalnym tonem dodała: - Jeśli chcesz nam pomóc, spakuj torby i jedź do rodziny w Kairze.

Westchnął.

- Otrzymaaliśmy nakaz deportacji.

- Kiedy musicie wyjechać?

- Jutro. Ojciec jest wściekły. Wyjechał dzisiaj.

Znowu poczułem za sobą czyjąś obecność, tym razem towarzyszył jej stłumiony, wyczerpany oddech. Zanim zdołałem się odwrócić, za ramię chwyciła mnie dłoń i schowała mnie w luźnej tkaninie. Bez wahania objąłem tatę w pasie i znowu pochłonał mnie odór. Ścisnąłem,

169

a on się wzdrygnął. Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałem. Nagle zdałem sobie sprawę, że to moje imię. Kiedy próbowałem się odsunąć, żeby zobaczyć jego twarz, ścisnął mnie mocniej. Mama i Musa podeszli zobaczyć, co to za hałasy. Baba zwolnił trochę uścisk i już mogłem na niego spojrzeć. Jego powieki i usta zrobiły się większe, czerwiejsze i bardziej granatowe. Dostrzegłem też szczegóły, których wcześniej nie zauważyłem, i w pewien sposób były one bardziej zatrważające. Lewe oko miał całkowicie zamknięte, ale prawe tuż przy nosie było otwarte i czerwone jak krew. Sieć drobnych fioletowych żyłek pokrywała policzki i brodę. Na skroni widniało niewielkie oparzenie, żółto-czerwony krąg. Nie widziałem drugiej strony jego twarzy, ale

wyobrażałem sobie, że jest tam drugi do pary. Galabiję miał rozpiętą na piersi, a te same druciane włosy, za które kiedyś ciągnąłem, teraz sterczały całe i zdrowe.

- Dlaczego wstałeś? - spytała mama.

- To ciągle mój dom, prawda? - dolna warga, spuchnięta i sina, drżała i zniekształcała słowa.

- Chodź usiąść - wskazała na salon gościnny.

Ale on odszedł. A ja obok niego, obejmując go w pasie. Tykanie zegara było o wiele bardziej dziarskie niż nasz krok. Puściłem babę, podbiegłem do zegara. Otworzyłem szklane drzwiczki i zatrzymałem wahadło. On stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiłem, przechylony na jedną stronę. Podbiegłem do niego i kiedy go objąłem, znowu się wzdrygnął, zaciskając wokół mnie ramię. Przeszliśmy przez drzwi wahadłowe, zatrzymał się na chwilę, jakby czując ulgę, że jesteśmy już sami. Potem powiedział, cicho, jakby wyznawał sekret:

- Chodźmy do ogrodu.

Słońce miało ze dwie godziny do zachodu, świeciło łagodnie i pomarańczowo.

- Zabierz mnie na swój dach.

To także twój dach, pomyślałem. To nasz dach. I chociaż go trzymałem i szliśmy razem ramię w ramię, czułem się tak daleko od niego.

Ścisnąłem go odrobinę mocniej i podniosłem wzrok na jego obitą twarz w ciepłym, gasnącym świetle.

Zaczekałem, aż obiema stopami stanął na jednym stopniu, zanim przeszedłem na następny. I nie wiem dlaczego w trakcie jednej z na-

szych przerw powiedziałem „Dotrzemy tam krok po kroku” i na-

170

tychmiast poczułem nadzieję, że on nie odpowie, bo cokolwiek bym usłyszał, poczułbym się niezręcznie.

Całe życie moglibyśmy się tak wspinać, a ja nie miałbym nic przeciwko temu.

Dach przypomniał mi, że spaliliśmy jego książki.

- Kupimy ci nowe książki, baba.

Czas na demokrację wciąż leżał pod moim materacem. Kiedy dotarliśmy na górę, wysunąłem się spod jego ramienia, oparłem jego dłoń na ogrodzeniu i pobiegłem po nią. Po powrocie moje serce biło tak mocno, że ledwie mogłem mówić.

- Proszę - powiedziałem i kładąc jego ręce na książce, wyszeptałem:

- Tę uratowałem. Nie mów mamie ani Musie.

Przycisnął ją jedną ręką do piersi, drugą oparł się na moich ramionach i patrzyliśmy na morze. Baba wyciągał szyję. Potem usłyszałem, jak jego oddech się zmienia.

- Prawie go nie widzę - wymamrotał.

- Morze jest dziś spokojne - powiedziałem w nadziei, że zmienię temat. - Dobry dzień na pływanie, baba. Dobry dzień, żeby się położyć na plecach i unosić.

Na wodzie światło połyskiwało tak szybko, jak mewy gromadzące się wokół jedzenia, którego strzeże przed nimi zazdrosne morze.

Próbował spojrzeć na dom ustaza Raszida, ale mierzył za wysoko.

- Może pójdziemy popływać? - rzuciłem i znowu poczułem nadzie-

ję, że nie odpowie. Nagle się odwrócił i ja odwróciłem się wraz z nim, jak „dwie połówki jednej duszy, dwie stronicie jednej otwartej książki”.

- Chodźmy pod drzewa - powiedział.

Zeszliśmy na dół i podążaliśmy po wzorach, które niskie słońce rzucało przed nami. Zobaczyłem drabinę opierającą się o mur, tam gdzie ją zostawiłem po uczcie z owoców morwy. Puściłem babę i wspiąłem się na drabinę. W połowie wysokości spojrzałem w dół i zobaczyłem, jak opiera się o mur, trzymając się za żebra. Zacząłem szukać owoców. Skupiłem wzrok na małych ciemnych stworzeniach. Sunąłem na czworakach po wysokim murze, pokonując gałęzie, aż znalazłem koronę jagód, dojrzałych, czerwoczarnych od soku i wielkich jak chrząszcze. On siedział na ziemi, opierając się plecami o mur. Trzymał kamyk - kamyk bardzo podobny do tego, którym rzuciłem w Bahlula i który lądując na jego plecach, wymierzył niezły cios - i dziabnął nim

171

ziemię obok siebie. Kiedy zszedłem na dół, pokazałem mu jagody w skulonych dłoniach i powiedziałem:

- Owoce morwy, baba, morwy. Anioły wykradły je z nieba, żebyśmy mieli łatwiejsze życie. Są najśłodsze na świecie.

Wziąłem jedną i wetknąłem w jego opuchnięte wargi. Kiedy się nie poruszył, zachęciłem:

- Zjedz.

Poruszył zuchwą kilka razy, potem wypluł owoc na rękę. Nie pojmowałem. Zjadłem jedną i była równie smaczna jak zawsze.

- Nie lubisz ich? - spytałem.

Przez te zniekształcone wargi wyglądał obrzydliwie. Wyrzucił przezutą jagodę na piasek, wytarł dłoń w galabiję i wskazując palcem na małe okrągłe oparzenie na skroni, powiedział:

- Gasili tu papierosy. - Wciągnął powietrze. Spojrzałem na jagody w swoich dłoniach.

Przez następne dwa tygodnie baba przebywał głównie w swoim pokoju. A potem pewnego ranka obudziłem się i usłyszałem, jak się śmieje z mamą. Byli normalni, jakby nic się nie wydarzyło, ich lekkie głosy płynęły z miłością po naszym domu. Później usłyszałem, jak ona śpiewa sobie bezwiednie, tak jak śpiewała w kąpieli albo wieszając pranie na sznurkach, albo malując oczy przed lustrem, albo rysując w ogrodzie. Tym śpiewaniem zawsze przywodzącym mi na myśl ową zadumaną dziewczynkę, która wraca ze szkoły, przesuwa palcami po ścianie, jeszcze przed włoską kawiarnią, jeszcze przed babą, jeszcze przede mną i przed tym życiem. Ten śpiew mnie zaniepokoił. Od bardzo dawna nie słyszałem, jak tak śpiewa.

Po krótkim czasie moje drzwi się otworzyły i do środka wszedł baba. Udawałem, że śpię. Serce mi biło jak szalone, dudniąc poniżej uszu. Poczulem, że siada obok mnie na łóżku.

- Sluma - powiedział cicho, lepszym już głosem, prawie normalnym. Ponieważ nie zareagowałem, wstał i wyszedł z pokoju. Potem usłyszałem, jak mamy głos w kuchni wznosi się i opada.

Przez kilka minut więziłem samego siebie w pokoju, po czym wstałem i udałem się do łazienki. Kiedy stamtąd wyszedłem, nie wiedziałem, dokąd iść: czy do kuchni, gdzie słyszałem ich głosy

i brzęk sztućców stukających w talerze, czy z powrotem do siebie, żeby jeszcze pospać - może zdołałbym przespać cały dzień. Tak sobie pomyślałem.

- Sluma! - zawołała radośnie mama.

Siedzieli oboje przy kuchennym stole. Baba miał uśmiech na twarzy.

Od razu chciałem go spytać, dlaczego się uśmiecha, ale nie spytałem.

Otworzył ramiona.

173

- Chodź, Sluma - rzekł. Włosy miał uczesane i pachniał wodą kołońską. Musiał się wykapać; rany na jego plecach musiały się na tyle zaleczyć, że mógł się wykapać.

- Dziękuj Bogu, Sluma - powiedziała mama. - Baba czuje się dzisiaj o wiele lepiej.

Podziękowałem Bogu głośno, by pokazać, jak się cieszę. Uwolnił mnie ze swoich objęć i ujął moją twarz w dłonie. Ręce mu drżały, oczy miał prawie normalne. Spojrzałem w nie, ale trudno go było tam znaleźć.

Po śniadaniu mama zaczęła czytać mu gazetę. Czytała tylko wiadomości ze świata, a ilekroć pojawiała się nazwa naszego kraju albo imię Wodza, mamrotała je szybko. Kiedy przyłapał mnie, że mu się przyglądam, uśmiechnął się.

- Chyba dzisiaj porysuję - powiedziała mama, składając gazetę.

Baba spojrzał na mnie. Zacząłem się denerwować, czułem się spięty jak ktoś, kto zostaje sam z obcym w windzie.

- A ty co będziesz dzisiaj robił, Sulejmanie? - spytał.

Wzruszyłem ramionami.

Mama wróciła z kredkami w rękę. Pośrodku stołu stała misa z owocami. Wzięła jeden, obróciła go w dłoni, potem zdecydowała się na pomarańczę. Wyszła do ogrodu, mówiąc:

- Wrócę po krzesło i stolik. Tak, będzie mi potrzebny stolik. Och, jestem taka podekscytowana.

Baba i ja znowu zostaliśmy sami. Właśnie zaczerpnął oddechu, żeby coś powiedzieć, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Pobiegłem otworzyć. To był ustaz Dżafar.

- Witaj - usłyszałem za sobą babę.

Uścisnęli sobie dłonie. To była zupełnie najpierwsza wizyta u nas ustaza Dżafara.

- Cieszę się, że cię widzę na nogach.

Baba zaprowadził go do salonu, nie uśmiechając się, ale lekko rumieniąc. Kiedy włączył światło, dwukrotnie spojrzął na wielkie zdjęcie Wodza.

- Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc - powiedział nieprzytomnie.

Odwrócił się do mnie. - Przekaż matce, żeby przygotowała herbatę.

Mamę znalazłem przy stole i krześle w ogrodzie.

- Przyszedł ustaz Dżafar.

174

Jej twarz się rozjaśniła.

- Baba chce, żebyś zrobiła herbaty.

- Ależ oczywiście - powiedziała, zwawo ruszając do kuchni.

Ja poszedłem do siebie. Poczułem potrzebę, żeby posłuchać świata.

Wziąłem radio i położyłem się z nim na łóżku.

Siły rewolucyjne - to był głos Wodza - są w stanie, i mają do tego prawo, użyć terroru, by wyeliminować każdego, kto stanie przeciwko rewolucji. Teraz możemy naprawdę skończyć ze starym libijskim społeczeństwem i zbudować nowe, w którym elementy rewolucyjne pomogą sobie nawzajem w walce z wszelkimi ruchami antyrewolucyjnymi na uczelniach, w fabrykach i na ulicach.

Potem nastąpiły wiwaty tłumu, niepowstrzymane, tak głośne, że zamieniły się w falę hałasu, zatapiając wszystko, a ponieważ to się stało wszystkim i było bezsensowne, chciałem, żeby wrócił głos Wodza. Pokręciłem gałką kilka razy, ale ilekroć wracałem, znajdowałem potężny i pusty wiwat tłumu.

Zdecydowałem, że pójdę popływać. Włożyłem kąpielówki, chwyciłem płetwy i wybiegłem z domu. Mama wróciła już do ogrodu, rysowała swoją pomarańczę, śpiewając sobie. Zobaczyła mnie w kąpielówkach, z płetwami pod pachą.

- Popatrz najpierw - powiedziała, wstrzymując ołówek rysujący pomarańczę, dwukrotnie większą niż w rzeczywistości.

- Cześć - rzuciłem i poszedłem.

- Jak wrócisz, będę miała następną. Może z obraną skórką leżącą obok. Pamiętam, że widziałam taki obraz jakiegoś europejskiego artysty. Ci Europejczycy są bardzo interesujący, jeśli chodzi o owoce.

Ciekawe dlaczego - zażartowała, patrząc na swój rysunek.

Ziemia była gorąca. Zastanawiałem się, czy wrócić po sandały. Do morza miałem jeszcze spory kawałek. Ale wydawało mi się, że zatrzy-

manie impetu moich kroków wymaga większego wysiłku niż dalsza wędrówka. Rozważyłem, czy założyć pletwy, ale wtedy szedłbym wolno i niezręcznie jak gołąb. Staralem się trzymać jak najbliżej ścian domów, ale słońce stało pionowo, cień był wąski i słaby. Sprawniej mogłem się poruszać w słońcu. Szedłem jak owad, z łokciami podnie-

175

sionymi na wysokość uszu, plecami wygiętymi w łuk, stopami podwiniętymi w obronie przed gorącem. Skakałem szybko, jakby straszliwie chciało mi się siku. Kilka razy zatrzymałem się, żeby usiąść i dać stopom wytchnienie. Pocierałem je i dmuchałem na nie. Przyszedł mi do głowy most skwierczący nad ogniami piekielnymi, ten, po którym wszyscy musimy przejść w drodze do Raju. Trzymałem się morza jako mojego celu, mojego raj. Kiedy dotarłem do ulicy Gargaresz, szerokiej alei, która biegła wzdłuż linii brzegowej do centrum, widziałem, jak pomarszczone gorące powietrze faluje nad asfaltem. Przebiegłem ją, przebiegłem też przez piasek i zatrzymałem się dopiero na nasiąkniętych wodą płaskich piaskach na brzegu. Moje stopy wreszcie doznały rozkosznej ulgi. Niewielkie fale zwijały swoje białe pieniste grzbiety na turkusowej powierzchni morza, wiatru prawie nie było. Spojrzałem na suchy piasek za sobą i zastanowiłem się, jak wrócę.

Na końcu mola, gdzie woda była przejrzysta jak szkło, ktoś siedział, machając nogami w wodzie. Przez chwilę, zanim sobie przypomniałem, że wraz z matką przeniósł się do Bengazi, miałem nadzieję, że to Karim. Kiedy podszedłem bliżej, zdałem sobie sprawę, że to Bahlul, i niemal wybuchnąłem śmiechem. Wyglądał, jakby marzył. Nigdy nie

wyobrażałem sobie Bahlula, że tak siedzi w samotnej medytacji. Molo zaskrzypiało pod moimi stopami. Kiedy do niego dotarłem, musiałem mimowolnie zakasłać, a on się odwrócił, miał twarz zniekształconą strachem. Chyba zadygotał. Ta reakcja mnie zdenerwowała. Tupnąłem nogą w deski pomostu, warknąłem na niego „Wrr” i przypomniało mi się to tajemne poczucie władzy, którego doznałem, ganiając go po naszym ogrodzie, jak rzucałem kamieniami w jego plecy słyszałem, jak pociski spadają z satysfakcjonującym odgłosem, grzmoty, które powodowały, że ryczał nieludzko. Wstał, wydawało się, że zastanawia się nad ucieczką. Jak mógł czuć się uwięziony, mając za sobą całe to morze? Udawałem, że ruszam na niego. Odwrócił się na serio do morza i po krótkiej chwili wskoczył do wody. Było coś przesadzonego w tym skoku, jakby skakał z wielkiej wysokości. I dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego Bahlul nie zwodował swojej łódki, dlaczego chociaż uzbierał pieniądze i ją kupił, nigdy nie zaczął łowić ryb. Bahlul nie umiał pływać.

Słyszałem jego gwałtowne i beznadziejne pluski. Rzuciłem płetwy i pognałem na koniec mola. Wyciągnąłem do niego rękę. Chciałem

176

go uratować - i on też to wiedział, bo próbował płaszciami dostać się do mnie. Łykał wodę. Galabija wzdeła się wokół niego jak balon i udaremniała jego wysiłki. Przypomniałem sobie, że mama przestrzegła mnie przed skakaniem do wody na ratunek tonącemu. „Nigdy tego nie rób - mówiła. - Tonący tak bardzo pragnie przeżyć, że może cię pociągnąć za sobą”. Sięgałem jak najdalej, ale Bahlul tonął. Kiedy

już zrezygnowałem z ratowania, on poczuł przyływ sił. Wierzył nogami, rozpryskiwał wodę, aż zdołał chwycić jeden ze słupów mola. Wyciągnąłem rękę, ale napluł na nią, rozglądając się, jakby w poszukiwaniu ratunku ze strony innej osoby. Nikogo jednak nie było, nikogo prócz mnie. Nie wiem dlaczego, zupełnie nieświadomie, zacząłem nagle odpychać go nogą. Jego skołtunione włosy były szorstkie i mokre. Próbował się bronić, chwytając mnie za kostkę. To mnie jeszcze bardziej rozgniewało. Aby uwolnić kostkę, kopnąłem go w twarz. Krew trysnęła mu z nosa do wody. Słona morska woda jest dobra na rany, wiedziałem o tym doskonale. Zaczął krzyczeć tym swoim nieludzkim rykiem, teraz jeszcze głośniejszym. Znowu pchnąłem go w dół, żeby go uciszyć. Nagle, bez ostrzeżenia, jego opór ustał. Wyciągnąłem nogę z wody. Po ciszy, która wydawała się trwać wiecznie, Bahlul znowu wyskoczył, kaszląc i wymiotując, zanieczyszczając przejrzystą wodę. Znowu chwycił się słupa. Spojrzał na mnie ze strachem i oburzeniem. - Jak twój nos? - spytałem.

On się jednak nie odzywał, obejmował słup i chował się za nim. Zastanawiałem się, czy go aby nie przeprosić, ale wziąłem płetwy i odszedłem. Jeszcze nigdy nie bolało mnie tak serce z wielkiej, ogromnej tęsknoty za moim prawdziwym przyjacielem znajdującym się w odległym o dwanaście godzin drogi Bengazi.

Następne dni wydawały się zduszone przerażeniem. Cokolwiek powiedziano, wydawało się pozbawione znaczenia i puste. Często czułem, jak rośnie we mnie cichy gniew, i słyszałem, jak trzaskają za mną drzwi, chociaż zamierzałem je po prostu zamknąć.

Pierwsze kilka razy jak to się stało, poszedłem tam, gdzie akurat byli mama i baba, i patrzyłem na nich, oczekując, że któreś z nich mnie zruka, ale nic podobnego. Kiedy pomagałem mamie nakryć do obiadu, z trzaskiem upuściłem talerze. I często rzucałem butem o ścianę, jeśli nie chciały się rozplątać sznurówki. Wyczuwałem cichą, nerwową falę, jak marszczy się wokół tych nagłych wybuchów i daje mi wrażenie, że mój wpływ na ten świat nie jest tak nic nieznaczący, jak sądziłem. I czasami, kiedy byłem w łazience i spuszczałem wodę, słyszałem przez syf napelniającego się rezerwuaru wołający mnie głos mamy. Początkowo kilka razy wychodziłem w nerwowym pośpiechu, krzyżąc:

- Mama?

Cisza wydawała się bezkresna, zanim usłyszałem jej głos pytający:

- Tak? Coś się stało?

Musa nie przychodził. Raz zadzwonił, na linii trzeszczało.

- Sluma? - usłyszałem. - Gdzie mama? - To było niepodobne do niego, taka zwięzłość. Mama popędziła do telefonu, potem strzeliła palcami i wskazała długopis i notes. Podałem jej. Zapisała coś szybko.

- To dobra szkoła? - spytała. - Na pewno?

Potem już nie dzwonił.

Pewnej wyjątkowo upalnej nocy wybudziłem się ze złego snu. Nie było żadnej historii, tylko głębokie drżące przerażenie gorejące w klatce piersiowej. Zobaczyłem blade światło dobiegające z salonu. Nie słysza-

178

łem, żeby baba chrapał. Mama leżała wyciągnięta na kanapie, pościel zrzucona, okno szeroko otwarte. Na dworze świerszcz przesywał noc.

Obok niej nikt by się już nie zmieścił. Stałem chwilę, rozważając, co zrobić, potem położyłem się na niej. Objąłem ją. Obudziła się gwałtownie.

- Na miłość boską - wymamrotała szybko, przykładając rękę do piersi i patrząc na mnie spod zmrużonych powiek. - Sulejman? Co ty tu robisz? Miałeś zły sen?

Odprowadziła mnie za rękę do mojego pokoju, włączyła lampkę nocną, pocałowała mnie w czoło i wyszła.

Już nie chorowała. Już nie przychodziła do mojego łóżka, żeby szepnąć swoje tajemne historie z przeszłości. Wydawała się całkiem szczęśliwa z babą. Czasami rankiem słyszałem nawet, jak chichoczą razem, ale na mój widok przestawali. Ich nowe wspólne życie, w którym baba nigdy nie wychodził z domu, a mama nie chorowała, oddaliło mnie od nich i zacząłem po raz pierwszy w życiu tęsknić za tym, żeby lato się skończyło i żeby znowu zaczęła się szkoła.

Pewnej nocy obudził mnie dziwny jęk. Poszedłem do ich pokoju i znowu zobaczyłem babę na niej. Ale tym razem było inaczej. Mama nie leżała pod spodem bezwładnie, z twarzą odwróconą, z jedną ręką dziwnie wyprostowaną u boku i dłonią skierowaną do nieba.

Nie odrywała od niego oczu, objęła go nogami, a jęczał nie tylko on; wyglądało na to, że dzielą ból. Tym razem nie zastanawiałem się, czy mam ingerować. Wydawało się, że nic ich nie może powstrzymać.

Chciałem wejść krok dalej do pokoju. Może jeśli mnie zobaczą, to przestaną, zastanawiałem się. Chciałem, żeby przestali, albo chociaż przerwali na chwilę.

Wybiegłem na dwór przez kuchnię, zatrzasnąwszy za sobą drzwi,

i dalej na dach. Ukryłem się w miejscu po swoim warsztacie. Niebo było pełne gwiazd, widziałem, jak się zamazują za moimi łzami, ale nie było księżyca. Jestem bezpieczny, myślałem, nie zobaczą mnie, nawet jeśli przyjdą na górę. Czekałem, oddychając jak najciszej, obejmując kolana i słony zapach ich skóry. Przypomniałem sobie słowa Szajcha Mustafy: „Te ciała są naszym pojazdem, sczezną, a my dalej będziemy trwać”. Spodziewałem się, że baba, półnagi, obwiązany ręcznikiem w pasie, wespnie się na dach, gniewnie wołając moje imię, a za nim mama, błagająca, żeby nie robił mi krzywdy. Ale nikt nie przyszedł.

179

Wytarłem buzię i ruszyłem z powrotem. Nagle poczułem lęk przed ciemnością i pobiegłem, pobiegłem, czekając, aż jakaś ręka sięgnie po mnie i chwyci mnie za kark. Wśliznąłem się do kuchni, po czym na palcach poszedłem do siebie. U nich światło jeszcze było włączone, ciągle nie spali, rozmawiali, omawiając coś szeptem, zwłaszcza mama potrafiła szeptać wyjątkowo cicho, nie wściekle, lecz niecierpliwie, niemal z podnieceniem. Trzasnąłem drzwiami za sobą.

Po kilku chwilach weszła mama i patrzyła na mnie w słabym świetle z ich pokoju. Też na nią patrzyłem, nie udając, że śpię, niczego nie udając. Zamknęła za sobą drzwi i wróciła do baby. Usłyszałem, jak wracają do swojej szeptanej rozmowy.

Następnego ranka poczułem ciężar mamy siadającej obok mnie na łóżku, potem jej palce w swoich włosach.

- Wyjeżdżasz - oznajmiła. - Do Kairu. Odwiedzisz Musę i jego rodzinę, zobaczysz piramidy.

- Ale Musa jest tutaj - powiedziałem głosem starszym od snu.

- Wyjechał kilka tygodni temu. Mam ci przekazać, że nie może się doczekać twojego przyjazdu do Kairu.

Odwrociłem się od niej.

- O co chodzi? Nie chcesz zobaczyć piramid? Są o wiele większe niż Leptis.

- Nie chcę jechać! - krzyknąłem.

Wszedł baba i mnie przytulił.

- Jedź, Sluma - rzucił.

- Wielu ludzi zrobiłoby wszystko, żeby zobaczyć piramidy - powiedziała mama.

- Nie chcę piramid.

- Ale zawsze chciałeś lecieć samolotem, prawda? - spytał baba.

Kiwnąłem głową.

- Ale niedługo zaczyna się szkoła.

Oboje spojrzeli na siebie, jakby zastanawiając się dokładnie, co powiedzieć.

- Spodoba ci się Kair - rzekł baba boleśnie zdławionym głosem.

Zawieźli mnie na lotnisko, spierając się, którą jechać: baba chciał wybrać trasę najkrótszą, mama nalegała, żeby przejechać przez plac Męczenników. Mówiła, że chce tam coś kupić. Musiałem siedzieć obok niego, ona zajęła miejsce z tyłu. Jedyne raz, kiedy siedzieliśmy właśnie tak, to cztery lata temu, kiedy miałem pięć lat. Wieźli mnie wtedy ze szpitala. Miałem na sobie białą galabiję, z przodu, w okolicy krocza poplamioną jodyną na bordowo. Trzymałem nogi rozchylone,

żeby mniej bolało, a siedziałem z przodu, bo tam było więcej miejsca na nogi, mama z tyłu, klaszcząc, śpiewając jak zwykle piosenki. Pamiętam, jak dygotałem od wstrząsu, od przemocy.

Na placu Męczenników było gęsto od ludzi. Słońce szerokie jak świat. Baba zaparkował z boku.

- Za chwilę wrócę - rzuciła mama, przecięła plac i zniknęła.

Baba zaciskał ręce na kierownicy. Wyłączył silnik, ale kierunkowskaz ciągle tykał. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się przed siebie.

Ja patrzyłem na plac, myśląc o Naserze. Przypomniałem sobie, co powiedział jego ojciec w naszym domu: „Ludzie opowiadali, że widzieli młodego człowieka, jak biegł przez plac z maszyną do pisania pod pachą, a gonila go grupa ludzi z Komitetu Rewolucyjnego”.

Wyobraziłem go sobie z maszyną do pisania, czarną i lśniącą, tą samą, którą miał pod pachą, kiedy go zobaczyłem, jak wchodził za babą do ich „siedziby”, ich tajnego lokalu na placu, biegnącego boso, z oczami otwartymi szeroko ze strachu, koszulą wzdętą powietrzem, wahającego się przez chwilę - „Tędy? Nie, tędy?” - aż skręca na targ w nadziei, że zniknie wśród tłumu, kiedy jeden z jego prześladowców chwyta go za koszulę, a on skręca za szybko i maszyna leci na jedną stronę, ta sama maszyna, na której na prośbę baby próbował mnie uczyć maszy-

181

nopisania, ręce ma teraz nad głową w oczekiwaniu, jak ustaz Raszid chwilę przed tym, jak go kopnięto - myślę teraz, że może oczekiwanie to źródło, korzenie wszelkiego nieszczęścia - krzyżąc nieludzko, tak jak ten żebrak BahluL padając na ziemię, pozostali prześladowcy do-

padają go, kopią prawomocnie, teraz wrzeszczy, wołając swojego ojca, żeby przyszedł i go uratował, bo tego wszystkiego za dużo, za szybko, błaga, płacze, w pewnym momencie widać jego twarz przez gąszcz nóg, linię krwi nad okiem, dolna warga gruba jak bakłażan, tak jak miał baba. Dlaczego widok krwi budzi w nas taki szacunek? Dlaczego słońce jest takie niemiłosierne?

- Gdzie jest Naser? - spytałem głośno.

Baba zdawał się wybudzać z rozmyślań.

- Gdzie jest Naser? - wrzasnąłem do niego. - Też go zabili?

Wpatrywał się we mnie przerażonym wzrokiem. Zastanawiałem się, czy może klasnąć mu przed nosem, ale tylko padłem mu w ramiona. Jego ciało ustąpiło. Trzymał mnie położony na mnie. Przypomniałem sobie, jak ustaz Raszid trzymał tak Karima w autobusie powrotnym z Leptis, pięknego Leptis.

- Nie chcę wyjeżdżać, nie chcę oglądać piramid - próbowałem powiedzieć, ale mój głos mamrotał w jego ubraniu.

Potem usłyszałem, jak z tyłu otwierają się drzwi, ciężar ciała mamy przechylił samochód. Czekwała w milczeniu, nie pytając „O co chodzi? O co chodzi?”. W końcu powiedziała: „Jedźmy”, a wtedy baba i ja się rozdzieliliśmy. Włączył silnik. Rozległ się miły odgłos, miarowy, pokrzepiający szum wolnych obrotów. Przełączył kierunkowskaz w drugą stronę i ruszył. Kiedy wyjechał na prostą, kierunkowskaz posłusznie się wyłączył. Obejrzałem się na mamę, miała na kolanach torbę pełną sezamowych pałeczek, oczy zasłonięte ciemnymi okularami.

Lotnisko było puste. Denerwowałem się tak samo mocno jak pierw-

szego dnia w szkole. Pomarańczowe plastikowe krzeselka stały w rzędach niczym skauci na marmurowej posadzce. Zauważyłem tylko, że ona nie ma ze sobą torby, kiedy baba podnosił moją ciężką walizkę na taśmociąg przy odprawie, i pamiętam, że powiedziała: „Jedziesz w podróż”. „Jedziesz”, nie „jedziemy”. Zbeształem siebie, że nie zauważyłem tego szczegółu wcześniej, kiedy jeszcze mogłem chwycić się framugi drzwi, furtki do ogrodu, kiedy mogłem uciec nad morze.

182

Baba był teraz zajęty rozmową z kobietą w mundurze. Miała w klapie broszkę w kształcie skrzydeł. Wskazał ją palcem, potem wsadził jej pieniądze do ręki. Kiwnęła głową, dotknęła jego ramienia i odeszła, uśmiechając się cały czas. Potem on wsadził mi dłonie pod pachy i podniósł mnie, żeby mnie uściskać.

- Przyjedziemy do ciebie - powiedział, ściskając mnie za mocno.

Mama, stojąc za nim, jedną ręką zasłaniała usta, oczy miała ukryte za ciemnymi okularami.

- Niedługo wrócisz do domu - kiwała głową, jakby sama chciała siebie o tym przekonać.

- Proszę, nie płacz, Sluma - mówił baba.

Potem zostałem zabrany przez stewardesę, która wydawała się wiedzieć wszystko. Obejrzałem się i zobaczyłem mamę w ramionach baby. Oto dwoje ludzi, których kochałem najbardziej, dwoje ludzi, co do których byłem pewien, że zrobią wszystko, żeby nie ujawnić mi prawdy, tuliło się do siebie na pustym lotnisku, znikając. Czy teraz właśnie powinienem pomachać? Ale już ich nie widziałem. W którą-

kolwiek stronę się obróciłem, ich nie było.

Prawdy nie dało się ukrywać, była sprytna, przebiegła, przesączała się własnym, obojętnym tempem i tylko zadziwiała, tym że taka znajoma, taka wiadoma była od zawsze. Wiedziałem już, że wyjeżdżam do Kairu, że nazwa szkoły, którą ona zapisała, trzymając słuchawkę przy uchu ramieniem, była moją przyszłą szkołą, wiedziałem to, zanim zauważyłem, że ona nie przyniosła torby na lotnisko, wiedziałem, kiedy krzychałem „Nie chcę wyjeżdżać, nie chcę oglądać piramid” w brzuch baby, kiedy mama kupowała pałeczki sezamowe, które miały mi osłodzić usta, złagodzić gorycz, oszustwem wywabić mnie z żałoby. Wiedziałem i nie pobiegłem nad morze. A kiedy w końcu zostałem doprowadzony do swojego fotela w samolocie, samolocie, który do tej pory wyobrażałem sobie tak, że wsiadam do niego z ojcem, dwaj mężczyźni odziani w garnitury, zajęci światem, ciężcy jak wszyscy mężczyźni, wiedziałem, że już nigdy nie zobaczę swojego ojca, że on umrze, podczas gdy ja zadomowię się sam w obcym kraju, żeby dojrzewać z dala od szaleństwa.

Łoskot i grzmot startującego samolotu przeraził mnie, zanim się

rozejrzałem i zobaczyłem, jak spokojni są wszyscy pasażerowie. Stewardesa, która zabrała mnie od mamy i przyprowadziła na moje miejsce, w której delikatną dłoń baba wcisnął zwitek dinarów, wciąż się do mnie uśmiechała i przynosiła mi słodycze z samolotami na papierkach. Chmury były bawełniane, błękit fantastyczny, świat poniżej wyglądał jak kartka z atlasu na żywo, z samochodami jak robaczki,

ciche okna odbijały światło. Libia była linią wybrzeża, po jednej stronie

nieprzejeđnaną żółtą pustynią rozciągającą się w Afrykę, po drugiej usianym pianą i marszczącym się błękitem mojego śródziemnomorskiego dzieciństwa.

Kiedy wylądowaliśmy na międzynarodowym lotnisku w Kairze, moja stewardesa wzięła mnie za rękę. Panie pracujące w sklepie wolnocłowym zebrały się wokół mnie, całowały, a potem ścierały szminke z moich policzków. Każda pachniała inaczej, żadna jak mama. Wypełniłem kieszenie kolejnymi słodyczami zapakowanymi w samoloty. Serce mi skoczyło, kiedy zobaczyłem Musę, jego głowę nad tłumem, ręce machające w półksiężycu. Objąłem go i musiałem się powstrzymać, żeby go nie poprosić o wysłanie mnie z powrotem. Wymienił uścisk dłoni z moją stewardesą, kłaniając się nieśmiało. Pocałowała mnie na pożegnanie.

- Kiedy będzie wracał? - spytała.

Musa się zawahał.

- Niedługo - rzekł wreszcie. - Niedługo, jak Bóg da.

Kair był zielony, zatłoczony, pełen turbanów rolników, kobiet w krótkich francuskich sukienkach. Bezkresny labirynt poprzetykany samochodami, wielkie oczy zdenerwowanych osłów i krzyk sprzedawców ulicznych: natarczywych, niestrudzonych i złowrogo rozentuzjasmowanych. Natychmiast polubiłem to miasto. Musa wiedział o tym doskonale, całą drogę z lotniska opowiadał mi rozmaite historie o kolejnych dzielnicach, które mijaliśmy; zatrzymaliśmy się przy słynnych slumsach pod wzgórzem Mukattam, wrzucił luz, a ja się dziwiłem, że samochód dalej podjeżdżał. To jedyne miejsce na świecie,

powiedział, gdzie przedmioty ciągnie w górę na przekór grawitacji.

Potem zatrzymał się przy straganie z sokami owocowymi i kupił mi wielką szklanę soku z trzciny cukrowej.

Sędzia Jasin objął bezpośrednie dowództwo nad moimi sprawami.

A krótko po moim przybyciu Musa dostał pracę w jednym z nowych

184

kamieniołomów, które orały egipską pustynię w poszukiwaniu żwiru i piasku. Praca wydawała się mu odpowiadać: kamień, wielkie ciągniki, terenówki, monumentalna skala ziemi. Dzięki tej pracy mógł się też trzymać z dala od ojcowskich objęć. Co kilka tygodni przyjeżdżał do domu na tygodniowy wypoczynek, z zapyłonymi włosami, wysuszonymi dłońmi, szyją zbrązowiałą od słońca, i przyjmował rozczarowane spojrzenia sędziego Jasina, zasmuconego, że zamiast podążać jego śladami, jego najstarszy syn trwoni czas jako brygadzysta w kamieniołomie.

Ja spędzałem życie głównie z jego rodzicami. Jego ojcu, poważnemu sędziemu, podobało się, że z taką obsesją podchodzę do nauki, i nie szczędził żadnych wydatków ani wysiłków, by mnie wspierać. Był miły, wielkoduszny i często wspominał czasy spędzone w Libii. Domyślałem się, że próbuje powiedzieć mi komplement. Ale Libia coraz bardziej znikwała w tle, zaczęła znaczyć tak niewiele. Wszystko, co mnie z nią wiązało, to coraz rzadsze rozmowy telefoniczne z rodzicami. Mówiłem z coraz silniejszym kairskim akcentem i przestałem starać się go poprawiać, kiedy dzwoniłem do domu. Zwłaszcza babie się to nie podobało. „Stajesz się ordynarny”.

Dość gładko wtopiłem się w swoją nową egipską egzystencję. Pomógł mi w tym młody wiek i sędzia. Jego szeroki krąg przyjaciół i współpracowników stał się mój i tamci starzy egipscy sędziowie o wilgotnych ustach, co to się spotykali na jego tarasie w Trypolisie, całe wieki temu, niedaleko naszego domu, w dzielnicy, którą sędzia z lubością nazywał Gorgi Populi, patrzyli na mnie z wyjątkową tkliwością. W kraju pełnym zamkniętych drzwi te drzwi otworzyły się bez oporu, dzięki czemu mogłem się rozwijać i dorośleć.

Dziwne, jak bardzo się czułem uwolniony od Libii. Jeśli któryś z moich przyjaciół żartował sobie z mojego „beduińskiego pochodzenia” albo na temat naszej nieudolnej drużyny piłkarskiej, uśmiechałem się tylko ku ich uciesze, ale naprawdę nic nie czułem, nic z tego zapachu, który kiedyś doprowadzał mnie do płaczu po sześciu godzinach oglądania meczu szachowego, w którym Libijczyk przegrał z Koreańczykiem na Międzynarodowych Mistrzostwach Szachowych w Moskwie. Nacjonalizm jest cienki jak nitka, może dlatego wielu odnosi wrażenie, że trzeba go nerwowo strzec. Ani nie szukałem, ani nie unikałem Libijczyków mieszkających w Kairze. Nawet kiedy

185

wiedziałem, że ambasada ma na mnie teczkę. Byłem zarejestrowany jako „uciekinier”, ponieważ nie wróciłem odbyć służby wojskowej. Potem, kiedy stałem się za stary, żeby mnie powołano, a za młody, by doczekać się darowania win, mocą kolejnego dekretu miałem po ewentualnym powrocie odsłużyć taki sam okres w więzieniu. I podobnie jak na wszystkich Libijczyków, którzy nie wracają, padł na

mnie silny cień podejrzenia, spotęgowany jeszcze kolejnym dekretem, wydanym, gdy miałem lat czternaście, zapowiadającym, że wszystkie „zbląkane psy”, które odmówią powrotu, zostaną wytropione. Te dekreta stawały się coraz bardziej desperackie. Kolejny krok władz polegał na odmówieniu moim rodzicom wizej wyjazdowej, zostali zatrzymani jako zakładnicy i tak miało być, dopóki migający się od służby zbląkany pies nie wróci.

Dlaczego nasz kraj tęsknił za nami tak okrutnie? Co moglibyśmy mu dać, co jeszcze nie zostało nam zabrane?

Bardzo za nimi tęskniłem, za swoim pokojem, warsztatem na dachu, morzem, Karimem. A najbardziej tęskniłem za zapachem naszego domu. Raz, ale tylko raz, kiedy jeszcze byłem chłopcem, płakałem i krzyczałem, rzucając przedmiotami, tak jak robiłem kiedyś, żeby baba nie wyjeżdżał w swoje niekończące się podróże służbowe. Sędzia Jasin zareagował wspaniale. Zamknął po prostu drzwi do pokoju, który mi przydzielił w swoim domu, a później przysłał służącą ze szklanką zimnego soku trzciniowego. Schowałem buzię w ostry lawendowy zapach poduszki, oplakując to, co znajome: chowanie buzi w jej szyję, całowanie jego ręki.

Lekarstwo stało się moim zawodem. Obecnie jestem farmaceutą. Przyrządzaczem remediów. Mój związek z chorobą jest czysto recepturowy. Większość dni spędzam na stojąco, w białym fartuchu, za ladą w klimatyzowanej aptece w Kairze. To swoista ironia. Po tych wszystkich swoich marzeniach, żeby zostać historykiem sztuki jak ustaz Raszid, wybitnie zdolnym biznesmenem jak mój ojciec czy piani-

stą, zostałem aptekarzem w mieście, gdzie w którymkolwiek spojrzeć kierunku na którejkolwiek ulicy, zawsze można dostrzec co najmniej jeden błyszczący szyld z węzem owiniętym wokół kieliszka do martini.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że nawet na ten wybór najsilniej wpłynęła ona, to, co ona nazywała swoją chorobą i lekarstwem, bezbarwny

186

płyn dostarczany spod lady przez piekarza, wciąż nielegalny w Libii.

Czasami się zastanawiam, co teraz o niej myśli piekarz Madzdi.

Cierpię z powodu nieobecności, wszechobecnej nieobecności, jak sierota nie do końca pewna tego, czego jej brakuje, a co zyskuje przez tę narzuconą sobie stratę. Odpycha mnie na przykład i zaskakuje mój przesadzony sentymentalizm, kiedy żegnam się z ludźmi, z którymi nie jestem blisko, obiecywanie im niemożliwego ponownego spotkania.

Egipt nie zastąpił Libii. Jest natomiast ta próżnia, ta pustka, do której próbuję się dostać, jak ktoś przerażony ciemnością, szukający zapalki do zapalenia. Widzę to w innych, tę pustkę. Mój wyraz twarzy zmienia się nieustannie, jak wyraz twarzy prostytutki, która czeka w twoim wozie, gdy ty biegniesz przez ruchliwą ulicę kupić nową paczkę papierosów na noc. Kiedy idziesz z powrotem, zdzierając celofan, zanim ona cię dostrzeże, to dostrzegasz ją, chwilowo osadzoną w innej roli, siostry, żony albo przyjaciółki. Jakże chętnie i lekko stręczymy te swoje fałszywe osobowości. Oszukujemy świat, zdradzamy tych, którymi byśmy się stali, gdybyśmy tylko nie ruszyli w drogę, gdybyśmy tylko zaczekali, żeby zobaczyć, co z nas może wyrosnąć.

Dzwoni czasami i opisuje posiłek, która ugotowała dla braci,

siostry i starzejących się rodziców. Po tym jak baba wyparł się swoich poglądów politycznych, czy też jak je przed samym sobą potępił, krewni okazali aprobatę, znowu odwiedzając moich rodziców. Mama wręcz stała się ulubienicą całej rodziny, swatając część moich niezliczonych kuzynów, których imion nigdy nawet nie próbowałem zapamiętać, ze stosownymi partnerami. „Jedzenie było takie przepyszne - mówiła - zasługiwało na twoje usta”, a ja słyszałem, jak myślę sobie, skąd ona może wiedzieć, na co zasługują moje usta.

Kiedy stało się jasne, że droga wiodąca z Libii rzadko prowadzi z powrotem bez upokorzenia, zaczęła żałować, że mnie odesłała, zaczęła opowiadać mi o Usamie, Masudzie i jego bracie Alim, o Adnanie, Karimie, że chociaż, niestety, musieli odbyć służbę wojskową, to „Bóg był na tyle łaskaw”, że zakończył wojnę, tak aby żaden z nich nie został wysłany do Czadu. Zareagowałem spokojnie na taką skruchę, ale wciąż czułem ucisk gniewu w gardle. „To była najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłaś, że mnie tu przysłałaś”, mówiłem, wiedząc doskonale, że linia jest na podsłuchu, że moje słowa zostaną sumiennie zapisane w moich aktach wraz z komentarzami podsłuchujących, może naskrobanymi na marginesie, zachowane na wieki.

Straszliwie nie lubiłem tego, jak jej pewność siebie z upływem czasu gwałtownie tajała, jak rozmyślała nad przeszłością i kuliła się przed nią w żalu. Chciałem, żeby jej pewność siebie wróciła, nawet ta bezwzględna, żelazna pewność siebie, która kazała jej wysłać mnie za granicę pomimo wątpliwości męża i pomimo błagań jedyne syna.

W 1979 roku, kilka dni po moim wyjeździe do Kairu, wszystkim mieszkańcom Libii dano trzy dni na zdeponowanie aktywów w Banku Narodowym. Walutę państwową zmieniono, jak powiedziano, dla uczczenia dziesiątej rocznicy rewolucji. Ludzie złożyli kieszenie monet, inni walizki banknotów, a niektórzy ciężarówki pełne pieniędzy, a później usłyszeli, że indywidualne wypłaty zostaną ograniczone do tysiąca dinarów rocznie. Moich rodziców bardzo to dotknęło, ich miesięczne wydatki przekraczały tę sumę. Rok później osobiste rachunki oszczędnościowe, a w praktyce taką formę przybrała większość kont, zostały zlikwidowane, moi rodzice zaś patrzyli, jak ich pieniądze znikają „jak sól w wodzie”. Dlatego też nawet kiedy im zezwolono na podróż, jeszcze za moich pierwszych lat w Kairze, nie mogli sobie na nią pozwolić, a co najważniejsze, nie mogli łożyć na moje utrzymanie i wykształcenie, a więc koszty te spadły wyłącznie na sędziego Jasina, który potraktował nowy stan rzeczy z życzliwością. „Ty i ja to jedność. Sulejman jest jak mój własny syn” - powiedział do mojego ojca przez telefon.

Ojciec nie miał wyboru i musiał poszukać pracy. Dostał posadę „operatora maszyny” w jednej ze znacjonalizowanych fabryk. Była to fabryka makaronu. Zarówno on, jak i matka z początku wydawali się traktować to jako atrakcyjną nowinę, a mnie zachęcał ich dobry nastrój i uśmiechałem się także, kiedy dostawałem paczkę makaronu, na której plastikowym opakowaniu znajdował się skreślony jego pięknym charakterem pisma napis: „Pamiętka”, a potem w nawiasach „Tę paczkę zakleiła moja maszyna”. Podziwiałem to, jak dobrze znosi

swój marny los. Sprawiał wrażenie, jakby znalazł w tym jakąś przyjemność, podobały mu się godziny pracy, mówiła mama, wczesny początek i koniec w południe. Powiedziała, że zaczął tłumaczenie książki z włoskiego.

- Nicola Machiavellego Discorsi sopra la prima Deca di Tito Livio* - oznajmił mi z dumą, najwyraźniej rozkoszując się wymową „r” i „o”.

- Tylko Principe** i DeWarte delia guerra*** - ciągnął - istnieją w znośnym przekładzie arabskim. Ale czuję, że Discorsi prostują nieścisłości zwią-
Rozważania nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza Tytusa.
Książę.

O sztuce wojennej.

189

zane z tym nierozumianym filozofem. Napisał ją osiemnaście lat po Księciu. Miał sześćdziesiąt dwa lata, był o wiele mądrzejszy i nie czuł już oddechu Medyceuszy na karku. - Przerwał, usłyszałem głos w tle.

- Twoja matka nie ma pojęcia, o czym mówię - rzekł z oczywistym uśmiechem w głosie. Słyszałem jej śmiech. - W każdym razie - podjął - dzięki temu nie zapominam włoskiego.

Ostatnio jednak, piętnaście lat po moim wyjeździe, w maju tego roku, 1994, babę aresztowano. Z początku zapanował zamęt, dezorientacja; pojawiły się plotki o malwersacji. Nigdy się nie dowiedziałem, jakim cudem malwersacji miałyby dokonać operator maszyny. Potem na wierzch wypłynęła prawda. Po piętnastu latach pracy na stanowisku operatora maszyny w pakowni fabryki makaronu, pewnego dnia baba zdecydował się wziąć ze sobą książkę i czytał jej fragmenty ko-

legom robotnikom. Nie Discorsi, lecz Czas na demokrację, książkę, którą dla niego ocaliłem przed spalaniem. Matka się wściekła.

- Jak on mógł zrobić coś takiego? - mówiła przez telefon. - Czy twój ojciec zapomniał, w jakim kraju żyjemy? I skąd on wziął tę książkę? Przecież ją spaliliśmy.

Wiedziałem, że lepiej nic nie mówić, ale pokusa powiadomienia naszego podsłuchiacza była zbyt silna.

- Ja ją ocaliłem - powiedziałem.

Po tępej ciszy krzyknęła jak błagające dziecko:

- Dlaczego? Sluma, dlaczego?

A ja, w pełni świadomy, że linia telefoniczna jest na podsłuchu, że mamy rozmowę trójstronną z trzecią stroną milczącą, dodałem:

- To moja książka, moja wina, baba nigdy nie wierzył w takie idee - choć wiedziałem, że te słowa nikogo nie uratują, a wręcz przeciwnie.

W zachowaniu ojca w rzeczy samej obecny był element intrygi i szaleństwa. On, bardziej niż ktokolwiek inny, musiał wiedzieć, że ściany mają uszy, że donoszenie na współobywateli jest libijskim sportem narodowym, że wszyscy czują oddech Medyceuszy na karku. Czy w młodym wieku czterdziestu ośmiu lat popadł w starcze otepienie? Czy zdołał rozbudzić w sobie złudzenia, że wciąż może zmienić stan rzeczy? Czy uznał, że woli śmierć niż zniewolenie, nie tak jak moja Szeherezada, odmawiając życia pod mieczem?

Zacząłem odbierać telefony od jej braci, od Wysokiej Rady, która nakłaniała mnie do powrotu, obiecując, że uniknę więzienia za uciecz-

kę, że dopilnują, by ich „przyjaciele na stanowiskach” spreparowali moje akta, wykreślili słowa „zbląkany pies”. Zacząłem to rozważać, rozważać na poważnie. Zwłaszcza że matka zaczęła przez telefon sprawiać wrażenie mocno przygnębionej, wspominając wszystkie niewykorzystane możliwości: wykształcenie i karierę, którą mogła zrobić. Samotność wydawała się jej przypominać o wszystkich rzeczach, które ją ominęły. Aż pewnego razu zadzwoniłem i usłyszałem ten dawny głos, zmieniony, rozwlekające się słowa, ten sam nerwowy chichot, gdzieś pomiędzy śmiechem a płaczem. Poczułem, że pokój wiruje wokół mnie. Odłożyłem słuchawkę. Kiedy oddzwoniła następnego ranka, usłyszałem jej głos, niespokojny i szczerze zmieszany, i znowu odłożyłem słuchawkę. Wiadomości, niezliczone wiadomości, które zostawiała, wykasowywałem, nie odsłuchując ich. Nie posunęła się do tego, by zadzwonić do sędziego Jasina ani by poprosić kogoś ze swoich braci lub ojca, żeby się ze mną skontaktowali.

Potem wydarzyło się coś zupełnie niewiarygodnego. Dostałem list od Karima. Ze stempla dowiedziałem się, że wysłano go z Libii. Wydawał się okrutnym intruzem w moim kairskim życiu, w którym byłem na tyle przystojny i niezależny, by otoczyć się wszystkimi złudzeniami nieśmiertelności. To pragnienie bardzo podobne do chęci uwolnienia się od przeszłości. Delikatny, nerwowy charakter pisma, litery kreślone konsekwentnie ostrym jak igła ołówkiem, niewątpliwie rytmicznie obracany w palcach z obsesyjną dbałością o równość i spójność, sprawiły, że zatęskniłem za przyjacielem z dzieciństwa.

Drogi Sulejmanie,

przez długi czas Twoja matka nie chciała mi wyjawiać Twojego adresu. Podawała kilka powodów, z których żaden nie był przekonujący. Kiedyś powiedziała, że sędzia nie pozwala Ci otrzymywać listów. „I tak proszę mi go podać - prosiłem - nie napiszę, pojedę do niego”. „Nie nagabuj mnie, Karimie, nie chcę, żebyś mu przeszkadzał” - ona na to. Potem przestałem ją prosić i zadowalałem się wiadomościami od niej, że wszystko u Ciebie w porządku. Tęsknię za Tobą, drogi przyjacielu. I teraz mi przykro, że kiedy w końcu zdołałem do Ciebie napisać, to po to, żeby powiadomić Cię o kwestiach, które napełniają smutkiem moje serce.

Twoja matka nie czuje się dobrze. Od tygodni nie wychodzi z domu.

Odwiedzam ją - nie martw się, niczego jej nie brakuje prócz Twojej obec-

191

ności, bardzo tego pilnuję. Na nocnym stoliku leży stos zaklejonych kopert zaadresowanych do Ciebie. Z początku chowała je przede mną, ale ostatnio jest za bardzo chora. Czasami nawet mnie nie rozpoznaje, myśli, że jestem Tobą. Skorzystałem z okazji i przepisałem Twój adres. Mam nadzieję, że ten list do Ciebie dotrze. Mam nadzieję, że zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Mam nadzieję, że mnie jeszcze pamiętasz.

My tutaj, w tym kraju, nie rozumiemy choroby serca. Cokolwiek jej mówię, jakkolwiek jest to słodkie, niewątpliwie smakuje mdło niczym kłębek waty. Ona Cię potrzebuje. Zadzwoń do niej.

Twój przyjaciel i brat,

Karim

Chciałem wiedzieć, co u niego, co się z nim działo, co się działo z resztą chłopaków. Chciałem wiedzieć, czy wciąż pamięta moją zdra-

dę. Słyszałem od mamy, że Karim i ciocia Salma, bojąc się stracić dom po tym, jak Kaddafi wydał dekret, że każdy może sobie rościć prawo do opuszczonej nieruchomości jak do własnej, wrócili z Bengazi na ulicę Morwową. Poza tym nie wiedziałem nic o życiu Karima. Nie cierpiałem tego, że ona i jej przeszłość, jej „choroba” wszczepiły światu tyle pośpiechu, że nawet mój przyjaciel z dzieciństwa i ja nie mieliśmy czasu snuć wspomnień. Nawet więc na ten list, z jego starannym i delikatnym pismem, list, który powstał wbrew jej woli, nie odpowiedziałem. Potem, pierwszego września, ogłoszono „amnestię” z okazji obchodów rocznicy rewolucji, która wcześniej wsadziła za kratki obecnie ułaskawianych. Ojciec został beneficjentem tej wypaczonej łaski, a matka wróciła do swojego trzeźwego wcielenia, znowu zajmowała się swoimi obowiązkami, małżeństwem, któremu kiedyś się sprzeciwiała, a bez którego teraz nie umiała żyć. Ojciec został w domu i czasami do mnie dzwonił, mówiąc: „Chciałem tylko usłyszeć twój głos”, a ja rozmawiałem z nim bardzo długo, żeby zaspokoić jego pragnienie. Kiedy podał jej słuchawkę, zauważyłem, że w moim głosie pojawia się dziwna wstrzemięźliwość. Próbowala, zawsze, zlikwidować ten dystans, odzyskać mnie, zmusić, żebym mówił z miłością. Miesiąc po uwolnieniu i - cóż za okrucieństwo - kilka dni po zniesieniu zakazu podróży zagranicznych dla Libijczyków, na wieść o czym zrazu się rozradowałem, ale i zdenerwowałem przez myśl, że znowu ich zobaczę, mój ojciec umarł.

192

Od tego czasu minęło czterdzieści dni. Dzisiaj żałobnicy zgodnie

z libijskim zwyczajem mogą zdjąć czarne stroje, włączyć muzykę, gwizdać i śpiewać sobie, kiedy malują się przed lustrem.

Umarł dwiema śmierciami, obie równoległe istniały w moim sercu.

Śmierć pierwsza to śmierć według mojej matki.

- Atak serca, w nocy, we śnie - powiedziała i, żeby mnie pocieszyć, dodała: - Umarł bez bólu - cokolwiek to znaczy.

Słyszałem w tle przesywający głos Szajcha Mustafy, dom pełen żałobników. Nie spytałem, czy była przy nim, kiedy to się stało, czy też jego chrapanie zapędziło ją na kanapę. Nie spytałem, jak brzmiały jego ostatnie słowa. Nic nie wydawało się ważne. On nie żył.

Nagle jakby się rozkojarzyła. Chciała odłożyć słuchawkę, dołączyć do niezliczonych ludzi, którzy przyszli złożyć jej wyrazy współczucia.

- Wszystko w porządku - powiedziała pośpiesznie. - Nie martw się, habibi. Później dłużej porozmawiamy, dobrze?

Jak głupio wciąż być chłopcem poza domem, tym, który zakłóca mechanizm życia i którego zawsze trzeba informować, żeby był na bieżąco, zaangażowany.

- Siham - zawołała. - Pamiętasz Siham, siostrę Nasera? Masz, ona chce z tobą porozmawiać.

Nadpłynął głos Siham, nieśmiały, podniecony, zaintrygowany.

- Sulejman? Cześć, co u ciebie, pamiętasz mnie?

- Tak... oczywiście - powiedziałem, zdumiony, jak wyraziście mogę sobie przypomnieć jej kasztanowe włosy, jej delikatne dziewicze usta, i zmieszany gorącem, które po tylu latach zarumieniło moje policzki.

- Co u ciebie?

- Zareczyłam się - oznajmiła radośnie.

Czułem ulgę, że nie wygłasza zwyczajowych frazesów, wyrażając nadzieję, że Bóg wynagrodzi mi bolesną stratę. Nie chciałem pytać o jej starego ojca, byłem pewien, że albo nie żyje, albo umiera.

- Co u Nasera?

- Wszystko w porządku, wręcz świetnie - odparła podniecona.

Tajemniczą melancholię, która wydawała się ją cechować w dzieciństwie, zastąpiła lekkość, błyskotliwa, gorliwa ciekawość. - Mieszka w Indiach - dodała, rozkoszując się atrakcją.

193

- W Indiach? - powtórzyłem, niezdolny ukryć tego zdumienia, które odczuwają Libijczycy żyjący za granicą, kiedy słyszą, że ich rodacy zdołali przejść przez bramę, w cudowny sposób uwolnili się od nieskończonych restrykcji i dekretów. Ogarnia ich zarówno triumf na wieść, że wciąż istnieje nić łącząca ich kraj z resztą świata, jak i zazdrość, bo im samym nie wolno wrócić. - Co on tam robi?

- Jest attache kulturalnym w naszej ambasadzie - obwieściła z dumą.

Naser musiał uzyskać przebaczenie. Niewątpliwie skorzystał z jednej z amnestii. Kiedyś okrzyknięty spiskowcem i zdrajcą, stał się głównym członkiem społeczności dyplomatycznej, powołany do „naszej ambasady” w jednym z najcudowniejszych krajów na świecie.

Ciekawe, czy będzie naszym Octavio Pazem*.

- Świetnie - powiedziałem. - Cudowne wieści. - A po niezręcznej przerwie dodałem: - Odwiedzisz go?

- Może na miesiąc miodowy - odrzekła, śmiejąc się do kogoś obok.

- Kim jest szczęśliwy narzeczony?

- Hm, nie powiem ci - zażartowała. Przez chwilę miałem absurdalną myśl, że to może ja, że matka, że swoim nowym talentem do swatania, wszystko to załatwiła. - Znasz go doskonale. Proszę, on chce z tobą porozmawiać. Aha, Sulejmanie, bardzo mi przykro z powodu twojego ojca. Był takim cudownym człowiekiem. To dla nas wszystkich nieodżałowana strata.

- Halo? Sulejman? - spytał niski męski głos. - Nie poznajesz mnie?

On mnie nie poznaje - powiedział znowu do Siham. - To ja, Karim.

Wydawało się, że mowę mi odjęło. Czy pokonała mnie radość i ból?

Tak czy owak śmieszne uczucie.

- Pisałem do ciebie. Dostałeś mój list?

Z tej odległości tylko wina i żal wydają się możliwe.

- Przepraszam - powiedziałem i natychmiast poczułem potrzebę, żeby powtórzyć przeprosiny.

- Niech Bóg wynagrodzi ci stratę i niech się zmiłuje nad ustazem

Faradzem. - Słyszałem w jego głosie, że mówi to, co rzeczywiście czuje.

Milczałem, nie dałem rady powiedzieć tego samego o jego ojcu.

Czułem głęboką wdzięczność i palącą zazdrość. On był tam na te

Octavio Paz (1914-1998) - meksykański poeta i eseista; w latach 1945-1968 pracował w służbie

dyplomatycznej.

194

wszystkie sposoby, na które ja nie mogłem być. Kto wie, co by się

stało ze mną, z babą, z Siham, gdybym wciąż tam był? Wyobraziłem

sobie młodą parę, jak się przechadza po plaży, może w Goa, może w Trypolisie. Potem wyobraziłem ich sobie starszych, jak mieszkają na Morwowej, zajęci dziećmi, bo dzieci zmieniają wszystko, zmieniają całe życie i z czarnych dni robią różowe, albo przynajmniej tak słyszałem od ludzi. Wątpię, bym kiedykolwiek sam się o tym przekonał. Chciałem mu pogratulować, życzyć mu szczęścia i pomyślności z narzeczoną, ale czułem się jakiś bezsilny. Czy to Boski żart, myślałem, że ona wychodzi za mojego przyjaciela z dzieciństwa? Czy nie mogła poślubić kogokolwiek innego? Ale to miało sens, oczywiście: brat Siham był przyjacielem ojca Karima. Może to zaaranżowała moja matka, kto wie? Może ojciec też, może dbał o osieroconego Karima jak o własnego syna. Troszcząc się o Karima tak, jak sędzia Jasin troszczył się o mnie. Może świat jest jednak sprawiedliwy i zrównoważony. Nikt nie wygrywa i nikt nie przegrywa albo nikt nie wygrywa, a wszyscy po równo przegrywają. Widziałem swojego ojca, jak ściska dłoń swojego dawnego sekretarza, attache kulturalnego, żeby przeczytać Al-Fatihe*, pobłogosławić i przypieczętować. Mógłbym jej dać lepsze życie, z dala od kraju, z którego wszyscy chcieli uciec. Ale wody wróciły i zmyły krew. Wszyscy borykali się ze swoim losem, zajęci wybaczeniem, pragną wybaczenia.

- Jak tam w Kairze?

- W porządku - odparłem, odchrząknąwszy. - Tak. Kair jest w porządku i u mnie wszystko dobrze.

- Tak - powiedział. Słyszałem, że się wycofuje. - Może przyjedziemy cię kiedyś odwiedzić?

- Oczywiście.

- Siham kocha Kair, zna go z tych wszystkich filmów.

- Tak. Chciałbym, bardzo bym chciał, Karim.

Wkrótce się dowiedziałem, że matka skłamała. Ojciec rzeczywiście umarł na atak serca, ale stało się to w czasie lunchu, kiedy jadł zupę - to ta druga śmierć - przy tym samym stole kuchennym w naszej kuchni

Al-Fatiha (arab.) - Otwierająca; pierwsza sura Koranu, którą często recytuje się, by przypieczętować

jakieś ustalenie.

195

i nie „bezboleśnie”. Wierzgał nogami tak wściekle jak ustaz Raszid nad Narodowym Stadionem Koszykówki, kurczowo trzymając się stołu, beze mnie, bez moich rąk, moich teraz już dorosłych ramion, dość silnych, by go unieść, przytulić do piersi, powiedzieć te wszystkie miłkie rzeczy, które ludzie mówią w takich chwilach. Usłyszałem prawdę o nim od wuja Chaleda, poety. Wracając z pogrzebu, zajechał do Kairu, zanim się udał z powrotem do Ameryki. Spotykaliśmy się już tak nieraz, zawsze na krótko, zawsze w podróży. Wyczuwam, że wini mnie za wyjazd, za porzucenie rodziców, ale to szaleństwo, wiem, twierdzić, że się wie, co się dzieje w sercu innego mężczyzny. Nigdy mu nie powiedziałem, że to jego siostra mnie odesłała, bo wiedziałem, co powie, „Ale od tego czasu miałeś wiele okazji do powrotu” - i miałby rację. Mam się więc przed nim na baczności.

Zwykle spotykamy się w Groppi, kawiarni na placu Talata Harba, w centrum Kairu. Często musi przejść obok Madbuli, księgarni na tym samym placu. Te spotkania zazwyczaj przypominają mi historię matki

o włoskiej kawiarni i kiedy sobie przypominam jej cierpienie, czuję, jak ciśnienie mi się podnosi. Nigdy nie pytam go o dzieci - wszystkie o imionach w rodzaju Ed lub Amy - a on się zadawała wiedzą, że jestem zdrow i cały. Ale kiedy się obejmujemy, łzy szczypią mnie w oczy.

Jest grudzień, na Głównym Dworcu Autobusowym w Aleksandrii kłębi się tłum jak w Mekce w czasie hadżdżu*. Chwilę siedzę w swoim samochodzie, żeby zebrać się na odwagę. Rozważam możliwość, że nie będę jej szukać, że zaczekam tu, aż ona znajdzie mnie. Potem otwieram drzwi i staję przy samochodzie.

Mam dwadzieścia cztery lata i wciąż mieszkam w Kairze, mieście, do którego mnie wysłała, jak wierny pies wciąż czekający, wciąż pewien, że właściciel przyjdzie po niego. I w końcu ona przyjeżdża. Z powodu embarga lotniczego podróżuje lądem. Razem z kontrolą na granicy podróż zajmuje pewnie dwadzieścia cztery godziny. Będzie zmęczona. Będzie musiała zostać co najmniej miesiąc. Cały miesiąc! Zastanawiam się, jak on minie. Nie pamiętam nawet jej twarzy. A jeśli jej nie rozpoznam?

Patrzę na swoje nogi, na swoje dorosłe nogi w dorosłych spodniach, ciemna wełna na zimę, wyprasowana z kantem pośrodku. Jesteś mężczyzną, mówię do siebie. I ona przyjeżdża zobaczyć się z tobą, zobaczyć, co się stało z jej kochanym chłopczykiem, jej jedynym synem. Jaka będzie? Wygląda staro, niewątpliwie. I w zasłonie. Co o mnie pomyśli? Kilka autobusów wjechało na dworzec, kilka z niego wyjechało. Nie mam pojęcia, w którym ona jest. Dalej stoję przy samochodzie. Nagle ją widzę. Stoi obok swojej walizki jak dziewczyna, która po raz pierw-

szy przyjechała do miasta. Bez zasłony. Nie ma też siwych włosów na głowie. Nagle zdaję sobie sprawę, jak młoda jest moja matka. Miała dwadzieścia cztery lata, kiedy mnie wyprawiła z domu, tyle samo co ja w tej chwili; piętnaście, kiedy mnie urodziła, tyle samo lat spędziłem Hadżdż (arab.) - pielgrzymka do Mekki, tak zwana większa lub główna.
197

z dala od niej. Koniec końców zostają tylko liczby miary odległości, ilość. Trzydzieści dziewięć. Ma dopiero trzydzieści dziewięć lat. Czego teraz oczekuje od życia, zastanawiam się. Jakie to stosowne, że spotykamy się w Aleksandrii, mieście przebrzmiałego wdzięku. Ruszam w jej stronę. Jeszcze mnie nie widzi. Matka, która starała się nigdy mnie nie mieć, matka, która nigdy nie zdecydowała się mnie mieć, matka, która opierała się na wszystkie znane jej sposoby. Macham ręką nad głową, myśląc, żeby ją zawołać, ale nie mogę wypowiedzieć słowa. Nagle podchodzi.

- Mamo - mówię i jeszcze raz, i jeszcze raz, aż mnie dostrzega: -

Mamo! Mamo!

Kiedy do niej docieram, całuje moje ręce, czoło, policzki, przeczesuje mi włosy palcami, poprawia mi kołnierzyk.

kontynenty

Ala al-Aswani

Chicago

Nadzi jest zaangażowanym politycznie poetą,
ale studiuje budowę tkanek. Szajma ma trzy-

dziesięci lat i jest starą panną. Rafat uważa się za Amerykanina, ale wpada w furję, gdy jego córka przeprowadza się do chłopaka. Carol nie może znaleźć pracy, bo jest czarna. Aparatczyk Danana zamienia życie swojej żony w piekło.

Wkrótce do Chicago ma przybyć z wizytą prezydent Egiptu. Nie wszystkim się to podoba...

W nowej powieści Al-Aswani podejmuje temat wykorzenia i multi-etyniczności, przygląda się różnym sposobom życia na styku odmiennych tradycji i kultur. Jego bohaterowie - egipscy i amerykańscy studenci oraz wykładowcy - pracują lub uczą się w Centrum Medycznym Uniwersytetu Illinois. Amerykańska uczelnia staje się świadkiem ich wzlotów i upadków, miłości, tęsknot, bolączek.

Ala al-Aswani urodził się w 1957 roku. Z wykształcenia jest stomatologiem, studiował w Kairze i Chicago. Przez wiele lat prowadził gabinet dentystyczny w kamienicy, która stała się też miejscem akcji jego pierwszej powieści, a zarazem światowego bestselleru *Imarat* Jakubjan. Książkę szybko przełożono na dwadzieścia języków i sfilmowano, w Polsce ukazała się pod tytułem *Kair. Historia pewnej kamienicy*.

Al-Aswani to obecnie najpopularniejszy pisarz egipski, nazywany godnym następcą Nadżiba Mahfuz. Powieść *Chicago* została przetłumaczona na 17 języków.

Podobnie jak nieżyjący Nadżib Mahfuz, Ala al-Aswani jest pisarzem światowego formatu, ukazującym troski Egipcjan w szerszym, uniwersalnym kontekście oraz pięknie rysującym nasz wspólny, choć niekiedy też smutny

i zaskakujący świat.

„The Times”

Nadżib Mahfuz

Hamida z zaułka Midakk

Hamida z zaułka Midakk to pierwsza powieść Mahfuzy przełożona na język obcy (angielski w 1964 roku), a także pierwsza, która ukazała się po polsku. Akcja tej powieści, podobnie jak innych utworów tego autora, toczy się wśród wąskich uliczek Kairu, gdzie w starych domach mieszczą się warsztaty rękodzielnicze i małe sklepiki, a pięknie rzeźbione okiennice kryją przed światem życie rodzinne mieszkańców, z jego specyficzną obyczajowością, radościami i smutkami, a niekiedy tragediami.

Taką tragiczną bohaterką jest Hamida - zaułkowa piękność, dziewczyna naiwna i prosta, ale odważnie i bez skrupułów walcząca o swoje szczęście.

Pragnąc wydostać się z zaułka do szerokiego świata, gdzie mają się urzeczywistnić jej marzenia, nie waha się wystąpić przeciw obowiązującym normom, zlekceważyć opinię swoich bliskich i podeptać ich uczucia.

Jednakże świat zawodzi nadzieje Hamidy. Nawet sprytnie obmyślana zemsta nie dosięgnie sprawcy jej nieszczęścia.

Książka ukazała się dotychczas w 24 językach.

Nadżib Mahfuz urodził się 11 grudnia 1911 roku w Kairze, a zmarł w roku 2006. Był jednym z najwybitniejszych pisarzy egipskich. W 1988 roku

otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

Napisał wiele znakomitych powieści, opowiadań i scenariuszy. W jego twórczości bardzo ważną rolę odgrywa współczesny Kair.

kontynenty

Seria Kontynenty jest wyjątkową wędrówką literacką po innych lądach, śladami innych kultur. Pojawia się w niej dzieła najwybitniejszych twórców, znanych i cenionych w swoich krajach, często jednak jeszcze nieodkrytych przez polskich czytelników. Literatura odsłania wiele prawd, a książki potrafią powiedzieć o drugim człowieku więcej, niż myślisz... Przekonaj się, co czytają ludzie na całym świecie po to, aby lepiej go poznać, odkryć to, co nieznanne, a także by dzięki temu lepiej zrozumieć samego siebie.

Chicago • Ala al-Aswani

Wesele Zajna * At-Tajjib Salih

Sezon migracji na Północ • At-Tajjib Salih

Ziemia kłamstw • Anne B. Ragde

Hamida z zaułka Midakk • Nadżib Mahfuz

Miasta soli. Zagubieni • Abd ar-Rahman Munif

Patynozielone! • Dag Solstad

Noc profesora Andersena • Dag Solstad

W kraju mężczyzn • Hisham Matar

